

Najsłynniejszy na świecie zbiór
nie wyjaśnionych naukowo faktów



Charles Fort

KSIĘGA RZECZY WYKŁĘTYCH

pełna edycja

Wprowadzenie do tajemnicy


Pandora

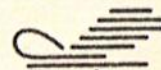


Charles H. Fort (1874 – 1932)

Charles Fort

*Wprowadzenie
do
tajemnicy*

Przekład: Zygmunt Kubasiak


Pandora

1 9 9 4



Charles H. Fort (1874 – 1932)

Charles Fort

*Wprowadzenie
do
tajemnicy*

Przekład: Zygmunt Kubasiak


Pandora

1 9 9 4

*Wprowadzenie
do
tajemnicy*

Tytuł oryginału:
The Book of the Damned

Redaktor: Ewa Ressel
Projekt okładki 1-3 tomu: Piotr Wójcik

Copyright © for the Polish edition by Pandora Books
Łódź 1994
ISBN 83-85884-00-9

Od wydawcy

Mamy przyjemność zaproponować jedno z najbardziej kontrowersyjnych i najgłośniejszych książek, jakie kiedykolwiek napisano. Księgi Charlesa Forta to z całą pewnością najsłynniejsza na świecie kolekcja zdumiewających, niemożliwych do wyjaśnienia faktów, których wyszukiwaniu jej autor poświęcił całe życie. Efektem jego mrówczej pracy stał się zbiór 40 000 fiszek zawierających doniesienia o tak niesamowitych zjawiskach i odkryciach, że wytrącają one z ręki wszelkie normalne wyjaśnienia i narzucają myśl, że świat jest o wiele bardziej tajemniczy i niewyobrażalny niż się to nam wydaje.

Księgi Forta nie mają nic wspólnego z fantazją czy fantastyką. Są zbiorem autentycznych, najprawdziwych faktów, które wytopił on w czasopismach naukowych i popularnonaukowych. Faktów wywołujących tak porażającą sprzeczność z zaakceptowanym przez nas obrazem świata, że najchętniej odwróciłibyśmy się plecami i zapomnieli o nich.

Fort nie odwraca się od nich, lecz przeciwnie – odważnie staje z nimi twarzą w twarz, podtyka je nam pod nos i mówi: oto fakty uragające wiedzy naukowej. Jakże może być ich wyjaśnienie?

I tu Fort proponuje swoje własne wyjaśnienia, wyjaśnienia tak dziwne i nieprawdopodobne, że nie sposób w nie uwierzyć. *Jednakże myliby się ten, kto by sądził, że celem Forta jest przekonanie innych do proponowanych przezeń wyjaśnień.* Eksplikacje Fortowskie pełnią zupełnie inną funkcję, na której mało kto chyba się poznał. Fort chce w ten sposób przede wszystkim powiedzieć, że jego wyjaśnienia wcale nie są mniej prawdopodobne niż wyjaśnienia głoszone przez naukę lub też – może nawet trafniej – że są one równie fałszywe i bałamutne, co wyjaśnienia *rodem z nauki.*

Wbrew dość rozpowszechnionym, choć nader powierzchownym mniemaniom, Fort nie był wcale wrogiem nauki jako takiej. Był tylko wrogiem naukowej głupoty i naukowego dogmatyzmu. Oprócz wyśmiewania niedorzecznych hipotez stawianych dla wyjaśnienia „fenomenów Fortowskich”, hipotez będących może nie tylko wyrazem głupoty, ale także wyrazem bezradności naukowej, *myślenie Forta krąży wokół faktów i zjawisk „wykłych” to jest o d r z u c o n y c h* przez naukę nie przyjmującą do

wiadomości tego, co z nią niezgodne i wykraczające poza zdolności jej rozumienia. Fortowi nie podoba się postawa polegająca na zamykaniu oczu przed faktami, których nie daje się zrozumieć w obrębie aktualnej wiedzy naukowej, z czym wielu z nas powinno się zgodzić – zamiast wygadywać androny i udawać wszechwiednych lepiej przyznać się do niewiedzy. Bo przecież twierdzić, że wszystko co jest do poznania zostało już poznane jest beznadziejną głupotą.

Są w pracach Charlesa Forta idee, którymi wyprzedził swój czas, nasze czasy, a może i czasy będące przyszłością także dla nas żyjących pod koniec XX wieku. Sposób widzenia sprawy życia rozumnego we wszechświecie, sama oczywistość jego istnienia oraz obraz międzygwiazdowego ruchu kosmicznego mogą się okazać więcej warte niż wszystkie prace o życiu pozaziemskim napisane przez współczesnych astronomów i podobnych im specjalistów do spraw nieistnienia lotów międzygwiazdowych i cywilizacji kosmicznych. Lecz bodaj najpiękniejsza, choć zarazem najbardziej otchłanna i porażająca, wydaje się inna jeszcze myśl Forta: że Ziemia i ludzkość są czyjąś własnością.

Przedmowa

Apologia ekscentryka

Rzeczywistość to niekoniecznie tylko istnienie samych rzeczy. To również to, co jest pomiędzy rzeczami i poza rzeczami. Rzeczywistość to wszystko – i nie ma takiego sposobu myślenia i takiego systemu, który by ów Wszechbytu ogarnął. Nie sprostal temu żaden z pretendujących do absolutności systemów teologicznych i filozoficznych: ani Arystoteles, ani Tomasz z Akwinu, ani Hegel, ani też nowożytna nauka.

W samoobronnym odruchu umysłu część ludzi woli tworzyć własne, uporządkowane światy, z ograniczoną liczbą elementów i zachodzących pomiędzy nimi związków. Działalność taką nazywamy sztuką lub literaturą i mówimy często o bogactwie wyobraźni. A przecież ani sztuka, ani literatura nie dążą do bogactwa, lecz są właśnie bogactwa unikaniem. W najlepszych swoich egzemplarzach dzieła ludzkie są syntezami, syntezytycznymi rzeczywistościami. Rzeczywistościami sztucznymi.

Innym rodzajem obrony naszych umysłów przed bezmiarom Wszechbytu jest złudzenie, że jakiś system, system w który akurat wierzymy, ujmuje go prawdziwie i wyczerpująco. Są ludzie, którzy nienawidzą relatywizmu tak naturalnie i szczerze, jak naturalnie i bez żadnych podstaw lubimy pewne potrawy, a na inne nie możemy nawet patrzeć. Myślę, że ludzie o tym typie mentalności odrzucają *Księgę rzeczy wyklętych* po przeczytaniu jej pierwszego rozdziału. Jest to bowiem książka napisana przeciwko złudzeniu, że coś wiemy. I przeciwko Ortodoksji. Nie jakiejś szczególnej ortodoksji, religijnej lub naukowej, lecz przeciwko Ortodoksji jako jednemu z głównych ludzkich zachowań.

Ortodoksje można określić jako ogrodzenie kawałka Wszechbytu płotem, zamknięcie furtki i pilnowania tego kawałka z ponurą zawziętością właściciela, który jest gotów na różne nieprzyjemne ostateczności dla obrony tego, co w jego oczach jest wszystkim.

Ortodoksyje spotykamy na każdym kroku. Wszelka nienawiść rasowa i religijna jest przejawem ortodoksji. Są ortodoksyjni artyści i ortodoksyjni dentyści, a także ortodoksyjni kibice piłki nożnej, którzy nie tylko nie uznają kwadratowych piłek i drużyn liczących po stu trzynastu zawodników, ale wierzą wyłącznie w jeden klub i w jednego trenera.

Wiara w jednego trenera to bardzo smutne zjawisko, należy jednak oddać Ortodoksji sprawiedliwość, że w wielu wypadkach jej celem jest zapewnienie ludziom poczucia bezpieczeństwa i duchowego komfortu, a także zabezpieczenie trwałości pewnych organizacji, które powstają wokół różnych, spontanicznych z początku ruchów.

Szczególnym przypadkiem Ortodoksji jest ortodoksja naukowa i ona spełnia funkcję soczewki skupiającej rozbrykane pasje Charlesa Forta. Nowożytna nauka, buńczuczna i cudowne dziecko renesansu, rosnące z nieprawdopodobną szybkością, drwiące z tradycji, nazywanej przesądem, wyrwijące się spod przecznej kurateli teologii i budzące nadzieje sporej części ludzkości na „nowy wspaniały świat”, nauka ta osiągnęła w końcu XVIII i w XIX wieku status autorytetu – pierwsze stadium dostojności – z poszechnie akceptowanym przez międzynarodową republikę ludzi wykształconych prawem do orzekania, co jest rzeczywistością, a co mrzonką, złudzeniem i spekulacją. August Comte, francuski filozof i prorok pozytywizmu, doszedł do wniosku, że nauka jest nową religią ludzkości. Spekulacja i metafizyka zostały wygnane i skazane na los blakających się duchów, gdyż nowa religia miała być praktyczną religią faktów. August Comte, Herbert Spencer i wielu innych pozytywistów zajęło się zapałem prowadzeniem nowej religii, klasyfikacją zjawisk i klasyfikacją nauk, drabiną bytów wznoszącą się logicznie od elementarnych porcji materii, czyli atomów, oraz ich najprostszych związków, poprzez minerały, rośliny, zwierzęta i psychiczne przejawy życia, do społeczeństwa i jego wytworów, czyli do socjologii. Koroną powstającego systemu stała się socjologiczna teoria Emila Durkheima, zgodnie z którą grupy ludzkie czczą swoją kolektywność w formie religijnych kultów.

Owe pozytywistyczne spekulacje filozofów odbywały się na tle imponującej lawiny naukowych odkryć i technicznych wynalazków, której towarzyszyła euforia popularnej prasy. Zdawało się, że możliwości ludzkiego umysłu są nieograniczone, a wszystko co rzeczywistości istnieje, jest wytłumaczalne, obliczalne i da się opisać w terminach zracjonalizowanego języka nauki.

Obraz ten jest oczywiście uproszczony. Byli bowiem w tych czasach heretycy, byli sceptycy, byli w końcu ogromnie rzesze ludzi nietkniętych przez nowe doktryny, żyjących w nienaruszonym i dobrze zakonserwowanym świecie tradycyjnej teologii i religii. Niemniej nowa religia zdawała się być faktem. Charakterystyczne zaś, że jej kapłanami nie byli na ogół pogrążeni w pracy uczeni, lecz głównie ludzie otaczający naukę i tworzący jej otoczkę – redaktorzy naukowych i popularno-naukowych czasopism, autorzy podręczników i publicyści. Byli też oczywiście uczeni, jak i obecnie, którzy uwielbiali autorytatywność i publiczne wystąpienia ex cathedra.

Tak wyglądało to *Księgi rzeczy wykłętych*, gdy w 1919 r. wychodziło jej pierwsze, niewielkie wydanie. Jej nieznanymi wówczas nikomu autor, ani uczoney, ani filozof, właściwie nikt szczególny, chlusił na owo samozadeczenie nowej ortodoksji wiadrami ryb, żab i węży, tonami kamieni i lodu, deszczami we wszystkich barwach tęczy, oskarżając współczesną sobie naukę o jednostronność myślenia i podporządkowanie całego bogactwa rzeczywistości ustanowionemu arbitralnie paradygmatowi, w imię którego wyklucza się i z badań, i z rzeczywistości całe grupy istotnych, choć trudnych do wyjaśnienia zjawisk.

Księga rzeczy wykłętych jest zbiorem takich zjawisk, wygrzebanych przez Forta w wyniku kilkudziesięcioletnich poszukiwań ze stosów rozmaitych czasopism, w przeważającej części naukowych i popularno-naukowych, wychodzących w językach angielskim i francuskim. Okres, na którym się skupił, obejmuje cały wiek XIX, z częstymi wyieczkami w wiek XVIII. Jest to korowód zdumiewający, podobny do parady wielkiego dziewiętnastowiecznego cyrku, gdzie olbrzym kroczy obok karlicy, kobieta z brodą toczy wózek z bezrękim i bezaogim kadłubem, człowiek-lew potrzasa olbrzymią grzywą i ryczy, zaś obok chwije się jak cień żywy szkielec w obcisłym trykocie. Fakty zgromadzone przez Forta zakłócają porządek świata, który powstał w ciągu ostatnich stuleci, co temu wspaniałemu człowiekowi w grubych okularach sprawiło najwyraźniej wielką uciechę.

Książka ta może wywoływać różne reakcje, w zależności od przekonań i poczucia humoru jej czytelników: może fascynować, pobudzać do własnych poszukiwań, bawić serdecznie, drażnić, budzić protest i niechęć. Przede wszystkim jednak – mówię to z własnego doświadczenia – wslizguje się niepostrzeżenie w umysł i nadgrza ją mysz ustalono nawyki myślenia i pozornie niezachwiane poglądy, podważając pewność siebie i wiare,

wraz z ich nieodłącznym orszakiem: zarozumiałstwem i umysłową stagnacją. Wartość twórczości Charlesa Forta polega zresztą nie tylko na otworzeniu ogromnego gabinetu osobliwości. Jego książki *pisane są bułgoczącym jak strumień, ekscentrycznym, niepowtarzalnym stylem i przenikniętym duchem żartobliwie-mistycznego monizmu, zaś pośród korowodu faktów odbywa się nieustanny karnawał wyobraźni Forta, gargantuiczna bufonada, z której wylania się jakiś dziwaczny, nowy Kosmos: Ziemia niby wciąż okrąglą, ale bez przekonania, z zawieszonym w przestworzach oceanem, po którym pływają lodowate pola i tropikalne wyspy; Układ Słoneczny, po którym błędą dziesiątki, a może setki, rozmaitych konstrukcji i sterowanych planet, zamieszkałych przez olbrzymi i przez krasnoludki, przez istoty o błękitnej skórze i przez demonicznych, nieparzystokopytnych złoćyców. Przed inwazjami tych stworów chroni nas jakiś nieznaną właściciel Ziemi, nie wiadomo, czy dobroczyńca, czy eksploator, dostatecznie jednak silny, by przepędzić rywali; choć zdarzają się niecni kłusownicy, którzy wpadają w ziemską atmosferę na małe polowanka – istnieje oczywiście odpowiednie dane na ten temat – co Fortowi sprawia zresztą przyjemność. Nie jesteśmy, jak widać, zupełnie bezużyteczni i niejadalni; gdzieś nas owszem cenią i mają może nawet grube książki kucharskie, poświęcone wyłącznie Ziemianom. Czytając Forta trudno jest czasem pojąć, w którym miejscu kończy się powaga, a zaczyna kpina, co zresztą odpowiada duchowi jego monizmu, w którym między statecznością i powagą a kpiarstwem nie ma zasadniczej różnicy, gdyż oba te aspekty ludzkiej ekspresji nieustannie mieszają się ze sobą, łączą i zlewają w nierozpoznawalną całość.*

Poglądy filozoficzne Forta nie są szczególnie dokładnie określone i wywiedzione ze specjalną troską o terminologię i ścisłość; jest to raczej intuicyjne, oparte na doświadczeniu snu, przekonanie, że to, co potocznie nazywamy rzeczywistością, istnieniem, uniwersum, nie jest zbiorem oddzielnie istniejących rzeczy, łączących się tylko w rozmaite krótko- i długotrwałe kombinacje. Fortowski świat jest jednością i wszechciągłością. Jest to jedno olbrzymie Coś, drgające i pulsujące, z którego nieustannie wyskakują jakieś bąble, próbując się oderwać i zaistnieć jako odrębne rzeczy. Nie ma zatem istnienia w ścisłym tego słowa znaczeniu, jest *niby-istnienie, quasi-egzystencja, nieustanne, uporczywe usiłowanie istnienia, kończące się zawsze i wszędzie porażką.*

Różnego rodzaju to bąble, jedne bardziej bąblaste, wydęte jak balony, prawie-że-odrywające się od wszechciągłości, niemal

rzeczywiste, inne ledwie widoczne, właściwie nawet nie bąbelki, lecz delikatne wdęcia, bliższe niemości niż cości, wszelako również niby-istniejące. Michel de Montaigne pisze w jednym ze swych esejów, że pomiędzy niczym a najmniejszą z rzeczy jest większa różnica, niż między tą najmniejszą z rzeczy a największą. Inaczej mówiąc między niczym a elektronem jest większa różnica, niż między elektronem a gwiazdą. Fort mógłby kwestionować znaczenie tego zdania. W jego filozofii nie ma przepaści dzielącej „nic” i „coś”, gdyż nie ma „nic” i nie ma „czegoś” jako odrębnie istniejących, granicznych wartości. Pojęta te to tylko wygodne myślowe znaki, wskazujące obszar niby-istnienia czy też międzybytu. Fortowska rzeczywistość to niby-istnienie niby-czegoś, z nieustannym, bez początku i bez końca zmaganiem się niby-czegoś, by stać się prawdziwym czymś.

W perspektywie tej filozofii klasyczne, postawione przez Leibniza pytanie: „Dlaczego istnieje raczej coś niż nic?” jest również pozbawione sensu, nieprawdą jest bowiem, że istnieje „coś”, jako odrębne i bezwzględnie różniące się od „niczego”. Podobnemu unicestwieniu ulegają inne klasyczne opozycje, jak prawda i fałsz, dobro i zło, tracąc kontury i łącząc się z sobą w mrocznym chaosie międzybytu. Myślami Forta rządzi tu *wizyjność i intuicja, przynosząc w rezultacie obraz rzeczywistości zbliżony do filozofii Wedantów.* Jeżeli poddamy się jego myślom, pozornie zagmatwamy, a w istocie niesłychanie prostym, jeżeli popłyniemy z nimi i damy się przeniknąć ich mądrości, to zobaczymy siebie i wszystko dookoła na nowo – nie jako istniejące oddzielnie, lecz raczej jako dążące do istnienia. Te bąble wyskakujące z kałuży – i pękające po chwili. My sami, inni ludzie, cała mizernałość walki o indywidualność, a jednocześnie jej nieuchronna klęska – wszędzie nieoznaczoność, względność, a wszystko podszyte ogólnym determinizmem: pożądaniem odrębnego istnienia. Jakże niesamowicie wyglądała w perspektywie filozofii Forta organizacje i systemy, kościoły, partie, narody i nacjonalizmy! W świecie, w którym ludzie gryzą się jak psy na arenie, przenikliwość Forta mówiącego, że największym szaleństwem dotykającym ludzi jest ich złudzenie własnej rzeczywistości, przenikliwość ta jest równie aktualna dziś jak w rok po Wielkiej Wojnie, gdy *Księga rzeczy wykletych* ukazywała się w druku.

Najwięcej kontrowersji wokół tego autora budziło jego *natrząsanie się z uczonych – zgrzyliwość, docinki, znęcanie się nad po-*

razkami, które tak w nauce, jak i w sztuce, stanowią część życia. To fakt. Fort nie wierzy w matematykę, czyli w liczby, wyśmiewa się z różnych naukowych interpretacji opisywanych przez siebie zjawisk, stara się przekuć „astronomiczny balonik” i z przekąsem pisze o Bogu Chemicznej Analizy, który mówi to, czego wierni oczekują, ale czy jest on rzeczywiście arcywrogiem nauki i maniakiem, wyruszającym na prywatną wyprawę krzyżową przeciwko najlepszemu produktowi ludzkiej cywilizacji, jak próbowała go sklasyfikować związana z nauką prasa?

Otóż nie, otóż przeciwnie, gdyż to, co u Forta jest ostatecznie najważniejsze, to nie zbiór zadziwiających danych i nie jego ekscentryczne teorie, lecz duch nieskrępowanego myślenia i stawiania pytań. Fort jest przede wszystkim wrogiem systemów, pisząc wielokrotnie o dwóch systemach myśli ludzkiej: teologicznym i naukowym. Sama klasyfikacja pochodzi od pozytywistów, o ile jednak w pozytywistycznej percepcji zastępowanie teologii nauką było faktem wyłącznie dodatnim, dla Forta nowy system zastępował po prostu stary system, nowa ortodoksja – nieco bardziej zbliżona do rzeczywistości – zastępowała starą ortodoksję. W takim ujęciu zmiana nie była znów taka istotna, a swobodne myślenie i otwarty stosunek do badania rzeczywistości był w dalszym ciągu zagrożony, tym razem przez nowy, hipotyzujący paradygmat. Fortowska koncepcja hipnotyzującej dominanty, czyli paradygmatu, jest pionierska i wskazuje na społeczny charakter myślenia, na fakt, że nie myślimy i postrzegamy indywidualnie, ale w warunkach szczególnej, wspólnie wytwarzanej atmosfery, która decyduje, że w danej epoce pewnych rzeczy – oczywistych w epoce następnej – nie można ani pomyśleć, ani zobaczyć, a ograniczeniom tego rodzaju ulegają nie tylko umysły przeciętne, lecz nawet wybitne. Stąd i własnej twórczości nie uważał Fort za wizjonerstwo, ale za wyraz „wiszącej w powietrzu” nowej ortodoksji. „Wiszące w powietrzu” idee, które miał na myśli, to zapewne konwencjonalistyczna teoria prawdy, pragmatyzm, a także subtelny duch relatywizmu, który w początkach XX wieku zaczynał przenikać naukę i sztukę, znajdując wyraz w zrelatywizowaniu przez Einsteina nawet tak „absolutystycznych” elementów rzeczywistości jak czas i przestrzeń.

Tak więc Nauka pisana dużą literą nie jest wcale dla Forta bramą do królestwa Prawdy, lecz inną wersją teologii, systemem organizującym fakty w pewien obraz, który możemy przejściowo akceptować, lecz który wcześniej czy później będzie równie nieaktualny jak obrazy poprzednie.

Oczywiście Fort nie musi mieć racji. Systemy są nieuniknione i żaden człowiek nie potrafi myśleć bez jakiegoś systemu, który pomaga mu łączyć okruchy wiedzy w jakąś całość, a co ważniejsze, pomaga przekształcać chaotyczny bezmiar Wszechbytu w pewien rodzaj ładu – nieistotne jak bardzo pozorny. Pomyślmy przez chwilę o świecie ludzi średniowiecza. Ich ziemskie królestwa targwały nieustannie lokalne wojny, miasta smagało morowe powietrze, czytać i pisać umiała zaledwie garstka wykształconych, ale ten nekany przeciwnościami padół był jednak szczeblem – choć najniższym – wspaniałego hierarchicznego ładu, z kryształowymi sferami planet, zaś wyżej z chórami aniołów i archaniołów. Prawdziwość lub pozorność naszych łańdów nie ma żadnego znaczenia, liczy się to, w jakim stopniu pomagają nam przetrwać.

Wszelako dobrodziejstwa systemów mają swoją cenę. Systemy rządzą naszymi umysłami i prześladują niewygodne pytania. „Inteligencja jest wyznaniem ignorancji” – pisze Fort. W systemach nie ma miejsca na ignorancję. W systemach wszystko jest wiadome i jasne. Ergo – w systemach nie ma miejsca na inteligencję.

Jestem pewien, że u wielu zagorziałych pozytywistów książki Forta wywołają irytację. Amerykański pisarz Tiffany Thayer, przyjaciel Forta i założyciel Towarzystwa Fortystów, ostrzega, że z czytania *Księgi rzeczy wyklętych* powinni zrezygnować ci wszyscy, którzy wiedzą, jak myśleć, wiedzą, jak chcą myśleć i nie mają zamiaru niczego w swym myśleniu zmieniać. Druga zaś grupa niekompatybilnych z Fortem czytelników to ci, którzy nie potrafią się śmiać i myśleć jednocześnie.

Ktoś czytając o Genezistrynie, o Morzu Supersargassowm lub o gniewie Azurii może zauważyć, że miejsce Forta jest wśród twórców bajek. Myślę, że w tym tkwi jakaś racja, gdyż – niezależnie od intencji pisarza – Układ Słoneczny w jego ujęciu wygląda baśniowo. Zresztą, zgodnie z duchem jego monizmu, nauka musi w jakimś miejscu zlewać się z baśnią, rzeczywistość z fantazją, a zatem również sposób, w jaki ktoś zostaje sklasyfikowany, nie ma większego znaczenia. Ktoś może jednak się upierać, że pomysły i hipotezy Forta zostały surowo przetestowane przez współczesne badania przestrzeni planetarnej i wszystkie okazały się czystymi wymysłami. To prawda. Nie odkryto Genezistriny ani Morza Supersargassowego, co się zaś tyczy swobodnie krążących ciał i sterowanych superkonstrukcji, to są one równie nieuchwytnie dziś, jak w czasach Forta. Co go-

rsza, sondy kosmiczne dotarły już do wszystkich planet z wyjątkiem Plutona i nigdzie jak dotąd nie odkryto śladów życia. Fort odparłby – jak przypuszczam – że sondy kosmiczne nie dowodzą nic ponad to, że są sondami kosmicznymi, czyli że jeśli jakaś sonda nie odkryła życia na Marsie, to znaczy to tylko i wyłącznie, że ta właśnie sonda nie odkryła życia na Marsie, co nie wyklucza istnienia na tej planecie wysoko rozwiniętej cywilizacji istot żyjących w miastach wbudowanych w jej skorupę i posługujących się jakąś super-elektroniką, której skutków nikt na Ziemi nawet sobie nie wyobraża. Nieodkrycie czegoś nie dowodzi nieistnienia tej rzeczy. A poza tym musimy pamiętać, że hipotezy Forta świadomie oscylowały między fantastycznością i prawdopodobieństwem.

Jednakże mimo całej fantastyki Genezistryny, Azurii, Monstratora i innych twórców, nie było w nich wówczas, i wydaje mi się, że w dalszym ciągu nie ma, nic nieprawdopodobnego. O grawitacji wiemy ciągle tyle samo, co w czasach Newtona, czyli że grawitacja to przyciąganie, a przyciąganie to grawitacja. Koncepcja grawitacji pozwoliła zgrabnie powiązać różne odległe zjawiska, jak spadanie jabłek i krążenie planet, wprowadziła natomiast absurdalną ideę, że ciała oddziałują na siebie poprzez pustą przestrzeń. Zastanawiający jest fakt, że taki obraz Kosmosu – ciał i pustki wokół – zdominował znacznie sensowniejszą koncepcję Kartezjusza, w której Wszechświat stanowi jedno ciało: wielki ocean eteru, z wirami i zagęszczeniami w postaci gwiazd i planet. Einstein odkrył w naturze Wszechświata coś z jego kartezjańskiej jedności, jednakże najważniejsze fakty czekają jeszcze na swoich odkrywców. Podejrzenia Forta, że gdzieś w przestrzeni znajduje się morze galarety, wydają mi się więc o tyle niewłaściwe, iż w gruncie rzeczy cały Wszechświat jest prawdopodobnie oceanem kleistej galarety o różnych gęstościach. Pulsującą, żywą, olbrzymią kroplą ciągliwej substancji, skupiającej się w pewnych punktach w gęste, dostrzegalne ciała, kroplą wypełnioną niezliczoną ilością pulsacji i drgań, z nieograniczoną mnogością spontanicznych form życia, które wszędzie zmierzają do Rozumu, a wraz z nim do uchwycenia jedności wszystkich pseudorzeczy i pozornie odrębnych istnień. Myślę, że kiedyś – nie wiem w jak odległej przyszłości – ludzie będą się zastanawiać nad mentalnością swoich przodków, którzy mieli odwagę żyć w przerażającym, składającym się tylko z atomów i próżni Kosmosie.

Dziś stoimy na progu, wiedząc już, że Kosmos jest jedną – choć nie jednorodną – przestrzenią o naturze energetycznej.

Charles Fort przewidywał te wibracje nowego myślenia i sam należał do jego pionierów, chociaż nie był uczonym ani filozofem, ani artystą, lecz wszystkim po trochu i w rozmaitych proporcjach, tworząc miksturę trudną do przełknięcia bez pewnego przygotowania.

Atak Forta na dziewiętnastowieczną naukę był uzasadniony, choć może nie we wszystkich punktach. Jej zasługi dla współczesności są ogromne, zaś w wielu dziedzinach badań jej duch nie wymagał chłosty, lecz tylko skromnej reformy. Natomiast jako całość, jako kompleks obejmujący nie tylko uczonych, ale wielkie rzesze ludzi przyjmujących tzw. „naukowy światopogląd” jako system pretendujący do zamknięcia się w nową religię, z własną ortodoksją i z własnym prometeizmem, którego złudność dostrzegany dziś wyraźnie, dziewiętnastowieczna nauka wywołała gwałtowny sprzeciw. Z jednej strony była to rozpaczliwa obrona – używając terminologii Forta – starego systemu teologicznego: rozmaite pisma religijne i przedstawiciele różnych wyznań atakujący naukę, a w szczególności biologię i astropologię, z Biblią w dłoni; z drugiej strony – zastęp ekscentryków, wśród których było zresztą wielu uczonych z poważnymi osiągnięciami na koncie, jak astronom Camille Flammarion, domagających się rozszerzenia horyzontu nauki, większej elastyczności i nieustannego przewartościowywania swych założeń.

Fort uważał, że obraz Kosmosu ulegnie jeszcze niejednej rewolucji, a współczesne mu teorie znajdują się w archiwach cywilizacji, obok obrazu płaskiej Ziemi leżącej na trzech słońcach, które stoją na grzbiecie żółwia. W wędrówkach poza barierą zmysłów człowiek jest zdany nieodmiennie na piętrowe interpretacje, niezależnie od tego, czy jest to gnostyk, czy uczony. Fort uczy, że interpretacjami można się również bawić i że lepiej nie brać własnych poglądów z nadto do serca. Był sceptykiem, totalnym sceptykiem, który w jednej ze swych książek napisał, że nie wierzy ani w jedno napisane przez siebie słowo. Paradoks.

Autora *Księgi rzeczy wyklętych* należy również widzieć w perspektywie zmian, jakim w ciągu wieków ulegała ludzka percepcja otaczającej Ziemię przestrzeni. Nauka, filozofia i literatura współdziałały tu, a czasem przeczyły sobie, tworząc jednak wspólną historię.

Nie sięgając do prapoczątków zauważmy tylko, że do czasów nowożytnych Europejczycy żyli w Kosmosie wymyślonym przez naukę grecką, a w szczególności przez Arystotelesa. Był to Kosmos z niedoskonałą Ziemią, czyli niższym światem, pośred-

ku, otoczoną kryształowymi sferami Księżyc, Słońca, planet i sferą gwiazd stałych, poza którą było już niebo. O ile zatem materialne, roślinne i zwierzęce życie kłębiło się na ziemi, w wodach i w powietrzu świata podksiężycowego, to świat wyższy był królestwem bytów idealnych oraz istot duchowych, czyli aniołów. Mikołaj Kopernik, neoplatonicki matematyk, który nie ufal własnym zmysłom, narobił w tym systemie nieco zamieszania, prawdziwym jednak wstrząsem dla wszystkich filozofów i teologów było zbudowanie w 1609 r. teleskopu przez Galileusza. Przyrząd ten, zwrócony ku niebu, ukazał oczom uczonego góry na Księżycu i plamy na Słońcu! Więc świat nadksiężycowy nie był idealny, lecz być może taki sam jak Ziemia, z górami, morzami i rojącymi się wszędzie cielesnymi istotami.

Rewelacje Galileusza spotkały się z niedowierzaniem. Argumentowano, że Księżyc jest ciałem niebieskim, a jako takie doskonałą kulą i nie może być zniekształcony żadnymi górami. To typ rozumowania, z którego Fort natrząsa się z sadystyczną rozkoszą. Jeśli zaś chodzi o bezpośrednie świadectwo zmysłów, to niektórzy rozsądni uczeni z Padwy, gdzie teleskop Galileusza był dostępny, nie chcieli słyszeć o skorzystaniu z diabelskiego wynalazku.

„Mój drogi Keplerze – pisał Galileusz – jakże żałuję, że nie możemy uśmieć się serdecznie razem! Mamy tu w Padwie głównego profesora filozofii, którego ja nieustannie i usilnie namawian na przyjrzenie się Księżycowi i planetom przez moje szkła, a który uparcie odmawia. Dlaczego cię tu nie ma? Jakież to piękne salwy śmiechu byśmy mieli z tego prześwieconego szaleństwa”.

Przypadek Galileusza nie jest zresztą wcale prosty, gdyż on sam, naigrywając się z profesora filozofii, który wołał wierzyć swojemu rozumowi niż zmysłom, podziwiał Kopernika właśnie za to, że potrafił przy pomocy rozumu przewyciężyć fałszywe świadectwo zmysłów.

W każdym razie wynalazek Galileusza otworzył drogę spekulacjom na temat życia poza Ziemią. Pewien angielski humanista, James Howell, pisze w liście datowanym 2 listopada 1647 r., że „ktokolwiek przeczy nowej teoretycznej opinii na temat zamieszkałych światów i różnych gatunków żyjących istot na Orbicie Księżycy popełnia gruby błąd, gdyż opinia ta jest równie dawna jak Orfeusz, który śpiewał o różnych miastach i zamkach w okręgu Księżycy”. Dalej zaś dodaje, że wśród współczesnych autorów, którzy mogliby poprzeć ideę „kolonii na Orbicie Księżycy i innych niebieskich cia-

lach” znajduje się Galileo Galilei. W 1657 r. ukazała się we Francji tryskająca pomysłami *Histoire comique des Etats de la Lune* (Komiczna historia państw Księżycy) a za nią, w 1662 r., *Histoire comique des Etats et Empires du Soleil* (Komiczna historia państwa i cesarstwa Słońca), oba dzieła autorstwa zmarłego w 1655 r. Cyrano de Bergeraca. W XVIII wieku na Księżyc podróżował baron Munchausen i kilka innych postaci, dając autorom okazję do wyobrażenia sobie form życia odmiennego niż ziemskie. Jest oczywiste, że inne światy stały się głównie domeną literatury, podczas gdy nauka zachowywała ostrożną powściągliwość.

Rzecz ciekawa, że dla Forta perspektywy science-fiction nie były nęcące. Sposób, w jaki podszedł do kwestii miejsca Ziemi w Kosmosie, przyniósł mu niezwykle obfite żniwo dowodząc, że rzeczywistość nie potrzebuje fantazji, gdyż sama w sobie jest fantastyczna. To fantastyczno-realistyczne podejście stanowi o oryginalności jego książek. Z jednej strony można je traktować jako część bogatej tradycji fantastyki naukowej, z drugiej są one pasjonującym zbiorem informacji, czasami sensacyjnej, bardzo często rzetelnej, z poważnych naukowych i popularno-naukowych czasopism. Dzięki tej syzyfowej pracy jednego człowieka, którą powinien by raczej wykonać wyposażony w komputery zespół, uzupełniając fortowski orszak wyklętych danymi ze źródeł we wszystkich językach, przewija się przed naszymi oczami również barwny obraz dziewiętnastowiecznego życia naukowego, poważnych posiedzeń uczonych towarzystw, tryumfów, upadków, światowych podróżników i prowincjonalnych korespondentów.

Czytając Forta musimy też pamiętać, że istnienie w pobliżu Ziemi zamieszkałych światów było w jego czasach zupełnie oczywiste dla milionów ludzi, a nauka wcale znowu tak okrutnie tego nie wykluczała. Dostrzeżenie przez Giovanniego Schiaparellego rzekomych kanałów na Marsie pobudziło wyobraźnię wszystkich i utrwaliło poglądy przekonanych, a Marsjanie byli wystarczająco realni, by wywołać w 1938 r. panikę w Nowym Jorku. Uważa się, że uległo jej wówczas przeszło milion ludzi. Dużo wcześniej, w latach 1896 i 1897, przez Stany Zjednoczone przetoczyła się fala doniesień o tajemniczych statkach powietrznych, pojawiającymi się nad amerykańskimi farmami i miasteczkami, stanowiąc zapewne dla Forta wczesne źródło inspiracji. Jednakże nawet na takim tle jego ekscentryczność nie błędnie, a wizja wiszącego nad naszymi głowami morza, z wyspami i górami lodowymi, z których czasem coś odłupuje się i spada na ziemię, zapiera dech w piersiach, zaś rozdział

o skrzatach i olbrzymach jest po prostu piękny, choć każdy archeolog powie, że mikrolity, czyli miniaturowe kamienne narzędzia, służyły jako ostrza strzał lub były osadzone na drewnianych trzonkach. Akceptacja tego rodzaju literatury nie zależy od stopnia sprawdzalności prezentowanych w niej faktów lub teorii, lecz od zrozumienia, że należy ona do gatunku fantastyczności trójwymiarowej, czyli wkraczającej w rzeczywistość i zlewającej się z nią. Jej dodatkową zasługą jest lechtanie ludzkiej ciekawości i przypominanie, że ogródek nauki nie jest ziemią poświęconą, na którą można wpełzać tylko na kolanach i bez czapki. Świat wyłącznie poważny i wyłącznie naukowy byłby sztywny, nudny, zaś bez ekscentryków myśli nasze poglądy byłyby narażone na ostateczne „uzgodnienie” i niebezpieczne skostnienie.

Charles Fort urodził się 9 sierpnia 1874 r. w Albany, w stanie New York, a zmarł 3 maja 1932 r. w szpitalu miejskim nowojorskiej dzielnicy Bronx. Był człowiekiem nieśmiałym, zamkniętym w sobie, żyjącym oszczędnie z odziedziczonego po rodzicach niewielkiego spadku, który pozwolił mu na dwudziestoseścioletnie wertowanie pism i książek. Prócz żony Anny, która nigdy nie przeczytała żadnej książki i nie zajmowała się tym, co działo się w głowie jej męża, Fort miał dwóch dobrych przyjaciół, wspomnianego już pisarza, Tiffany’ego Thayera i wielkiego amerykańskiego powieściopisarza, Teodora Dreisera.

Przyjaźń z Dreiserem miała dla Forta decydujące życiowe znaczenie. Poznali się w 1905 r., gdy Dreiser objął prowadzenie nowej gazety „Smith’s Magazine” i mimo że musiał drukować głównie pompatyczne powieści w odcinkach, potrafił zawsze znaleźć miejsce dla artykułów o głębszym znaczeniu i informacyjnej wartości. Fort dostarczał niekiedy takich materiałów i wkrótce między obydwoma pisarzami powstała trwająca przez całe życie sympatia. Dla większości ludzi, którzy znali Forta i jego egzotyczne idee na temat niby-egzystencji, już wówczas był on błędnym dziwakiem, natomiast Dreiser ujrzał w nim geniusza, który potrzebował przyjaznego poparcia i nieco prowadzenia.

Będąc człowiekiem o ogromnej energii i otwartym sercu, Dreiser umiał otaczać opieką, siedząc wraz ze swoją żoną Jug nad rękopisami przyjaciół i poszukując dla nich wydawców. Charles Fort dostarczył im swoją pierwszą książkę, którą była sążnista powieść *The Outcast Manufacturers* (*Wynani fabrykanci*), a o której Dreiser donosił mu w liście: „Pani Dreiser jest

wielką wielbicielką Twego dzieła, jednakże uważa, że jest ono trudne w czytaniu, ja zaś podzielałam jej opinię... Niewiele robisz, by zwabić czytelnika”.

Fiasko powieści skierowało zainteresowania Forta w stronę filozofii i nauki. To również łączyło go z Dreiserem. W 1915 r., inspirowany pasją Forta, Dreiser również przesiadywał we wspólnie zaopatrzonej New York Public Library, pochłaniając artykuły na temat fizyki i chemii. W tym okresie powstał też pierwszy zarys *Księgi rzeczy wykletych*, na razie pod znaczącym tytułem *X*.

W pierwszych miesiącach 1916 r. Dreiser wysłał rękopis Forta Waldemarowi Kaempffaertowi z „Popular Science Monthly” z prośbą o opinię, a w istocie z cichą nadzieją, że ktoś jeszcze pozna się na geniuszu jego przyjaciela. Kaempffaert odesłał rękopis z komentarzem: „Zebrano tu ogromną ilość materiału, który nie jest jednak właściwie użyty... Kiedy człowiek mówi, że nie ma czegoś takiego jak obiektywna rzeczywistość, a potem wykorzystuje naukowe badania dotyczące tej właśnie obiektywnej rzeczywistości, by wykazać swoje racje, to coś tu musi być nie w porządku”. Nie przekonało to Dreisera, który próbował namówić do wydania rękopisu swego ówczesnego wydawcę, Alfreda Knopfa, lecz tu również spotkał się z odmową.

Rok później Dreiser zmienił wydawcę, co miało zmienić również życie Charlesa Forta. Nowym wydawcą był trzydziestoletni Horace Liveright, urodzony gracz z Pensylwanii, który porzucił maklerski interes na Wall Street, żeby założyć z Albertem Boni spółkę wydawniczą Boni Liveright. Obaj wydawcy byli utalentowni, energiczni i wierzyli w dobrą literaturę, jednym słowem byli stworzeni dla Dreisera, który dotąd miał z wydawcami same kłopoty. Liveright pożądał oczywiście Dreisera, pragnąc wydać jego „dzieła wszystkie”, co miałoby dla pisarza ogromne prestiżowe znaczenie, nie chciał natomiast słyszeć o wydaniu Forta, którego rękopis *X* Dreiser natychmiast mu przedstawił. Problem znalezienia wydawcy dla żyjącego w biedzie i niezaradnego przyjaciela wisiał nad Dreiserem jak ciemna chmura, stanowiąc w jego oczach jeden z dowodów duchowej pływaczności Ameryki. Tymczasem wielki, rozczochrany Fort zapadał w coraz głębsze osamotnienie, zamknięty w swoim obskurnym mieszkaniu na 43 Ulicy i otoczony tysiącami notatek w tekturowych pudełkach po obuwiu. Czytanie jego rękopisów było wędrówką w inny świat, gdzie wszystko stawało się możli-

we, a racjonalnie myślący człowiek mógł doznać prawdziwego zawrotu głowy od pomieszania wnikliwych obserwacji i otwartej blazenady. Jednak Dreiser był zawsze wielbicielem ekscentryków, w jego własnej rodzinie roilo się od nich, choć ciekawe, jak wielki pisarz godził swój szacunek dla nauk ścisłych z nieśląbną admiracją dla przyjaciela, który kpil z ich rzekomej ścisłości bez żadnych ceremonii. Fort doceniał przyjaźń Dreisera i honorował ją w swój szczególny sposób:

„Bezmięsny koktail”.

Bierzesz kufel piwa i wrzucasz do niego złotą rybkę – zamiast czereśni lub oliwki, lub jakiejś innej rzeczy, która przyszlaby do głowy każdemu.

Lykasz.

Uczucie pochłonięcia jakiegoś innego organizmu jest cudownie odrażające.

Myślę, że jest to niemoralne. Nazwałem go koktailem Dreisera.
(Fort do Dreisera, 21 stycznia 1918 r.)

Przypuszczam, że Liveright odrzucił rękopis Forta nie z powodu idei w nim zawartych, gdyż był to wydawca zainteresowany nowymi ideami i radykalnymi pomysłami, pochłonięty szokowaniem rynku twórczością Dreisera, dramatami O'Neilla i ideami pacyfisty Latzko, lecz że gwałtowny, ekscentryczny język Forta był niestrawny nawet dla niego. Jednak napór Dreisera działał. Fort również przerabiał swój manuskrypt i wreszcie wiosną 1919 r. *The Book of the Damned* osiągnęła swą dojrzałą postać. Dreiser był zachwycony, pisząc do Forta: „Cudowna, barwna, uduchowiona – jak szczyt lub otwarte okno wieży z widokiem na rozległe królestwa... Kapelusze z głów. Wykorzystałeś swoje życie jak należy. Ta książka będzie opublikowana, a ja dołożę do tego wszelkich starań”.

„Wszelkie starania” Dreisera to ultimatum dla Liverighta: albo wyda Forta, albo straci Dreisera. W ten sposób *Księga rzeczy wyklętych* ujrzała świat.

Ukazanie się tej książki na rynku wywołało rzecz jasna krytyczne komentarze wielu z przyjaciół Dreisera, którzy nie zrozumieli przesłania Forta i wzięli wszystkie jego teorie bez uśmiechu: „Czy ten Fort poważnie utrzymuje, że gdzieś w powietrzu nad nami unosi się Morze Supersargassowe i że to stamtąd spadają meteory, krew, żaby i wszystkie rzeczy, które wymienia?

Ten człowiek nie ma pojęcia o podstawach nauki, a szczególnie biologii”.

W odpowiedzi na taki atak Dreiser pisze: „Uważam Forta za jedną z najbardziej fascynujących osobowości, jakie zdarzyło mi się spotkać w życiu. Jest to wielki myśliciel i człowiek o głębokim, gorzkim poczuciu humoru. Przylepianie mu łatki ignoranta jest używaniem łatwych słów bez porządnego zapoznania się z jego dziełem. Fort nie jest ignorantem w żadnej dziedzinie. Wznosi się on ponad każdego literackiego rzemieślnika w tym kraju do tego stopnia, że porównywanie wydaje się próżne... Nikt w świecie, moim zdaniem, nie ukazał jego głębi, jego mistycznej podszewki tak, jak to zrobił Fort. Dla mnie jest on po prostu wspaniały i jestem pewien, że któregoś dnia osiągnie pełne uznanie”.

Umiarkowany sukces pierwszej książki ułatwił Fortowi wydanie następnych: *New Lands (Nowe lądy)* i *Lo (Patrz)*. Nie zmieniło to jednak ani jego charakteru, ani stylu życia. Pozostał samotnikiem, odwiedzając Dreiserów tylko wtedy, gdy upewniał się, że nie będą mieli żadnych gości. Uwielbienie Dreisera musiało niewątpliwie działać na niego jak kojący plaster, wynagradzając wszystkie porażki, drwiny i wrogie ataki. „Jesteś najbardziej fascynującą postacią w literaturze amerykańskiej od czasów Poego. – pisał Dreiser – Jesteś – wszystko co wiem wskazuje na to – pionierem całkowicie nowego światopoglądu. Twoje książki poruzyły i zadziwiły mój umysł tak, jak żadne inne...”

W początkach 1932 r. Fort zauważył niepokojące oznaki upadku zdrowia: „Nie będąc wyraźnie chory nie mogę jednak chodzić, ani palić w połowie tyle co dawniej, musiałem też ograniczyć się w jedzeniu, źle śpię i nie mogę pić piwa”. Kiedy zaś z półki spadła paczka cukru Fort zrozumiał, że zbliża się śmierć. Konsekwentny w podejrzeniu nauki o nienaukowość odmówił pomocy lekarskiej i zmarł 3 maja, licząc sobie 58 lat. Tuż przed śmiercią udało mu się skończyć ostatnią książkę, *Wild Talents (Dzikie talenty)*, która ukazała się dwa tygodnie po jego pogrzebie.

Poświęcenie stosunkom Forta z Teodorem Dreiserem kilku stron w przedmowie do pierwszego polskiego wydania *Księgi rzeczy wyklętych* wydaje się niezbędnym oddaniem sprawiedliwości wielkiemu pisarzowi, bez którego podziwu i determinacji nieśmiały i zamknięty w sobie dziwak nigdy nie zdołałby się przebić przez niezrozumienie wydawców.

Tiffany Thayer również był zachwycony książkami Forta, choć może bardziej niż fortowski mistycyzm podobało mu

się fortowskie poczucie humoru i jego szelmowska przewrotność. O ile zatem dla Dreisera Fort był Pionierem Nowego Myślenia to dla Tiffany'ego był on przede wszystkim Wielkim Kpiarzem. Podobną interpretację przyjęło również wielu innych pisarzy i postaci nowojorskiego świata literackiego. Za kpina musiało się jednak kryć coś istotnego. W przedmowie do jednego z późniejszych wydań *Księgi rzeczy wyklętych* Tiffany Thayer ujął to następująco: „Uważam, że jest to jedna z największych książek świata – z całą pewnością w pierwszej dekadzie. Ocena ta opiera się raczej na jej potencjale, niż na wymiernych efektach jej oddziaływania: na potencjale, który tkwi w jej mocy generowania u czytelników myślenia, bez podpowiadania im, co mają myśleć. Jest to również cel działania naszych szkół, którego jednak nigdy nie osiągnęły. Książka jest znakomicie napisana – czego nie mógłbym powiedzieć o tekstach szkolnych, które kiedykolwiek zdarzyło mi się czytać. Zachęca ona ciekawych do pytania, a wścibskich do węszenia. Czy jest jakaś ważniejsza misja na Ziemi?”

W 1931 r. krąg wielbicieli Forta zgromadził się na bankiecie w Savoy Plaza, gdzie formalnie powstało Fortean Society, ukonstytuowane jako „międzynarodowe zrzeszenie filozofów” z zadaniem udzielania poparcia i schronienia beznadziejnym sprawom i błędnym rycerzom myśli: zwolennikom płaskiej Ziemi, przeciwnikom wiwisekcji, orędownikom powszechnego rozbrojenia. Podstawowym i jedynym artykułem wiary Towarzystwa stała się myśl Forta, że nie należy w nic święcie i niezłomnie wierzyć, lecz jedynie czasowo i przejściowo akceptować.

W 1937 r. Thayer zaczął wydawać „Fortean Society Magazine”, noszący później tytuł „Doubt” („Wątpliwość”), poświęcony materiałom nadsyłanym przez członków Towarzystwa, a także nieopublikowanym notatkom samego Forta, których trzydzieści dwa pudła Thayer otrzymał w spadku.

Natomiast poza kręgiem wielbicieli, kontrowersyjne książki Forta wywołały oburzenie „wiernych” naukowej ortodoksji, którzy ochrzcili go arcywrogiem nauki, naigrywając się z deszczów krwi i żab oraz klasyfikując autora *Księgi rzeczy wyklętych* jako chorążego ignorancji i irracjonalizmu. O głębokości urazy, jaką Fort wywołał u ludzi bardzo poważnie myślących świadczy fakt, że ten autor czterech książek – dziwnych co prawda, lecz znaczących – autor, który wywarł wpływ na myślenie wielu ludzi, a w szczególności na współczesną science-

fiction, został zgodnie zignorowany i „wykluczony” przez wszystkie amerykańskie słowniki biograficzne i encyklopedie. Autor *Księgi rzeczy wyklętych* dostąpił wyklęcia. Fort śmiałby się z tego.

Zygmunt Kubasiak

Charles Fort o sobie samym.

Tekst ten został napisany na życzenie redakcji „Daily News” w związku z zainteresowaniem czytelników osobą autora *Księgi rzeczy wyklętych*.

Księgę rzeczy wyklętych zacząłem pisać, kiedy właściwie byłem jeszcze chłopcem. Zdecydowałem wówczas, że zostanę naturalistą, badaczem różnych przyrodniczych zjawisk. Czytałem więc żarłocznie, wypychałem ptaki, zbierałem i opisywałem minerały, kolekcjonowałem owady, nabijając je na szpilki i zaopatrując w etykiety, tak jak to widywałem w muzeach. Później zostałem reporterem, lecz zamiast fotografować ciała w kostnicach, parady szkółek niedzielnych w Brooklynie, hodowców warzyw i przestępców, porządkowałem swoje doświadczenia, krzątając się nad nimi, tak jak niegdyś krzątałem się nad ptasimi jajami, minerałami i insektami.

Ilekoć słyszę, że ktoś nie potrafi zrozumieć snów, czy też raczej, że nie widzi w nich nic nadzwyczajnego i szczególnie mistycznego, ogarnia mnie zdziwienie. Niech no tylko każdy spojrzy wstecz na swoje życie. Nie ma takich fenomenów w snach, które nie byłyby charakterystyczne dla życia w ogóle: zanikanie, blednięcie, roztopianie się w czymś odległym i ostatecznym – a choć tak ciekawe były czasem, tak podniecające, pozostają po nich jedynie szczątki, zimne, martwe szczątki. Zbrodnie i altruizm. Tu właśnie, między życiem i snem, narodził się monizm, którym nasyciłem stronicę *Księgi rzeczy wyklętych*: roztopianie się jednych rzeczy w innych, łączenie się wszystkiego, niemożliwość odróżnienia jednego zjawiska od drugiego w ścisłym, kategorycznym sensie, niemożność odróżnienia naszej codzienności od egzystencji we śnie.

Zdecydowałem napisać o tym książkę i zacząłem tworzyć powieść. Siedziałem nad nią przez okrągły rok, spłodziwszy prawie trzy i pół miliona słów. Wydawało mi się wówczas, że z wyjątkiem pisania powieści, która wyglądała pewnie jak dziecko kangurzyca, nie mogło być w okolicy lepszej podniety do kontynuowania egzystencji. Prawnicy, naturaliści, robotnicy

portowi, senatorowie Stanów Zjednoczonych – co za posępny los! Gdy jednak, po roku pracy, nie napisałem tego, co chciałem, rzuciłem powieść i zacząłem życie od nowa, zostając ultranaukowym realistą.

Robiłem straszliwe ilości notatek. Miałem całą ścianę w szufladkach – 25 000 fiszek. Drżałem na myśl o możliwości pożaru, rozmyślałem o robieniu notatek na jakimś materiale ogniotrwałym, a w końcu okazało się, że nie było w nich tego, o co mi chodziło – i wszystko zniszczyłem sam. Teodor Dreiser nigdy mi tego nie wybaczy.

Moje pierwsze chłopięce zainteresowania miały przyrodniczy charakter, realizm zesłał mnie znów do tej rodzinnej prowincji. Zabrałem się więc do studiów i przez osiem lat zgłębiałem wszystkie sztuki i nauki, o jakich zdarzyło mi się zasłyszeć, nie mówiąc o dziesiątkach tych, które sam wymyśliłem. Dziwiłem się ludziom zadowolonym ze statusu pisarza, właściciela hut i stalowni, krawca, gubernatora i zamiatacza ulic. Następnie nasunęła mi się myśl zebrania notatek z wszystkich dziedzin wiedzy na temat wszystkich znanych fenomenów, a potem znalezienie w tej różnorodności faktów takich zgodności, które mogłyby wskazywać na ogólny kosmiczny porządek i na jedność Wszechrzeczy.

Znowu zbierałem notatki dotyczące zasad i zjawisk astronomii, socjologii, psychologii, badań podwodnych, nawigacji, wulkanów, religii, seksu i dżdżownic – wszystko rozpatrując pod kątem podobieństw pomiędzy najodleglejszymi pozornie różnicami, takimi jak astronomiczne, chemiczne i socjologiczne wartościowości; astronomiczne, chemiczne i socjologiczne perturbacje; jak kombinacje chemiczne i muzyczne, zjawiska morfologiczne i magnetyzm, chemia i pociąg seksualny. W rezultacie wylądowałem na stosie 40 000 fiszek, ułożonych jako tako według 1300 nagłówków w rodzaju: „Harmonia”, „Równowaga”, „Katalizatory”, „Nasycenie”, „Metabolizm”.

Było to 1300 piekielnych poczwara szydzących na 1300 głowach z moich prób osiągnięcia ostatecznej syntezy. I znowu napisałem książkę, w której było niewiele z tego, co próbowałem wyrazić. Zredukowałem ją tedy z pięciuset czy sześciuset stron do dziewięćdziesięciu. A potem rzuciłem ją w ką. Nie był to owoc, którego pożądałem. Jednakże siła 40 000 fiszek uległa uległa w niej ich hipnotyzująca natura i ich ortodoksyjny materializm. Tynall mówi to, Darwin mówi tamto, chemicy, astronomo-

wie i geolodzy udowodnili to, tamto i owo; autorytatywność, pozytywność, oficjalność, urzędowość – aż w końcu monizm i duch przekory skłoniły mnie do napisania, że nawet dwa plus dwa równa się cztery tylko i wyłącznie na podstawie arbitralnej decyzji i konwencji, czyli że nie ma, nie istnieje żadna niezaprzeczalna prawdziwość, że nawet najgłębiej zahipnotyzowany ma jakąś niejasną świadomość swego stanu i że – nekany wątpliwościami i niezadowolaniem – nigdy nie byłem wyznawcą naukowej ortodoksji.

Jedność Wszeczhreczy. Doszedłem też do wniosku, że w moich próbach znalezienia wspólnego podłoża wszystkich fenomenów popełniłem błąd, kończąc na sklasyfikowaniu wszystkiego w dwa wielkie porządki; porządki te bowiem reprezentują tylko idealne punkty graniczne, ale nie istnieją w ogóle w naszym stanie pozorności, zaś my wszyscy i wszystkie inne zjawy i fantasmagorie supersnu jesteśmy wyrazem kosmicznego falowania i stopniowania pomiędzy nimi. Jedną z tych ekstremalnych granic nazywamy chaosem, nierzeczywistością, nierównowagą, brzydotą, niezgodą, brakiem zwartości i logiki; drugą z nich zwiemy porządkiem, rzeczywistością, równowagą, pięknem, harmonią, sprawiedliwością i prawdą. Ta opozycja i cała pozorność bytu pomiędzy nimi są podszewką *Księgi rzeczy wyklętych*. Czymś, z czego wiele osób wolałoby nie zdawać sobie sprawy.

Charles Fort

Rozdział I

Z otchłani Międzybytu

Korowód wyklętych. Przez wyklętych rozumiem odrzuconych. Będzie to korowód faktów odrzuconych przez naukę.

Legiony przeklętych, idących pod wodzą odgrzebanych przeze mnie i zblakłych już wydarzeń. Będziecie je czytali, a one będą się przesuwac w korowodzie. Niektóre sine, niektóre gorejące, niektóre w rozkładzie.

Część z nich to trupy, szkielety, podrygujące, chwiejące się mumie, podtrzymywane i ożywiane przez niegdyś rześkich piekielnych towarzyszy. Są olbrzymy, które będą przechodzić we mnie. Są rzeczy pewne jak teorie matematyczne i rzeczy, które są strzępami; pójdą ramię w ramię, jak duch Euklidesa z duchem anarchii. Tu i tam przemknie się mała zalotnica. Wiele z nich to tylko kłowny, lecz wiele zasługuje na najwyższy szacunek. Są też i mordercy. Są spelzłe smrody i zmizerniałe przesady, zwyczajne cienie i żwawe złońnice, fanaberie i uprzejmości. Naiwne i pedantyczne, niesamowite i groteskowe, szczere i fałszywe, poważne i dziecinne.

Ich wygląd jest zarazem godny i rozwiązły, ich wspólny głos jest wyzywającą modlitwą, lecz całość przenika duch procesyjnej powagi. Mocą, która rzekła wszystkim tym istotom, że są wyklęte, jest Dogmatyczna Nauka.

Lecz one zaistnieją i pójdą w korowodzie. Małe swawolnice będą płasac, potwory rozpraszac uwagę, kłowny łamac rytm pochodu swoją błazenadą – lecz siła korowodu jako całości to posuwanie się jednych, nadchodzenie drugich, to ciągłość, ciągłość i ciągłość pochodu.

Nieodpartość rzeczy, które ani grożą, ani szydzą, ani przeczą, lecz łączą się w masę, która toczy się i prze, i trwa w swym ruchu. Tak więc przez wyklęte rozumiem wykluczone. Albo: wszystko co jest, być przestanie. A wszystko, czego nie ma – zaistnieje. Ale też zgola oczywiste, że to co będzie – nie będzie.

Powiadamy, że przepływ między tym, czego nie ma i czego nie będzie, czyli stan, który absurdalnie zwie się egzystencją, jest rytmem nieba i piekła, że wyklęte nie będzie wyklęte, że zbawienie jest tylko czymś, co poprzedza zgubę. Wynika stąd, że pewnego dnia nasi przekleści łachmaniarze będą jaśnieć jak anioły. Lecz za tym pierwszym wnioskiem kryje się drugi, że innego pewnego dnia powrócą tam, skąd przyszli.

Powiadamy, że nic nie może zaistnieć inaczej, jak tylko przez usiłowanie wykluczenia czegoś innego, i że to, co zazwyczaj nazywa się „bytem” jest stanem wypracowanym mniej lub bardziej ostatecznie przez proporcje w formalnych zewnętrznych różnicach między tym, co jest włączone, a co odrzucone.

Lecz powiadamy także, iż nie ma formalnych różnic, zaś wszystkie rzeczy są jak mysz i robak w środku sera. Mysz i robak – nie ma dwóch rzeczy równie niepodobnych. Lecz siedzą wspólnie w serze przez tydzień i siedzą przez miesiąc, i w końcu nie są niczym innym tylko transmutacją sera. Myślę więc, że wszyscy jesteśmy robakami i myszami, i wszyscy jesteśmy tylko różnymi postaciami wszechobejmującego sera.

Lub też, że czerwone nie różni się bezwzględnie od żółtego, będąc tylko innym stopniem wibracji tego, czego wibracją jest również żółte; że czerwone i żółte to kontynuacja tego samego, albo też, że zlewają się w pomarańczowym.

Tak więc, gdyby zdarzyło się Nauce klasyfikować fenomeny na bazie żółtości i czerwoności, włączając wszystkie czerwone rzeczy jako prawdziwe, a wyłączając wszystkie żółte przedmioty jako fałszywe lub iluzoryczne, linia demarkacyjna między nimi byłaby fałszywa i arbitralna, ponieważ przedmioty koloru pomarańczowego, znajdującego się pomiędzy żółcią a czerwienią leżałyby po obydwu stronach tak pojętego podziału.

Idąc tym śladem uderzy nas fakt, że przecież nigdy nie wymyślono innej, rozsądniejszej podstawy klasyfikowania, włączania i wyłączania, niż ta, ilustrowana wyżej przez czerwone i żółte.

Nauka, odwołując się do rozmaitych zasad, uznała znakomitą większość faktów, i gdyby tego nie uczyniła, nie byłoby niczego, czym by mogła podeprzeć swe istnienie. Jednak odwołując się do różnych zasad nauka także mnóstwo faktów usunęła. Lecz jeśli czerwien jest kontynuacją żółci, każda podstawa przyjęcia jest tożsama z podstawą odrzucenia, Nauka usunęła z pewnością wiele faktów, które stanowią kontynuację faktów akceptowanych. Przykład czerwieni i żółci łączących się w kolorze pomarańczowym uosabia wszystkie testy, standardy, wszystkie

środki formowania opinii.

Lub raczej, że jakakolwiek opinia, zwłaszcza kategoryczna, o czymkolwiek jest iluzją wzniesiona na błędnej przesłance, że istnieją różnice bezwzględne między przedmiotami, które umożliwiają sądzenie. Że każde poszukiwanie rozumu ma w stosunku do wszystkiego – faktów, podstaw, generalizacji, praw, formuł – przesłankę większą, która jest sformułowana kategorycznie, i że najlepsze, co kiedykolwiek zostało zrobione to stwierdzenie, że pewne rzeczy są oczywiste same przez się – podczas gdy przez oczywistość rozumiemy oparcie jednego rozumowania na innym. Że jest to poszukiwanie, które wszelako nigdy nie osiągnęło celu, nauka zaś działała, rządziła, ogłaszała, potępiała, jak gdyby do celu dotarła.

Co to jest dom? Nie ma możliwości by powiedzieć czym coś jest, jako formalnie różniące się od czegoś innego, jeśli nie ma zasadniczych różnic jako takich. I stodoła jest domem, jeśli ktoś w niej mieszka. A jeśli zamieszkanie stanowi o istocie domu, bo przecież nie architektura, to i ptasie gniazdo jest domem – ludzka obecność nie jest tu warunkiem koniecznym, by sądzić tylko na jej podstawie, i nie materiał, gdyż mówimy również o śnieżnych domach Eskimosów. Muszla jest domem kraba-pustelnika, lub była domem mięczaka, który ją uformował, więc rzeczy tak na pozór formalnie odmienne jak Biały Dom w Waszyngtonie i muszla na plaży mogą być pojmowane jako ciągłość.

Nikt też nie potrafi powiedzieć dokładnie czym jest, na przykład, elektryczność. Nie jest to coś dające się wyraźnie odróżnić od ciepła, magnetyzmu lub życia. Metafizycy, teolodzy i biolodzy próbowali zdefiniować życie i zawiedli, ponieważ w pozytywnym sensie nie ma tu czego definiować; nie ma takiego fenomenu życia, który by nie był, do pewnego stopnia, obecny w chemii, magnetyzmie i ruchach ciał niebieskich.

Biała rafa koralowa i błękitne morze. Ich pozorna różność, pozorna odrębność, wszakże obydwie zjawiska wznoszą się z tego samego morskiego dna. Różnica między morzem i lądem jest tylko formalna. W każdej wodzie jest trochę ziemi, w każdej ziemi jest trochę wody.

Tak więc wszystkie pozornie odrębne rzeczy nie są rzeczami bardziej, niż jest rzeczą samą w sobie stołowa noga, zaś wszystko jest międzyciągłością. Tak więc osoba, jeśli ujmować ją fizycznie, jest tylko częścią środowiska, jeśli zaś psychicznie, to również nie jest czymś więcej niż postawą i wyrazem związku ze swym środowiskiem.

Nasza generalna formuła ma dwa aspekty. Konwencjonalny monizm mówiący, że wszystkie rzeczy, które zdają się mieć swoją własną tożsamość, są tylko wyspami wyrastającymi z tego samego dna i w gruncie rzeczy nie mają własnej, odrębnej rzeczywistości.

Lecz wszystkie te „rzeczy”, jakkolwiek są jedynie projekcjami, jako projekcje walczą o oderwanie się od tego wspólnego podłoża, które przeczy ich odrębnemu istnieniu.

Pojmuje to jako wszechciągłość, w której i której wszystkie rzeczy są tylko różnymi ekspresjami, lecz w której wszystkie rzeczy mają swą lokalizację, czy też próbę oderwania się i zaistnienia jako realna rzecz, całość, ostateczne oddzielenie i pełna niezależność – osobowość lub dusza, jak zwykle się mówi w przypadku ludzkiego fenomenu.

Że wszystko, co usiłuje utanowić się jako rzeczywiste lub formalnie odrębne, jako absolutny system, rząd, organizacja, jaźń, dusza, całość, indywidualność, może osiągnąć to tylko przez zakreślenie kręgu wokół siebie, albo przez skupianie i włączanie, konstytuując się samorzutnie, potępiając i wypierając, lub odrywając się od innych rzeczy.

Jeśli zaś tak nie czyni, to zdaje się nie istnieć.

A jeśli tak czyni, to działa fałszywie, arbitralnie, bezowocnie i zgubnie, jak ktoś zakreślający krąg na wodzie, twierdząc, że fale poza kręgiem są zdecydowanie inne od znajdujących się wewnątrz i ręczący głową, że między przyjętym a odrzuconym jest formalna różnica.

Twierdzimy, że cała nasza egzystencja jest ożywieniem lokalnego przez jakąś idealność realizującą się jedynie powszechnie. Ze jeśli wszystkie wykluczenia są fałszywe, ponieważ zawsze wykluczane i wkluczane stanowi jedność, że jeśli wszelki pozór postrzeganej przez nas egzystencji jest rezultatem wykluczania, to nie ma niczego w świecie postrzeganym, co miałoby rzeczywistą egzystencję; że tylko uniwersalne może istnieć naprawdę.

Przedmiotem naszego szczególnego zainteresowania jest tu współczesna nauka jako manifestacja tego jedynego ideału czy celu lub proces. Która niesłusznie wyklucza, gdyż nie ma bezwzględnie pewnych standardów sądzenia, która wyklucza zjawiska mające na mocy jej własnych pseudo-Standardów takie samo prawo do bytu jak i te wybrane.

Twierdzimy ogólnie, że stan nazywany powszechnie i absurdalnie „egzystencja” jest płynnością i nurtem, jest próbą przejścia od negatywności do pozytywności i zawieszeniem między nimi.

Przez pozytywność rozumiemy harmonię i równowagę, porządek, regularność, stabilność, jedność, realność, system, rząd, organizację, wolność, niezależność, duszę, jaźń, osobowość, jednostkowość, indywidualność, prawdę, piękno, sprawiedliwość, perfekcję, skończoność.

Wszystko to, co zwane jest postępowym rozwojem lub ewolucją, jest ruchem lub dążeniem ku temu stanowi, dla którego, lub dla jego aspektów, jest tyle różnych nazw zawartych wspólnie w jednym słowie „pozytywność”.

Na pierwszy rzut oka wspólnota ta może nie być witana zbyt chętnie. Może się zdawać, że różne te słowa nie są wcale synonimami, bo choć przez „harmonię” możemy rozumieć „porządek”, ale na przykład przez „niezależność” nie rozumiemy przecież „prawdy”, zaś przez „stabilność” nie rozumiemy wcale „piękna”, „systemu”, „sprawiedliwości”.

Ja zaś przedstawiam sobie to wszystko jako wszechciągłość, która wyraża się sama w fenomenach astronomicznych, chemicznych, biologicznych, psychicznych i socjologicznych, która wszędzie usiłuje lokalizować pozytywność, którym to usiłowaniami w różnych obszarach fenomenalnych, różniących się jedynie pozornie, dajemy różne nazwy. Mówimy zwykle o „systemie” planetarnym, a nie o „rządzie”, lecz w innych dziedzinach słowa te są często wymienne. Zwykle się dawniej mówi o równoważności chemicznej, lecz nie o równoważności lub równowadze społecznej; te fałszywe podziały już się załamują. Zobaczymy, że wszystkie te słowa odnosimy do tego samego stanu, choć w codziennym użytku i jako terminy powszechnego złudzenia synonimami oczywiście nie są. Dla dziecka robak wygrzebany z ziemi nie jest zwierzęciem. Jest nim dla biologa.

Przez „piękno” rozumie to, co zdaje się być kompletne. I przeciwnie, niekompletne, okaleczone jest brzydkie. Wenus z Milo dla dzieci jest brzydka. I dopiero gdy umysł dostosuje się do myślenia o niej jako o kompletności, choć z fizjologicznego punktu widzenia pozostaje wciąż kaleką, staje się piękną.

Ręka, jako przedmiot kontemplacji, może być piękna. Lecz znaleziona na pobojowisku – w oczywistości okaleczenia – piękna nie jest.

Że zaś wszystko w naszym doświadczeniu jest tylko częścią czegoś innego, co z kolei jest częścią czegoś wciąż innego, to nie ma piękna w naszym doświadczeniu, a tylko pozory zawieszony między pięknem i brzydotą; gdyż tylko uniwersalność jest kom-

pletna, i tylko kompletne jest piękne, zaś wszelkie usiłowanie by osiągnąć piękno jest próbą nadania czemuś lokalnemu atrybutów uniwersalnych.

Przez stabilność rozumiemy coś nieruchomego i odpornego. Lecz wszystkie pozorne rzeczy są tylko reakcjami na coś innego. Stabilność może być więc także tylko cechą uniwersum, gdy obok nie ma już niczego innego. I chociaż niektóre rzeczy zdają się być – lub są – bardziej stabilne niż inne, to w naszym doświadczeniu istnieją tylko różne stopnie pośrednie między stabilnością i niestabilnością. Każdy więc człowiek, który pracuje dla stabilności pod jej różnymi imionami, jak „stałość”, „przeżycie”, „trwanie”, usiłuje jedynie doprowadzić coś do stanu, który jest możliwy wyłącznie dla uniwersum jako całości.

Przez niezależność, jednostkowość i indywidualność rozumiemy tylko coś, obok czego lub poza czym nie ma już niczego innego. Bo jeśli są choćby dwie rzeczy, to już muszą być zespolone ciągłością, wzajemnie zależne, gdyż wszystko jest tylko reakcją na coś jeszcze i jakiegokolwiek dwa przedmioty będą zawsze destrukcyjne dla swej niezależności, jednostkowości i indywidualności.

Wszystkie przedsięwzięte organizacje, systemy i zgodności, jedne udane dużo bardziej niż inne, lecz wszystkie tylko zawieszane między Ładem i Nieładem, upadają ostatecznie z powodu ich powiązań i zewnętrznymi siłami. Wszystkie są tylko całościami zamierzonymi. I jeżeli w stosunku do lokalnych fenomenów zasze istnieją jakieś zewnętrzne siły, to zamierzenia te także mogą być spełnione jedynie w takim stanie kompletności, w stosunku do którego żadnych zewnętrznych sił już nie ma.

Więc wszystkie te słowa są synonimami, wszystkie oznaczają jeden i ten sam stan, który nazwiemy stanem pozytywnym.

Cała nasza „egzystencja” stara się uporczywie osiągnąć ten stan.

Zdumiewające w tym wszystkim, że jest tylko ten jeden proces, który ożywia wszystkie przejawy tego, o czym myślimy jako o jednej wszechciągłości, we wszystkich polach fenomenów.

Ludzie religijni i ich idea, czyli kwestia duszy. Rozumieją przez nią oddzielną, trwałą istotę, albo też stan niezależny, nie zaś po prostu przepływ wibracji i kompleks reakcji na otoczenie, łączący się z niezliczonym mnóstwem innych, współzależnych kompleksów.

A przecież jedyną rzeczą, która nie stopiłaby się z innymi byłaby tylko ta, obok której nic już innego nie ma.

Prawda jest tylko inną nazwą stanu pozytywnego, a poszukiwanie prawdy próbą osiągnięcia pozytywności.

Uczeni, którzy myśleli, że szukają Prawdy, próbowali jedynie odkrywać cząstkowe prawdy astronomiczne, chemiczne lub biologiczne. Zaś Prawda jest tym, poza którym nie ma już nic; nic co mogłoby ją zmienić, podawać w wątpliwość i płodzić wyjątki; Prawda ogarnia wszystko i jest wszystkim.

Przez Prawdę rozumiem Uniwersalne.

Tak więc chemicy, którzy szukali prawdy lub tego, co rzeczywiste, zawsze ponosili porażki w swych usiłowniach z powodu powiązań chemicznych zjawisk z zewnętrznymi przyczynami, przegrywali w tym sensie, że nigdy nie zostały odkryte prawa chemiczne bez wyjątków, gdyż chemia jest kontynuacją astronomii, fizyki, biologii. Gdyby, na przykład, zdarzyło się Słońcu zmienić odległość w stosunku do Ziemi, a ludzie mimo wszystko zdolaliby przetrwać, to znajome formuły chemiczne nie byłyby dłużej użyteczne – i trzeba by się uczyć chemii od nowa.

Wszystkie próby odkrycia Prawdy w czymś szczególnym są próbami znalezienia uniwersalnego w lokalnym.

Oto artyści z ich dążeniami do pozytywności pod nazwą „harmonii” – ich pigmenty utleniają się i podlegają rozmaitym rozkładowym wpływom środowiska, zaś struny i instrumenty muzyczne kłopotliwie raczej dostosowują się do chemicznych, cieplnych i grawitacyjnych warunków – ciągle i ciągle ta jedyność wszystkich ideałów, ten wysiłek bycia lub osiągnięcia lokalnie tego, co jest możliwe tylko jako uniwersalne. W doświadczeniu naszym istnieje tylko zawieszenie pomiędzy harmonią i dysonansem. Harmonia jest tym, poza czym nie ma już żadnych sił zewnętrznych.

Albo narody pchane do walki przez jeden główny motyw, pragnienie indywidualności, jednostkowości, pragnienie bycia realnym, skończonym narodem; ani poddanym, ani też częścią innego narodu. Lecz nic prócz pośredniości nie mogło nigdy być osiągnięte, historia zaś jest sprawozdaniem kłesk w tych próbach, gdyż zawsze są jakieś zewnętrzne siły, jakieś inne narody walczące o ten sam cel.

Jeżeli chodzi o fenomeny fizyczne, chemiczne, mineralogiczne, czy też astronomiczne, to nie mówi się o nich, że dążą do osiągnięcia Prawdy lub Bytu Udzielnego, lecz że wszystkie ich ruchy zmierzają ku Równowadze, że nie ma innych ruchów jak tylko ku Równowadze, oczywiście zawsze z tyłu, zawsze za jakimś innym przybliżeniem do Równowagi.

Zaś wszystkie fenomeny biologiczne zacierają do przystosowania; nie ma biologicznych akcji innych niż przystosowanie. Przystosowanie jest inną nazwą Równowagi. Równowaga jest Uniwersalnym, tym co nie może być zakłócone przez żaden czynnik zewnętrzny.

Ale że wszystko, co zwiemy „bytami” jest w ruchu i że wszystek ruch jest wyrazem nie równowagi osiągniętej, lecz równoważenia się, że wszystkie czynności życiowe są wyrazem równowagi nieosiągniętej, i że wszystkie myśli odnoszą się do nieosiągniętego, przeto mieć to, co nazywamy bytem w naszym pozornym stanie nie znaczy bycia w sensie pozytywnym, lecz *bycia pośrednie pomiędzy Równowagą i Nierównowagą*.

Tak więc wszystkie fenomeny w naszym pośrednim stanie reprezentują to jedno powszechne dążenie do organizacji, stabilności, harmonii, indywidualizmu – do pozytywności, czyli bycia rzeczywistymi.

Lecz wszelkie, dające się obserwować usiłowanie zostaje pokonane przez Wszecchiągłość, czy też przez siły zewnętrzne – przez odrzucone, które jest kontynuacją przyjętego.

Zaś cała nasza egzystencja jest usiłowaniem względnego, by stać się absolutnym, czy też lokalnego, by stać się uniwersalnym.

W książce tej zainteresowanie moje skupia się na tymże usiłowaniu i jego manifestacji w nowoczesnej nauce. Na sposobie, w jaki próbuje istnieć ta rzeczywistość, prawdziwa, ostateczna, kompletna i absolutna.

Bo jeśli ten pozór bytu tu, w naszym niby-stanie, jest produktem wykluczania, które jest zawsze fałszywe i bezpodstawne, jeśli zatem włączane i wykluczane stanowią ciągłość, to cały pozorny system jest tylko niby-systemem, wypracowanym przez taki sam fałszywy i arbitralny proces, jaki dał iluzję istnienia innemu, jeszcze mniej rzeczywistemu systemowi, który poprzedzał naukę, a mianowicie systemowi teologii.

W książce tej zebrałem niektóre z faktów pominiętych i arbitralnie wykluczonych przez naukę. Fakty wyklęte. Zstąpiłem oto w ciemności naukowych i filozoficznych transakcji, operacji nadzwyczaj czcigodnych, lecz przyciągających niewiele uwagi, zstąpiłem w świat pism i gazet. I powróciłem z ciężkim bagażem zagubionych faktów.

Będą oto szły w korowodzie.

Co się zaś tyczy logiki tego, co ma być dalej powiedziane, to w naszym pozornym świecie jest możliwa jedynie quasi-logika.

Bo nigdy nic nie zostało dowiedzione.

Gdyż nie ma nic do dowodzenia.

Kiedy zaś mówię, że nie ma nic do dowodzenia, to mam na myśli tych, którzy akceptują ciągłość, czyli stapianie się wszystkich fenomenów z innymi, bez formalnych granic między jednym a drugim, tak że faktycznie nie ma jednej rzeczy, która by istniała w pozytywnym sensie.

Nie ma więc nic do dowodzenia, a jeśli się czegoś jednak dowodzi, to jest to tylko quasi-dowodzenie, oparte na pozornej logice, a pozornym wnioskiem na końcu.

Nie można więc na przykład dowieść, że coś jest absolutnie zwierzęciem, gdyż *zwierzęcość i roślinność nie są bezwzględnie różne*. Są takie ekspresje życia, które są tyleż roślinne co i zwierzęce. Nie ma też bezwzględnego testu, standardu, kryterium, czy środka do ustanowienia sądu. Jako odrębna od roślin forma zwierzęta nie istnieją.

Nie ma nic do dowodzenia. Nie można udowodnić, że coś jest absolutnie dobre, w tak pozytywnym i bezwzględnie pewnym sensie, iż nie pozostanie najmniejsza styczość, nawet cień styczości – ze złem. Co dobre w czasie pokoju jest złe w czasie wojny, co dobre dla silnych jest złe dla słabych. Dobro w naszym doświadczeniu zawsze zawiera jakiś aspekt zła i ze złem się łączy. Są to ciemne i trudne rejony, gdzie wolimy nie zaglądać.

Cóż wobec tego próbujemy robić, jeśli myślenie bezwzględnie pewne nie jest w ogóle możliwe? Akceptować przejściowe i lokalne, akceptować pewne fakty i pewne idee. Akceptując ich chwilową obecność, godzić się na ich obecność i godzić się na ich chwilowość. Gdyż jest oczywiste, że nigdy nic nie zostało dowiedzione. Teologiczne wywody zawsze były równie wątpliwe, jak są dzisiaj, lecz poprzez hipnotyzujące procesy potrafiły zdominować większość umysłów w ubiegłych epokach. W następnej zaś erze prawa, dogmaty, formuły i zasady materialistycznie zorientowanej nauki również nie zostały dowiedzione, ponieważ są one tylko lokalizacjami symulującymi uniwersalne, niemniej wiodące umysły okresu ich dominacji uległy wystarczająco silnej hipnozie, by twardo przy nich obstawać. Hipnotyzująca dominanta danej epoki jest tu pojęciem podstawowym.

Trzy prawa Newtona, czyli próba osiągnięcia pozytywności, próba zaatakowania i przerwania powszechnej ciągłości, są równie nierealne jak i inne wysiłki lokalizowania uniwersalnego. *Jeśli bowiem każde postrzegane ciało znajduje się pośrednio lub*

bezpośrednio w ciągłym związku z wszystkimi innymi ciałami, to nie można nawet marzyć o wywieraniu na nie wpływu w warunkach jego własnej, czystej inercji. Tak że nie ma nawet sposobu, żeby się dowiedzieć jakim to fenomenem jest inercja sama w sobie. Jeśli bowiem wszystkie ciała reagują na nieskończoną ilość sił, to nie ma sposobu, żeby dojść do tego jakie byłyby efekty działania tylko jednej siły; jeśli też każda reakcja jest współciągła z akcją, to nie można ich pojmować jako odrębne całości i wyobrażać sobie coś, co jest równe i przeciwne akcji.

Lecz trzy prawa Newtona są artykułami wiary, a choć podobnie jak anioły i demony ich inercje i reakcje mają mitologiczny charakter, w obszarze ich hipnotyzującego wpływu wierzone w nie tak samo, jak gdyby były dowiedzione.

Zastępujemy więc wiarę warunkową akceptacją.

Komórki embrionu mają różną postać w różnym czasie, zaś organizm społeczny jest embrionem. Im zaś trwalej coś ustanowione, tym trudniejsze do zmiany. Wierzyć zatem w coś silnie, to hamować postęp wiedzy i rozwój własnego umysłu. Akceptować zaś tylko przejściowo, to stać zawsze w drzwiach uchylonych na drogę.

Lecz z wyjątkiem zastąpienia wiary akceptacją nasze metody pozostaną w świecie konwencji, pozostaną metodami teologów, plemiennych czarowników, uczonych i małych dzieci. Jeśli bowiem wszystkie fenomeny są współciągłe, to nie ma bezwzględnie różniących się metod. Będziemy więc pisali tę książkę zapomocą bezpłodnych metod kardynałów i wróżbiarzy, ewolucjonistów i wieśniaków, metod, które muszą być bezpłodne, skoro odnoszą się do tego, co lokalne, a nie ma nic lokalnego, co mogłoby prowadzić do wniosków ostatecznych i pewnych.

Wszystkie nauki zaczynają się od prób tworzenia definicji, lecz nic nie zostało nigdy zdefiniowane, ponieważ nie ma nic do definiowania. Darwin napisał *Pochodzenie gatunków*, a nie był w stanie określić, co właściwie rozumie przez „gatunek”. Nic dziwnego – tego nie można określić.

Nigdy nic nie zostało ostatecznie ustalone, gdyż nie ma nic ostatecznego do ustalenia. Wygląda to jak szukanie igły, której nikt nie zgubił, w stogu siana, którego nikt nie ułożył. Skoro jednak cała nauka stara się rzeczywiście coś ustalić, podczas gdy naprawdę nie ma nic do ustalenia, starania same w sobie mają być tym co ustalone.

Poszukiwacz Prawdy. W gruncie rzeczy wie, że nie znajdzie jej nigdy, lecz pośród różnych mglistych możliwości jest i ta, że

stanie się kiedyś Prawdą. Nauka jest czymś więcej niż badaniem rzeczywistości: jest to pseudo-konstrukcja, wielki zamek z tysiącem korytarzy, jest to quasi-organizacja z wewnętrznym celem, z determinacją oderwania się od płynnej wszechcałości i ustanowienia własnej, lokalnej harmonii, własnego królestwa z własną sztuczną stabilnością, zgodnością i równowagą.

Mglista to raczej możliwość, że próba ta się powiedzie.

Pozorna jest nasza egzystencja, a wszystkie jej aspekty i przejawy współuczestniczą w jej zasadniczej fikcyjności. Niektóre z nich są jednak bliższe rzeczywistości niż inne. Wynika stąd, że powinniśmy pojmować wszystkie „rzeczy” jako fenomeny zajmujące pewne stopnie pomiędzy negatywnością i pozytywnością lub nierzeczywistością i rzeczywistością, gdyż niektóre z pozornych rzeczy są jednak znacznie bardziej zwarte, piękne, jednolite, indywidualne, harmonijne i trwałe niż inne. Choć nie ma rzeczy wiecznych, piękno jest trwalsze niż brzydota.

W postawie naszej nie jesteśmy realistami i nie jesteśmy idealistami. Jesteśmy – pośrednistami: nic nie jest w pełni rzeczywiste, lecz nic nie jest także absolutnie nierzeczywiste; wszystkie fenomeny są tylko w ten lub inny sposób przybliżeniami do realności i nierrealności. Cała więc nasza niby-egzystencja jest stanem pośrednim między negatywnością i pozytywnością. Jak Czyściec. Trochę istniejemy, a trochę nieistniejemy. Im bardziej istniejemy w jakiejś jednej formie, tym mniej istniejemy w innych; nasze istnienie jest zawsze cząstkowe, z długim cieniem możliwego, lecz niespełnionego, zaś czątkowość tą uludnie lub bezmyślnie nazywamy całością. Każdy z nas jest sumą swej rzeczywistości i nierzeczywistości, bryłą niby-czegoś w kałuży prawie-niczego.

Zatrzymajmy się jeszcze w naszym filozoficznym szkicu nad Realnością, przez którą rozumiemy to, co nie stapia się z niczym i co nie jest częścią niczego innego; co nie jest reakcją na coś ani też jego imitacją. A skoro we wszechciągłości zjawisk wszystko się stapia, zlewa i jednoczy, Realnością może być tylko Uniwersaum, absolutne wszystko jako całość, poza którą nie ma już nic, co mogłoby się z nią łączyć. Tak więc w ogólnym metafizycznym ujęciu powiadamy, że podobnie jak Czyściec, to co potocznie zwie się egzystencją, a co my nazywamy Międzybytem, jest niby-egzystencją, ani czymś realnym, ani czymś nierealnym, lecz wyrazem dążenia do stania się realnym lub zrodzenia czegoś realnego. Zakładamy więc również, że Nauka, choć zazwyczaj pojmować dość wąsko i specyficznie, szczególnie w jej wła-

snych lokalnych terminach, jako grzebanie w starych kościach, robakach i innych nieprzyjemnych rzeczach, jest w szerszym, ogólniejszym sensie jednym z wyrazów ducha ożywiającego cały Międzybyt i gdyby mogła ona wykluczyć wszystkie fakty prócz tych, które aktualnie akceptuje, to miałyby szansę wyglądać jak realny system, z wyraźnie określonym zarysem, krótko mówiąc – byłaby prawdziwa. Stąd jej wytrwale, choć pozorne, zbliżanie się do zgodności, stabilności i realności podtrzymuje się wyklinaniem wszystkiego, co nie pasuje i opiera się asymilacji.

Wszystko byłoby w porządku, wszystko byłoby boskie. Gdyby tylko wyklęte mogło na zawsze pozostać wyklętym.

Rozdział II

Meteoryty, które nie spadły z nieba

Jesienią 1883 r. i przez kilka późniejszych lat zdarzały się tak przepiękne kolorowe zachody słońca, jakich nigdy przedtem nie notowała pamięć ludzka. Pojawiały się też niebieskie księżycy.

Myślę, że każdy uśmiecha się z niewiarą na wzmiankę o niebieskich księżycach, niemniej jednak w 1883 r. były one równie zwyczajne, jak zielone słońce. Nauka musiała jakoś wyjaśnić te niekonwencjonalne zdarzenia, a takie czasopisma jak „Nature” i „Knowledge” były przywalone lawiną pytań od czytelników. Przypuszczam, że w owym czasie plemienni czarownicy z Alaski lub z Wysp Mórz Południowych byli wystawieni na podobną próbę. Od nich również żądano wyjaśnień.

A właśnie 28 sierpnia 1883 r. w Cieśninach Sundajskich wybuchł z potworną siłą wulkan Krakatau. Wspaniale. Dowiadujemy się zatem, że grzmot wybuchu słyszano z odległości 3000 km i że 36 380 ludzi zostało zabitych. Co prawda, trochę to dla nas nienaukowe i niepozytywistyczne: czemu nie podaje się, powiedzmy, 3326 km i 36 387 ludzi. Słup dymu, który wznosił się wówczas nad wulkanem, musiał być chyba widoczny z innych planet – jakby Ziemia, udręczona naszym pełzaniem i dreptaniem, skarżyła się Marsowi, rzucając na nas czarną kłębę.

Posiada się więc, że te wszystkie tęczowe i artystyczne fenomeny zostały spowodowane przez masy wulkanicznego pyłu, wyrzucone wysoko w atmosferę przez Krakatau. We wszystkich opracowaniach, które wspominają to wydarzenie – nie udało mi się spotkać jednego wyjątku – twierdzi się, że te nadzwyczajne efekty atmosferyczne zauważono po raz pierwszy w końcu sierpnia lub na początku września 1883 r.

I tu właśnie pojawia się maleńki problem. Wyjaśnienie, któ-

re uzgodniono na różnych naukowych posiedzeniach, dotyczy 1883 r., lecz fenomeny te powtarzały się przez siedem następných lat – z wyjątkiem, z nieprzyjemnym, złośliwym wyjątkiem, że w owym siedmioletnim okresie istnieje kilkuletnia dziura. A gdzie przez ten czas raczył się podziwiać pył wulkaniczny? Jeśli jednak myślicie, że takie pytanie mogłoby być kłopotliwe, to widocznie nie studiowaliście hipnozy i nie próbowaliście nigdy przekonać zahipnotyzowanego, że stół nie jest hipopotamem. Zgodnie z naszą ogólną filozofią jest to zresztą dość trudne zadanie. Wskażcie sto powodów, dla których nie należy twierdzić, że stół jest hipopotamem, a skończycie godząc się, że stół nie jest stołem, lecz tylko się stołem wydaje. I w tym rzecz: hipopotam też się czymś wydaje być... z kształtu, czymś jakby podobnym do stołu.

Lecz wracając do Krakatau, to wybuch ten był odpowiedzialny w oczach uczonych za wszystkie nietypowe zjawiska atmosferyczne tego okresu. Jak wyjaśniali niezwykle wydarzenia czarnownicy i szamani – nie wiem.

Widzimy tu, na samym progu, nieodpartą skłonność nauki do przeczenia, w takim stopniu, w jakim to tylko możliwe, że Ziemia ma jakieś zewnętrzne powiązania, jakieś istotne kontakty z przestrzenią międzyplanetarną. Książka ta zaś jest właśnie zbiorem faktów dotyczących rozmaitych zewnętrznych powiązań Ziemi. Stoimy na stanowisku, że nasze fakty zostały wyklęte nie z powodu ich indywidualnych zalet lub ich braku, lecz w ramach ogólnej próby utrzymania wiary, że nasza planeta jest ciałem izolowanym. To właśnie jest dążeniem do pozytywności – wyrwanie Ziemi z kontekstu wszechciągłości i ustanowienie jej jako odrębnego systemu. Wątpię, by takie dążenie udało się zwieńczyć sukcesem. Pył to więc wyraz pozytywizmu w jego izolacjonistycznym aspekcie, że uczeni woleli popełnić taką gafę, jak zignorowanie rozsądku, przyjmując siedmioletnie zawieszenie pyłów wulkanicznych w atmosferze – z kilkuletnią przerwą nie wiadomo na co – niż przyjąć możliwość pozaziemskiego pochodzenia pyłu.

Nie znaczy to zresztą, że uczeni osiągnęli zgodność między sobą, gdyż Norden Skjold pisał wiele o teorii kosmicznego pyłu jeszcze przed 1883 rokiem, zaś prof. Cleveland Abbe oponował otwarcie przeciwko teorii wulkanicznej, główny korpus nauki opowiedział się jednak zdecydowanie za nią, a wynikało to, jak już wyżej wspomniałem, niekoniecznie z naukowych argumentów. Przyczyną zaś mojego oburzenia jest tutaj fakt, że ta wulkaniczna teoria będzie zaważać niektórym z moich okropnych

bzdur. Zbyt dużo zawiłych kombinacji trzeba by przeprowadzić, żeby spokojnie przyjąć, jako naukowy pewnik, taką podtrzymującą moc ziemskiej atmosfery. Owszem, będziemy dalej mieli liczne przykłady rzeczy, które uniosły się w górę i gdzieś tam tygodniami i miesiącami przebywały, jak choćby żółw z Vicksburga, ale nie dzięki podtrzymującej je w powietrzu mocy ziemskiej atmosfery.

By zasmakować czystej ortodoksji zajrzyjmy do raportu sporządzonego przez specjalny komitet, który zajmował się wybuchem Krakatau z ramienia Towarzystwa Królewskiego w Londynie. Jest to dokument niewątpliwie piękny, autorytatywny i kosztowny; mamy tu 492 strony sprawozdań i 40 tablic, niektóre z nich bajecznie kolorowe, zaś cała rzecz ukazała się po mozolnych badaniach, które zajęły pięć lat. Nie można już chyba wyobrazić sobie czegoś równie artystycznego i autorytatywnego. Szczególne wrażenie robią partie matematyczno-statystyczne: rozmieszczenie pyłów, prędkości przenoszenia, wskaźniki osiadania, wysokości utrzymywania się w atmosferze...

Zaś w roczniku „Annual Register” (1883 - 1905) czytamy, że efekty atmosferyczne przypisywane wulkanowi Krakatau obserwowano na Trynidadzie w okresie poprzedzającym erupcję. Również w „Knowledge” (5-418) znajdujemy zdumiewającą informację, że zjawiska te obserwowano w Natalu, w Południowej Afryce, sześć miesięcy przed wybuchem.

Jak widać, nawet rzeczy skandaliczne mogą wydawać się rozsądne, jeśli zostaną odpowiednio przedstawione.

Weźmy na przykład grad. Czytacie czasem w gazetach o gradzie wielkości kurzego jaja i uśmiechacie się. Niemniej mogę podać setki przykładów z amerykańskiego „Monthly Weather Review” („Miesięczny Przegląd Meteorologiczny”) o przypadkach gradu wielkości kurzego jaja. Jest też sprawozdanie w „Nature” z 1 listopada 1894 r. o ziarnach gradu ważących około kilograma każde. Dalej, „Report of the Smithsonian Institution” (1870-479) informuje o kilogramowych grudkach i o doniesieniach na temat dwuipółkilogramowych, zaś w Seringapatam, w Indiach, około 1800 r. spadł grad – tu mnie tchórz obleciał, bo fakt należy do tych najgłębiej wyklętych – wielkości słoniat!

Śmiejemy się serdecznie – bardzo dobrze.

Albo płatki z śniegu wielkości talerzy. Podobno spadły takie w Nashville, w stanie Tennessee, 24 stycznia 1891 r.

„Zimą 1887 r. spadły w Montanie płatki śniegu o średnicy 38 cm i 20 cm grubości” – oznajmia „Monthly Weather Review” (1916-73).

Nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, czym potrafi zasypać nas niebo. Czarne deszcze, deszcze czerwone, opady tysięcy ton masy, śnieg czarny jak smoła – i różowy; niebieski grad – i grad pachnący pomarańczami; śmieci i jedwab, i węgiel drzewny.

A jeszcze mniej więcej sto lat temu, jeśli ktoś był tak łatwowierny, żeby wierzyć, że z nieba spadają kamienie, spotykał się z logiczną naukową argumentacją, że po pierwsze, nie ma w niebie żadnych kamieni – a zatem żadne kamienie z nieba spadać nie mogą. Nic bardziej rozsądnego i logicznego nie można by było na jakikolwiek temat powiedzieć, jedyny zaś kłopot spotykany w takich rozumowaniach tkwi w tym, że przesłanka większa nie jest prawdziwa, albo też tkwi zawieszona gdzieś pomiędzy realnością i nierealnością. W 1772 r. Akademia Francuska wyznaczyła komitet do zbadania doniesień o kamieniu, który spadł z nieba w miejscowości Luce, zaś jednym z członków komitetu był słynny chemik Lavoisier. Przeprowadził on analizę kamienia z Luce. Wierzący wówczas, że kamienie nie spadają z nieba, zaś świecące obiekty, które zdawały się spadać i gorące kamienie, znajdujące w miejscach rzekomego upadku tłumaczyli piorunami, które miały uderzać w te kamienie, rozgrzewając je do wysokiej temperatury, a nawet powodując ich stopienie. Kamień z Luce nosił ślady stopienia.

Analiza Lavoisiera „dowodła zatem absolutnie”, że kamień ten nie spadł z nieba, lecz że był to zwykły ziemski głaz trafiony przez piorun.

Tak więc spadające kamienie potępiono autorytatywnie, potocznym zaś środkiem odrzucenia była hipoteza błyskawicy, obserwowanej w momencie uderzenia w coś, co ponad wszelką wątpliwość znajdowało się na ziemi. Fakty o spadających kamieniach bombardowały nieustannie mury wzniesione przeciwko ich istnieniu.

Jeszcze raz rzućmy okiem do magazynu „Monthly Review” (1796-426): „Fenomen, który jest przedmiotem obecnych uwag będzie się zdawał większości osób mniej godny zaufania niż jakikolwiek inny, bowiem spadanie z nieba wielkich kamieni bez jakiegokolwiek dającej się określić przyczyny ich uprzedniego wyniesienia zdaje się być jakimś cudem, wykluczającym działanie znanych i naturalnych czynników. Istnieją jednakże niezbitte dowody, że takie zdarzenia faktycznie miewają miejsce, nie

powinniśmy zatem odwracać się od nich, lecz poświęcać im uwagę, na jaką zasługują”.

Jak widać autor notatki nie wyklucza istnienia spadających kamieni, dodając, że w przeddzień fenomenu, któremu poświęca swój artykuł, czyli opadu kamieni w Toskanii, 16 czerwca 1794 r., miała miejsce erupcja Wezuwiusza.

A więc jeśli kamienie z nieba spadają, to jedynie takie, które zostały uniesione z powierzchni ziemi przez jakiś wir powietrzny lub wyrzucone w atmosferę przez wulkan.

Żyję sto dwadzieścia lat później i nie znam żadnego areolitu, który miałby ziemskie pochodzenie. Spadające kamienie zostały więc odkłete, choć wciąż z zastrzeżeniem podtrzymującym wykluczenie sił zewnętrznych. Widać z tego przykładu, że ktoś może mieć wiedzę i umysł Lavoisiera, a być niezdolnym do analizy, ba, do jasnego widzenia rzeczy, z wyjątkiem tego, co jest zgodne z hipnotyczną dominantą danego okresu lub z konwencjonalną reakcją przeciwko tej dominancie.

Dlatego nie twierdzimy już, że wierzymy w cokolwiek. Wiary zastępujemy tymczasową akceptacją. Stopniowo, krok za krokiem, wycofywano się z teorii wirów powietrznych i z teorii wulkanów, hipnotyczny wyrok wyklęcia był tak potężny, że nawet w naszych czasach niektórzy uczeni, a w szczególności prof. Laurence Smith i sir Robert Ball, wciąż występują przeciwko pozaziemskiemu pochodzeniu areolitów, utrzymując, że nic nie może spaść na ziemię, co nie zostało wcześniej uniesione w powietrze z innego miejsca na tym globie. Nie dawniej jak w listopadzie 1902 r. pewien członek Selborn Society, piszący na łamach „Nature Notes” (13-231), wciąż utrzymywał, że meteoryty nie spadają z nieba, lecz że w pierwszym rzędzie chodzi tu o masy skalne na powierzchni ziemi, które czasami przyciągają błyskawice; widząc zaś taką błyskawicę, bierze się ją z reguły za spadający z nieba błyszczący obiekt.

Jeśli przywiązanie do tradycji jest cnotą, to postęp jest gwałtem.

Kolorowe deszcze

Zacniemy ten rozdział od żółtych substancji, które spadły na Ziemię, zobaczymy też, czy nasze wiadomości o nich mają większe przybliżenie do rzeczywistości niż dogmaty tych, co przeczą ich istnieniu jako substancji pozaziemskich. Przyjmujemy postawę impresjonistyczną, nie mamy bezwzględnych testów ani standardów. Realizm w sztuce, realizm w nauce – to już odchodzi w przeszłość. W 1859 r. należało akceptować darwinizm; dziś wielu biologów buntuje się przeciwko niemu i stara się znaleźć jakąś inną koncepcję. Choć w swoim czasie należało darwinizm akceptować, nigdy przecież nie udowodniono jego słuszności.

W przyrodzie przetrwać mogą jedynie osobniki najsprawniejsze. Lecz co to znaczy najsprawniejszy? Nie najsilniejszy i nie najbystrzejszy, gdyż wśród żywych powszechna jest wszędzie słabość i głupota. Nie ma innego sposobu określenia sprawności niż kryterium przetrwania. Sprawność jest zatem inną nazwą przeżycia. I oto cały darwinizm – przeżywają żyjący. Tautologia, masło maślane.

Jednakże darwinizm, mimo że wydaje się być bezpodstawny i absolutnie irracjonalny, poprzez zmasowanie przypuszczalnych faktów i ich rzekomą spójność przybliżył się do Organizacji i Zgodności w stopniu znacznie wyższym niż spekulacje, które go poprzedzały.

Podobnie Kolumb, który nigdy nie udowodnił, że Ziemia jest okrągła. Cień Ziemi na Księżycu? Nikt nigdy nie widział go w całości, jako że cień Ziemi jest znacznie większy niż Księżyc. Jeśli więc brzeg cienia jest zakrzywiony, może to równie dobrze oznaczać, że Księżyc jest wklęsły – obiekty o prostym zarysie rzucają zakrzywione cienie na wklęsłą powierzchnię. W podobny sposób można potraktować inne dowody tego rodzaju. Kolumb nie miał możliwości, by udowodnić, że Ziemia jest okrągła. I nie było to potrzebne. Jedyne, czego winien był próbować,

to osiągnięcie wyższego stopnia pozytywności niż ten, który prezentowali jego przeciwnicy. W 1492 r. należało akceptować pogląd, że na zachód od Europy powinny się znajdować jakieś inne lądy. My zaś proponujemy podobnie zaakceptować dziś, jako coś zgodnego z duchem XX wieku, że ponad Ziemią istnieją inne lądy, z których coś czasem dociera do nas w postaci dziwnych opadów, podobnie jak z Ameryki przypływają czasem do brzegów Europy różne szczątki.

Co do żółtych substancji, które spadają na ziemię, to próba wykluczenia ich pozaziemskiego pochodzenia jest dogmat, że żółte deszcze i żółte śniegi biorą swą barwę od sosnowych pyłków. Przyjrzyjmy się jego typowym przykładom:

Oto „American Journal of Science” (1-42-196) informuje nas o żółtej substancji, która zalała pokład pewnego statku podczas bezwietrznej nocy w Pictou Harbor, w Nowej Szkocji. Autor doniesienia po dokonaniu jej analizy stwierdził, że substancja ta wydzielala azot i amoniak oraz zwierzęcy odór.

Jedna z zasad naszego intermedyatyizmu powiada, że wszystkie substancje są tak dalekie od pozytywności w jej szczególnym aspekcie, który nazywamy jednorodnością, że zgodnie z tym, co się nazywa elementarnym sensem możemy powiedzieć: cokolwiek można znaleźć gdziekolwiek. Pnie mahoniowe w Grenlandii, typowe dla dolin owady na szczycie Mont Blanc, ateistów w religijnych zgromadzeniach, złodziei w policji, lód w Indiach. Chemiczna analiza może na przykład wykazać, że niemal każdy martwy człowiek został otruty arsenikiem, nie ma bowiem żołądka bez pewnej ilości żelaza, ołowiu, cyny, złota, platyny i arsenu, co oczywiście w szerszym sensie niewiele znaczy, ponieważ i tak pewna ilość osób musi być dla odstraszającego przykładu skazana każdego roku na śmierć za mordstwo, a jeśli akurat detektywi nie są zdolni do wykrycia czegokolwiek, to zamiast sukcesu wystarczy iluzji ich sukcesu.

Chemik, który analizował substancję z Pictou, przesłał jej próbkę wydawcy „American Journal of Science”, a ten oczywiście odkrył w niej pyłek sosnowy.

Co do mnie, nie odrzucam możliwości istnienia pewnej ilości pyłku w tajemniczej substancji; nic co spadło z nieba w czerwcu w pobliżu sosnowych lasów Nowej Szkocji nie mogło uniknąć skażenia unoszącymi się w powietrzu zarodnikami. Wydawca „American Journal” nie mówi jednak, że substancja ta „zawierała” pyłek. Ignorując azot, amoniak i zwierzęcy odór powiada on, że substancja ta b y ł a pyłkiem.

Materia o zwierzęcym pochodzeniu spada z nieba. Na początek proponuję, żebyśmy się postawili w położeniu ryb żyjących w morskich głębinach. W jaki sposób mogłyby one wyjaśnić spadanie zwierzęcych substancji z wysoka, z miejsc gdzie panują warunki wybitnie nieprzyjemne dla życia? O ile znam się na rybach głębokomorskich, nawet by nie próbowały. A przecież nie jest wcale tak trudno widzieć w nas samych stworzenia znajdujące się w podobnej sytuacji.

W „Journal of Franklin Institute” (90-11) czytamy, że 14 lutego 1870 r., zgodnie ze świadectwem dyrektora Instytutu Technicznego w Genewie, pana Boccardo oraz prof. Castellani, spadła w tym mieście żółta substancja. Badania mikroskopowe wykryły w niej liczne drobiny niebieskiego kobaltu, a także cząsteczki perłowego koloru, które przypominały krochmal. Natomiast francuski magazyn naukowy „Comtes Rendus” (56-972) zawiera relację napisaną przez pana Bouis o zabarwionej czerwono i żółtawo substancji, która spadła w wielkiej obfitości na różne miejscowości leżące w południowej Francji i w Hiszpanii. Substancja ta pojawiała się kilkakrotnie między 30 kwietnia i 2 maja, ulegając na ziemi szybkiej karbonizacji i rozsiewając odór spalonego mięsa. Pan Bouis pisze, że nie był to pyłek i że w alkoholu substancja ta tworzyła osad o żywicznej konsystencji.

Biorąc pod uwagę wielkość obszaru, na którym wystąpił ów opad, można przypuszczać, że spadły wówczas setki, jeśli nie tysiące, ton tego specyfiku.

„Odór spalonego mięsa”. A może bitwa w przestrzeni międzyplanetarnej, którą stoczono kilkadziesiąt lat temu, zaś różnorodne szczątki przybrały stopniowo, wisząc gdzieś lub krążąc w jakiejś grawitacyjnej niszy, jednorodną postać. Przypuszczenie takie wygląda zapewne absurdalnie, bo nawet jeśli mówi się tutaj o niezwyklej ilości materii zwierzęcej, która spadała z nieba przez trzy dni nad Francją i Hiszpanią, to nie jesteśmy przecież jeszcze gotowi. Pan Bouis powiada, że substancja nie była pyłkiem, ciągle jednak żywiczny osad sugeruje zarodniki drzew iglastych. O substancji z żywicznym osadem usłyszymy jeszcze sporo i postaramy się udowodnić, że nie ma ona związku z pyłkiem.

„Blackwood's Magazine” (3-338) informuje, że 14 marca 1813 r. jakiś nieznaną żółty proszek spadł w miejscowości Gerace, w Kalabrii, a pewna ilość tej substancji została zebrana przez pana Simenini, profesora chemii w Neapolu. Miała ona ziemisty, mify smak i była „tłusta”. W trakcie ogrzewania materia ta

przybierała kolor brązowy, potem czarny – i w końcu czerwony. Zgodnie z „Annals of Philosophy” (11-466) jeden z jej składników miał zielonożółtą barwę i po wysuszeniu przypominał żywicę. Opadowi temu towarzyszyły głośnie grzmoty i spadające z nieba kamienie. Dość to, jak na mój gust, brutalne i niezbyt pasujące do czegoś tak łagodnego i delikatnego jak sosnowy pyłek.

Czarne deszcze i czarne śniegi – deszcze czarne jak potop atramentu i płatki śniegu czarne jak smoła.

Jeden z takich deszczów spadł w Irlandii 14 maja 1849 r., opisany zaś został w „Annals of Scientific Discovery” (1850) i w „Annual Register” (1849). Deszcz ów spadł na obszarze 600 km², miał intensywny atramentowy kolor, ohydny zapach i nieprzyjemny smak.

Podobne zjawisko miało miejsce w Castlecommon, w Irlandii, 30 kwietnia 1887 r. – spadł tam wówczas „gęsty czarny deszcz” („American Meteorological Journal”, 4-193)

Kolejny czarny deszcz spadł w Irlandii 8 i 9 października 1907 r. („Symon's Meteorological Magazine”, 43-2), „pozostawiając w powietrzu bardzo szczególny i nieprzyjemny odór”. Ortodoksyjne wyjaśnienie tego zjawiska spotykamy w „Nature” z 2 marca 1908 r. Miało być ono spowodowane chmurą sadzy, która nadpłynęła z południowej Walii, przebywszy Kanał Irlandzki i całą niemal Irlandię. W podobny sposób czarny deszcz, który spadł w Irlandii w marcu 1898 r., przypisano („Symon's Meteorological Magazine”, 33-40) chmurom sadzy z przemieszanych miast północnej Anglii i południowej Szkocji.

Zasada naszej intermedystycznej pseudo-logiki albo też zasada wszechciągłości mówi oczywiście, że nic nie jest unikalne i indywidualne w absolutnym sensie, że wszystkie fenomeny stapiają się z innymi i że gdyby – założmy – jakiś olbrzymi komiczny supertankowiec lub inny statek międzyplanetarny przebywał od czasu do czasu w pobliżu Ziemi, pozbywając się przy tym wielkiej ilości spalin, gdyby tak było, to myślę, że te kosmiczne odpadki musiałyby się mieszać z jakimiś typowymi ziemskimi zjawiskami, stanowiąc coś jednolitego i niesłychanie trudnego do odróżnienia. Możliwości takich połączeń nie można w żaden sposób wykluczyć arbitralnie ze świata zjawisk. Sądząc pozaziemskie i dymy wielkich miast mogą się łączyć, powodując czarne osady w deszczu, nikomu zaś nie przyjdzie do głowy szukać dwóch przyczyn w jednym zjawisku. A skoro we wszechciągłości nie da się praktycznie odróżniać fenomenów w punktach ich zlewania się z innymi, należy szukać skrajnych

form, gdzie takie odróżnianie jest łatwe i oczywiste. Nie można odróżnić zwierzęcia od rośliny w przypadku wymoczków, lecz hipopotam i fiołki różnią się dla praktycznych celów w zupełnie wystarczająco. Nikt nie wyśle, by okazać komuś miłość lub szacunek, wiązanki hipopotamów.

Do licha więc z wielkimi centrami przemysłu: czarny deszcz spadł w Szwajcarii 20 stycznia 1911 r. Szwajcaria jest tak od przemysłu odległa i tak źle się czują w jej przypadku konwencjonalne teorie, że „Nature” (85-451), informując o tym deszczu, pisze, że w pewnych warunkach meteorologicznych deszcz może przybierać pozornie czarną barwę, która po bliższym zbadaniu okazuje się zupełnie myląca. Może to i prawda, szczególnie w nocy, gdy jest bardzo ciemno. Mamy tu, jak widać, brutalną próbę zaprzeczenia faktu, że 20 stycznia 1911 r. czarny deszcz osiadł się spaść z dala od wszelkich centrów przemysłowych.

Inny przykład tego rodzaju pochodzi z Przylądka Dobrej Nadziei, gdzie 14 sierpnia 1888 r. spadł deszcz tak czarny, że opisywano go jako ulewę atramentu („La Nature”, 1888 - 2-406).

Ciągłość nas tropi, rządzi nami i ciągnie wstecz. Wydaje się, że niewiele mamy szans, by dzięki metodzie krańcowych przypadków oderwać się od rzeczy, które niedostrzegalnie przechodzą w coś innego. Przekonamy się tylko, że każde odejście od jednej fuzji jest wejściem w następną. Na Przylądku Dobrej Nadziei wielkie ilości dymów pochodzenia przemysłowego byłyby zjawiskiem niezwykłym, nie można ich zatem użyć do wyjaśnienia, skąd pochodzi czarny osad w deszczu, lecz można wykorzystać w tym celu dym wulkaniczny – i taką właśnie sugestię wysunięto w „La Nature”.

Nie ma w ludzkim rozumowaniu jakiegoś realnego standardu, na którym można by oprzeć sądzenie, lecz możemy czasowo akceptować fakty, które w naszym mniemaniu zbliżają się do rzeczywistości ci bardziej niż inne. Najbliższe rzeczywistości jest – według naszego rozumienia – to, co charakteryzuje się najwyższym poziomem organizacji. Wszystko co prawda przechodzi w coś innego, lecz pewne rzeczy, proporcjonalnie do swej złożoności, jeśli jest ona dojrzała i zwarta, wydają się silne, rzeczywiste i różne od innych. Tak więc w estetyce na przykład uznaje się, że jedność w różnorodności jest piękniejsza, bardziej do Piękna przybliżona, niż prosta jedność. Oponenti nasi obstają za ziemskim pochodzeniem wszystkich czarnych deszczów. Naszą metodą będzie jednak uporcezywe prezentowanie różnych fenomenów, które zgadzają się lepiej z koncepcją nieco innego

pochodzenia. Weźmiemy też pod uwagę nie tylko same czarne deszcze, ale i towarzyszące im zjawiska.

Czarne deszcze zdarzały się w Szkocji. Według dzieła wieloobnego Jamesa Rusta *Scottish Showers* (*Szkockie deszcze*) w 1862 r. czarny deszcz nawiedził czterokrotnie jedną, szczególną miejscowość – Slains. Rozkład tych opadów przedstawia się następująco: 14 stycznia, 1 maja, 20 maja i 28 października. Po dwóch z tych deszczy na brzegu morskim w okolicach Slains znaleziono wielkie ilości substancji opisywanej czasem jako pumeks lub żużel. Według opinii chemików był to żużel podobny do produktu otrzymywanego w hutach żelaza. Mamy więc czarny deszcz w towarzystwie, którego nie można przypisać najszerszym kominom. Cokolwiek to było, ilość tej substancji była tak wielka, że według opinii pana Rusta do jej wytworzenia trzeba by użyć wszystkich hut na świecie. Czy był to ostatecznie jakiś żużel, czy też coś innego, musimy akceptować fakt, że jakiś sztuczny lub podobny do sztucznego produkt spadł w wielkiej ilości z nieba na ziemię. Jeśli zaś uważacie, że takie przypadki nie są wyklęte przez naukę, to przeczytajcie *Scottish Showers*, żeby przekonać się, jak trudno było autorowi tej książki zainteresować swoimi wiadomościami ówczesny świat naukowy.

Pierwszy i drugi deszcz w Slains zbiegł się w czasie ze zdarzającymi się często erupcjami Wezuwiusza. Pozostałych dwóch nie można jednak było według Rusta kojarzyć z żadną działalnością wulkaniczną na Ziemi. Żeby zaś bardziej skomplikować i tak już dziwną sytuację tej skromnej szkockiej miejscowości „La Science Pour Tous” („Nauka dla wszystkich”, 11-26) informuje, że między październikiem 1863 a styczniem 1866 r. czarne deszcze padały w Slains jeszcze czterokrotnie.

Autor tego uzupełniającego sprawozdania dowodzi ze znacznie większą ortodoksyjną pewnością siebie niż to robił Rust, że z ośmiu czarnych deszczów w Slains pięć zbiegło się z erupcjami Wezuwiusza, a trzy z erupcjami Etny. Taki już jednak jest los każdego wyjaśnienia, że gdy zamyka jedne drzwi, drugie otwierają się szeroko same. Nie zdziwi mnie jeśli moje własne koncepcje w tym przedmiocie będą uważane za irracjonalne, przynajmniej jednak mój instynkt stadny doznaje tu satysfakcji, że należę do wielkiej gromady głoszących bzdury i nieдорzecznosci, jak ów autor i ci co myślą podobnie jak on, wyobrażając sobie odległe wulkaniczne erupcje, które przechodzą ponad wielką polacją Europy, żeby spaść nie gdzie indziej,

lecz dokładnie na jedną małą północną parafię. Ta strzelecka biegłość Wezuwiusza i Etny jest zaprawdę cudowna.

Nie byłaby też ortodoksja w lepszym położeniu, gdyby porzuciwszy wulkany przyjęła hipotezę eksplodujących meteoroidów i ich żuźłowatych szczątków: dokładność i powtarzalność tych zjawisk byłaby tu równie trudna do wyjaśnienia. Co do mnie, to wyobrażam sobie pewną wyspę położoną w pobliżu oceanicznych szlaków; takiej wyspie mogłoby się zdarzyć przyjąć odpadki z mijających ją okrętów siedem razy w ciągu czterech lat.

A oto inne okoliczności towarzyszące czarnym deszczom. Czytamy w „Year Book” (1851-270), że 16 lipca 1850 r. nad Bulwick Rectory w hrabstwie Northampton, w Anglii, rozległo się przez godzinę dudnienie, podobne do przetaczania wagonów, zaś 19 lipca spadł czarny deszcz.

Cała seria wydarzeń, które mogą mieć z sobą jakiś związek wystąpiła w Anglii wiosną 1884 r. Pewien korespondent „Nature” (30-6) pisze więc o intensywnych ciemnościach, które zapoływały 26 kwietnia w miejscowości Preston; inny informuje o czarnym deszczu, który spadł tegoż dnia w Crowle koło Worcester; kolejny zaś sprawozdawca donosi o czarnym deszczu, który spadł 28 kwietnia w okolicach Church Shetton, a był tak intensywny, że jeszcze następnego dnia wody płynących tam strumieni miały czarną barwę. Zgodnie z powyższymi relacjami korespondentów „Nature” w tym samym czasie miały w Anglii miejsce trzęsienie ziemi.

9 listopada 1819 r. czarny deszcz spadł również w Kanadzie, zaś ortodoksja przypisała jego barwę dymom znad płonących lasów, na południe od rzeki Ohio. Zurcher w swej książce o meteorach wspomina, że deszczowi temu towarzyszyły wstrząsy przypominające trzęsienie ziemi. Zupełnie niezależnie pisze o tym również „Edinburgh Philosophical Journal” (2-381). Czytamy w nim, że trzęsienie ziemi nastąpiło po zapadnięciu intensywnych ciemności i w trakcie czarnej ulewy. Ciekawe, w jaki sposób pożary lasów nad odległą o tysiące kilometrów rzeką Ohio mogły spowodować apokalipsę w Kanadzie.

Zdarzają się również deszcze czerwone. Ortodoksja tłumaczy je pyłem unoszonym przez wiatr *sirocco* z Sahary, który miesza się z parą wodną nad Morzem Śródziemnym i spada w postaci czerwonego deszczu lub błota. Kiedy poraz pierwszy zetknąłem się z tą sprawą przeczytałem tyle przekonujących zapewnień, że gdybym był mniej dociekliwy, prawdopodobnie

nie szukałbym dalej. Próbkę zebrano po deszczu w Genui, próbki piasku przysłane z Sahary – zdaniem pewnych autorów „absolutna zgodność”: ten sam kolor, te same kryształki kwarcu, te same muszelki okrzemków. Następnie idą chemiczne analizy – i znowu nie ma niezgodności godnych wzmianki.

W lutym 1903 r. przez kilka dni lało się z nieba czerwone błoto nad południową Anglią. Gdybyśmy zaś chcieli poznać opinię chemików na temat tego zjawiska, to znajduje się ona w protokole posiedzenia Royal Chemical Society z 2 kwietnia 1903 r. Czytamy tam, że w trakcie posiedzenia E. G. Clayton odczytał rozprawę na temat zebranych przez siebie próbek czerwonej substancji, która spadła z nieba. Jak łatwo zrozumieć, teoria Sahary stosuje się najlepiej do przypadków pochodzących z południowej części Europy. Dalej na północ konwencjonalne poglądy zaczynają się czuć nieswojo: na przykład wydawca „Monthly Weather Review” (29-121) pisze, że czerwony deszcz, który spadł w 1890 r. przy wybrzeżach Nowofundlandii (Kanada) byłby bardzo znaczącym przypadkiem, gdyby można go było z całą pewnością powiązać z saharijskim pyłem. Gdzie jednak Sahara, a gdzie Kanada! Pan Clayton zaś oznajmił, że przebadane przez niego próbki okazały się być unoszonym przez wiatr pyłem z polnych dróg i ścieżek hrabstwa Wessex. Opinia ta jest typową naukową opinią – bardzo zgrabną – z wyjątkiem tego, czego nie bierze pod uwagę. Najbardziej miłosierna rzecz jaka przychodzi mi na myśl, a okazywanie miłosierdzia daje nam czasem większą możliwość ulżenia własnej złośliwości, jest przypuszczenie, że pan Clayton nie słyszał o zadziwiających rozmiarach takich deszczów, z których jeden potrafił na przykład pokryć całe Wyspy Kanaryjskie.

Moim zdaniem zaś w 1903 r. przechodziliśmy przez resztki jakiegoś rozbitego świata, które pozostały po międzyplanetarnym nieporozumieniu, wisząc od tamtej pory w przestrzeni jak czerwona uraza.

Myśleć to znaczy przedstawiać sobie coś niekompletnie, gdyż wszystkie myśli odnoszą się tylko do tego, co tu i teraz. My, metafizycy, lubimy oczywiście mieć wrażenie, że myślimy o rzeczach nie-do-pomyślenia, jednakże zasadniczą cechą myślenia jest jego niekompletność i lokalność. Co zaś do opinii i komunikatów, to powinienem tu przytoczyć również zdanie innych chemików, jako że miewają na ogół bardzo autorytatywne miny. Jest zatem pewna analiza w „Nature” (68-54) mówiąca o wodzie i 9,08% materii organicznej. Nic nie jest bardziej prze-

konujące niż badanie małych próbek. Substancję zidentyfikowano jako piasek znad Sahary. Okazuje się nadto, że deszcz padał na rozległym obszarze. Według „Nature” (68-65) jego wystąpienie zaobserwowano również w Irlandii. Sahara oczywiście, gdyż w czasie poprzedzającym 19 lutego miały miejsce burze piaskowe na Saharze, pomijając fakt, że na tej wielkiej pustyni zawsze jest jakaś burza piaskowa. Jednakże w tym wypadku wygląda to na myśl rozsądną, że pył przywiał z Afryki via Wyspy Kanaryjskie.

Drażmy dalej ten temat, bo jest to kopalnia rozkoszy. Według artykułu w „Journal of the Royal Meteorological Society” (30-56) czerwone deszcze padały w lutym, aż do 27 dnia tego miesiąca, na terenach Belgii, Holandii, Niemczech i Austrii; w niektórych przypadkach nie był to piasek, lecz prawie cała substancja miała charakter organiczny. Załoga pewnego statku zaobserwowała też taki deszcz na Oceanie Atlantyckim, w połowie drogi między Anglią i Barbados. Oblicza się, że tylko w samej Anglii musiało spaść około 10 000 ton tej materii. Spadła ona także w Szwajcarii i w zachodnich prowincjach Cesarstwa Rosyjskiego. Wielkie ilości czerwonego błota spadły również w mniej więcej tym samym okresie w Australii: około 40 ton na kilometr kwadratowy („Victorian Naturalist”, czerwiec 1903).

A wszystko to pył z dróg i zaułków hrabstwa Wessex.

Stwierdzenie, że wszystkie czerwone deszcze są rezultatem zabarwienia opadów przez pyły i piaski Sahary jest przykładem silenia się na realność, czyli na ustanowienie bezwzględnie prawdziwego i niepodlegającego modyfikacjom sądu. Według mojej niepozytywistycznej teorii nie i e k t ó r e czerwone deszcze mogą istotnie mieć związek z piaskami Sahary lub z piaskami innych pustyń na kuli ziemskiej, należałoby jednak wziąć pod uwagę piaski z innych światów i z pozaziemskich pustyń, jak również możliwość istnienia obszarów niezidentyfikowanych, zbyt amorficznych, by mówić o nich jako o światach lub planetach. Uważam również, że żadną hipotetyczną trąbą powietrzną nie może wyjaśnić setek milionów ton materii, która spadła na Australię, Pacyfik, Atlantyk i Europę w latach 1902-1903. Trąba, która byłaby w stanie unieść i rozprzestrzenić w atmosferze takie ilości piasku, nie mogłaby się ukrywać w żadnej anonimowej hipotetyczności.

Zaczęliśmy od deszczów, co do których sami przyznajemy, że zawierały najprawdopodobniej tylko piasek. W mojej wła-

snej, wciąż niedojrzalej heretyckości – a przez herezję czy też postęp rozumem, w szerokim sensie, powrót, choć z wieloma modyfikacjami, do przesądów przeszłości – z rezerwą odnoszę się do średniowiecznej idei deszczów krwi. Pragnę jedynie zwrócić uwagę, że zdarzały się takie czerwone deszcze, które mocno, a nawet bardzo mocno, przypominały krew i rozdrobnioną tkankę zwierzęcą.

Szczałki katastrof międzyplanetarnych.

Kosmiczne bitwy.

Ładunki żywności z międzyplanetarnych superliniowców, które niegdyś, w nieokreślonym czasie, uległy wypadkowi.

6 marca 1888 r. czerwony deszcz nawiedził śródziemnomorskie wybrzeże Francji. W dwanaście dni później spadł ponownie. Czymkolwiek była ta substancja, pod działaniem płomieni wydzielala ona silny i trwały odór materii zwierzęcej („L'Astronomie”, 1888-205).

Zdarzały się też czerwone deszcze, które nie były zabarwione ani przez piasek, ani przez materię zwierzęcą. „Annals of Philosophy” informują na przykład, że 2 listopada 1819 r., tydzień przed czarnym deszczem i trzęsieniem ziemi w Kanadzie, spadł czerwony deszcz w miejscowości Blankenberge, w Holandii.

Co się tyczy piasku, to dwóch chemików z Brugii zagaściło 4,5 kg tego deszczu do 125 g, lecz nie uzyskało żadnego osadu. Kolor płynu był wszakże bardzo wyraźny. Dalsze eksperymenty z użyciem różnych odczynników, wykryły osad, lecz inny niż piasek. Chemicy ci stwierdzili ostatecznie, że woda deszczowa zawierała chlorek kobaltu, co nas szczególnie nie oświeciło, jako że to samo można powiedzieć o wielu substancjach transportowanych na statkach przez Ocean Atlantycki. Cokolwiek to było, „Annals de Chemie” (2-12-432) podają, że miało intensywny czerwono-fioletowy kolor.

Coś, co padało 9, 10 i 11 marca 1872 r. z pyłem o – podobno – meteorytowym pochodzeniu, opisano w „Chemical News” (25-300) jako „szczególną substancję”, składającą się z czerwonej ochry, węglanu wapnia i materii organicznej.

Pomarańczowy i czerwony grad spadł w Toskanii 14 marca 1873 r. (Notes and Queries 9-5-16).

„La Nature” (1885-2-351) podaje za prof. Schwedoffem, że 14 czerwca 1880 r. czerwony i niebieski grad spadł w Rosji. „Year Book of Facts” (1861-273) cytując list prof. Campini do prof. Natteucci, informuje, że rankiem 28 grudnia 1860 r.

w północno-zachodniej części Sieny padał przez dwie godziny obfity czerwony deszcz. Drugi czerwony deszcz spadł o 11.00. Trzy dni później czerwony deszcz spadł ponownie. A co najbardziej niezwykle, każdy z tych deszczy spadł na dokładnie tę samą, północno-zachodnią część miasta.

Rozdział IV

Coś żyje nad nami

W sprawozdaniach z posiedzeń Akademii Francuskiej znajduje się wiadomość, że 17 marca 1669 r. w miejscowości Chatillon-sur-seine spadła na ziemię czerwona substancja o gęstej, ciąglej i zgnilej konsystencji. Podobną historię zamieszcza „American Journal of Science” (1-41-404). Czytamy w nim o bardzo niemiłej substancji, która spadła z nieba w hrabstwie Wilson, w stanie Tennessee. Dalej dowiadujemy się, że sprawę badał na miejscu pewien dr Troost, według którego substancja okazała się krwią i kawałkami mięsa, rozrzuconymi na plantacji tytoniu. Dr Troost dowodzi, że sprawcą zjawiska mogła być trąba powietrzna, która porwała jakieś zwierzę z jednego miejsca, miażdżąc je i rozrywając na kawałki – wściekła, okrutna trąba – a następnie ciskając je gdzie popadnie, na niewielkim wszelako obszarze. W czterdziestym czwartym tomie „American Journal” pojawiają się jednakże przeprosiny. Cała sprawa, jak stwierdzają autorytatywnie redaktorzy pisma, została ukartowana przez miejscowych Murzynów, którzy rozrzucaли po polu szczątki zdechłego wieprza, a następnie zmówili się, że widzieli krwawy deszcz – wszystko dla wesołej zabawy kosztem łatwowiernego właściciela.

Wobec takich wyjaśnień nie możemy oczywiście akceptować tego faktu i nabierać się naiwnie na kawał dowcipnych Murzynów, dostrzegamy tu natomiast jeden z przejawów społecznej determinacji, by wszystkim opadom przypisywać ziemskie pochodzenie.

Czytamy oto w „Annual Register” (1821-687), że 13 sierpnia 1819 r. coś dziwnego spadło z nieba w miejscowości Amherst, w stanie Massachusetts. Rzecz została zbadana i opisana przez prof. Gravesa, byłego wykładowcę Dartmouth College. Według opisu prof. Gravesa był to zatem obiekt pokryty gęstym mezzkiem, przypominającym sfilcowaną tkaninę. Po usunięciu tej zewnętrznej warstwy ukazał pod nią żółtawy miąższ o nieprzy-

azu. Jego więc ten iż to nie

czerwca
l-et-Der,
tożsamić
em prze-
ietrznej.
ć z c ze-
c.

a redak-
z nieba
o. Był to
gl spaść
zekomy
ie notat-
rego od-
że jedy-
ktu jest
szybko-
em jed-
aby po-

i jakby

chodze-
często
się for-
z dłu-
a przy-
gazetą
popio-
ce. Ma-
ijących
y mięk-
od naj-
go pa-
wać tę
no glo-

y prze-

jennym zapachu, który pod dłuższym działaniem powietrza zmienił barwę na żywą czerwień. Upadkowi obiektu miało towarzyszyć jasne światło. Pełny opis całego wydarzenia, którego autorem jest prof. Dewey, bezpośredni świadek, znajduje się również w „American Journal of Science” (1-2-335). Według relacji prof. Dewey’a wieczorem 13 sierpnia 1819 r. w okolicy jego domu rozbłysło światło – i coś spadło z hukiem przypominającym eksplozję. Wewnątrz domu odbłask światła pojawił się na ścianie pokoju, w którym znajdowało się kilku członków jego rodziny, należałoby więc wykluczyć możliwość złudzenia. Następnego ranka, przed domem, w miejscu z którego mógł pochodzić odbłask światła, znaleziono substancję „niepodobną do niczego, co którykolwiek ze świadków mógł widzieć w swym życiu”. Był to obiekt w kształcie spodka o średnicy 2,4 m oraz grubości 2,5 cm, barwy jasnej, żółtopłowej, pokryty delikatnym, gęstym meshkiem. Po usunięciu zewnętrznej warstwy ochronnej ukazał się żółtawy miąższ o konsystencji żółtego mydła i „nieprzyjemnym duszącym zapachu”. Kiluminutowe działanie powietrza zmieniło płowy kolor odsłoniętej masy w żywą czerwień, przypominającą krew. Absorbując wilgoć z powietrza masa ta uległa szybkiej przemianie w ciecz i stopniała. Tak wygląda pierwszy opis pozaziemskiej istoty, która wylądowała nieszczęśliwie w 1819 r. w Amherst.

W jednym z późniejszych numerów „American Journal of Science” (1-25-362) pojawia się jednak nieuchronne wyklęcie tego faktu. Oto pewien profesor nazwiskiem Edward Hitchcock, który w międzyczasie zamieszkał w Amherst, donosi, że w kilka lat później znaleziono tam, prawie dokładnie w tym samym miejscu, gdzie spadł pierwszy nieszczęśnik, rzecz prawie identyczną. Do jej zbadania prof. Hitchcock został zaproszony przez prof. Gravesa. Była istotnie identyczna; odpowiadała jej rozmiarami, barwą i konsystencją; reakcje chemiczne były również to same. Bystre oko prof. Hitchcocka rozpoznało obiekt natychmiast: był to galaretowaty grzyb.

Profesor nie zadowolił się jedynie podaniem dokładnej nazwy gatunku, do jakiej okaz należał, lecz zapowiedział także, iż w ciągu 24 godzin powinny się pojawić kolejne osobniki. I rzeczywiście, nim słońce zdążyło schować się za horyzontem dwa inne, ziemskie grzyby wyskoczyły z gleby.

W ten sposób dotarliśmy do jednej z najstarszych ekskluzjonistycznych konwencji – galaretowatego jednokomórkowego glonu, zwanego nostok (nazwa zaproponowana przez Paracelsusa). Będziemy tu wkrótce mieli więcej faktów galaretowatej

substancji, o której mówiono, że spadła z nieba, ekskluzjoniści zaś prawie zawsze twierdzili, że był to tylko nostok, glon, czyli pod pewnym względem twór grzybowaty.

Konwencją konkurencyjną będzie żabi skrzek lub rybia ikra. Dwie te konwencje tworzą wspólnie mocną kombinację, zdecydowaną stawić czoła wszystkim, co niebacznie spadnie z nieba. Tak więc w przypadkach, gdy świadectwo, że galaretowata substancja spadła z góry nie było w pełni przekonujące, twierdzono iż był to nostok, który oczywiście znajdował się w danym miejscu, jeszcze zanim go odkryto; natomiast gdy świadectwo, że substancja spadła z nieba było nie do obalenia, twierdzono, że był to skrzek lub ikra, przenoszony z miejsca na miejsce przez różne wiry i trąby powietrzne.

Chociaż więc nostok jest raczej zielony, możemy już uznać, że jednak nie zawsze jest zielony, jak nie powinniśmy twierdzić, że wszystkie kosa są czarne, zobaczywszy raz białego kosa. Mamy bowiem naukowców, którym znany był nostok w kolorze mięsa, jeśli tak im było akurat na rękę. Kiedy przejdziemy już do konkretnych doniesień o opadach galaretowatych substancji chciałbym zwrócić uwagę, jak często są one opisywane jako substancje o barwie białej lub szarej. Co zaś do nostoka, to uzupełniając swą wiedzę w tym przedmiocie spotkałem tylko określenia: zielony, zielonkawy, niebiesko-zielony.

Można przyjąć – jak myślę – że jeśli gdzieś pojawia się wiele doniesień o białych ptakach, to nie są to prawdopodobnie kosa, nawet jeśli komuś zdarzyło się raz czy dwa razy spotkać białego kosa. Tak samo jak częste doniesienia o szarawej lub białawej substancji nie odnoszą się raczej ani do nostoka, ani też do żabiego skrzeku, jeśli zjawiska te mają miejsce w sezonie nieodpowiednim do składania skrzeku.

Fenomen z Kentucky

Tak nazywano go w swoim czasie i mamy tu do czynienia ze zdarzeniem, które przyciągnęło wówczas wyjątkowo wiele uwagi. Zwykle wyklęte rzeczy wyciszano lub lekceważono, jak siedem czarnych deszczów w Slains, ale tym razem, 3 marca 1876 r., w hrabstwie Bath, w stanie Kentucky, zaszło coś, co przyciągnęło korespondentów wielu gazet. Substancja spadająca z nieba wyglądem przypominała wołowinę.

3 marca 1876 r., w miejscowości Olympian Springs, z „czystego, błękitnego nieba” spadały na ziemię duże płaty substancji podobnej do wołowiny. Fakt, że nic prócz spadającej substancji nie było na niebie widoczne, należałoby podkreślić grubą kreską. Rozmiary płatów były różne: od dwudziestu do pięćdziesięciu centymetrów kwadratowych. Sama ich forma była interesująca – sugerująca jakby sprasowanie pod wysokim ciśnieniem. Było tego mnóstwo: na ziemi, na drzewach i płotach – ale tylko na niewielkim skrawku gruntu o długości około 90 m i szerokości 40-50 m. Pierwsze sprawozdania o fenomenie z Kentucky ukazały się w „Scientific American” (34-197) i w „New York Times” z 10 marca 1876 r.

Wkrótce zaś do akcji przystąpili ekskluzjoniści, którzy postanowili wydarzenie przydeptać i sprowadzić na ziemię. Tak więc „Scientific American Supplement” (2-426) donosi, że substancja z Kentucky została zbadana przez Leopolda Brandeis i że „wreszcie mamy właściwe wytłumaczenie tego głośnego fenomenu”. Dalej zaś: „Identyfikacja substancji i ustalenie jej statusu nie nastęrczały większych trudności. „Cud” z Kentucky to ni mniej, ni więcej tylko nostok”.

Czyli że nic nie spadło z czystego, błękitnego nieba. Że było na ziemi już wcześniej, a gdy nabrzmiało od deszczu, przyciągnęło uwagę mieszkańców niezwyklejmi rozmiarami, ci zaś, nie nawykli do naukowej obserwacji i racjonalnego myślenia, przyjęli naiwnie, że spadło to w deszczu.

O jakim deszczu mowa – nie mam pojęcia. O tym, że płaty były suche, wspomina się w relacjach naocznych świadków wiele razy. Lecz ulga obrażonej przyzwoitości, która znalazła ujście w „Scientific American Supplement” musi być dla niektórych z nas zabawna. To prawdziwy duch Armii Zbawienia, gdy trzeciorzędni uczeni siłą się na wyjaśnienie kości ogonowej w sposób, który mógłby zadowolić Mojżesza. By nadać „właściwemu wytłumaczeniu” pełny kształt powiada się, że pan Brandeis zidentyfikował substancję jako nostok o barwie mięsa.

Jedno naukowe wytłumaczenie to jednak za mało. Zatem „New York Times” z 12 marca 1876 r. informuje, że substancja ta została zbadana przez prof. Lawrence Smitha z Kentucky i według jego opinii jest to najprawdopodobniej wysuszony skrzek jakiegoś płaza, „żaby bez wątpienia” – czyli z jednego miejsca hop, w górę, a w innym miejscu hop, w dół. Najważniejsze jednak, że jeden uczony patrzy na coś i widzi rzecz oślizła,

nabrzmiała od deszczu (którego nie było), drugi patrzy na to samo i widzi rzecz wysuszoną.

W jednym z kolejnych numerów „Scientific American Supplement” (2-473) dr A. Mead Edwards, prezydent Newark Scientific Association, pisze że po przeczytaniu komunikatu pana Brandeis poczuł satysfakcję, że przyzwoitość została przywrócona, a problem należycie rozwiązany, znając zaś dobrze pana Brandeis odwiedził tę podporę przyzwoitości, żeby na własne oczy zobaczyć substancję rozpoznaną jako nostok. Pan Edwards wstąpił także po drodze do niejakiego dr. Hamiltona, który również posiadał próbki substancji i który twierdził, że jest to tkanka płucna. Pan Edwards pisze dalej, po osobistym kontakcie z przedmiotem całego zamieszania, że substancja, która tak pięknie i kompletnie została rozpoznana jako nostok, okazała się być tkanką płucną. Inne osoby, które posiadały próbki tej materii również identyfikowały ją jako masę tkanki łącznej lub mięśniowych włókien. „Co do jej pochodzenia, to nie mam żadnej teorii” – pisze dr Edwards.

Prof. Fassig wymienia substancję z Kentucky w swojej *Bibliografii* jako rybią ikrę. Podobnie pan McAtee, piszący w „Monthly Weather Review” (maj 1918), który przyjmuje, że była to prawdopodobnie wyschnięta ikrą.

Jeśli nawet cały świat łączy się przeciwko tobie, nie jest to nigdy pełna, rzeczywista unia, lecz tylko coś pośredniego pomiędzy zgodą i niezgodą. Każdy opór jest podzielony wewnętrznie na zwalczające się wzajemnie części. Wydaje się więc, że najprostszą strategią jest nie walczyć, nie opierać się ślepo jakiejś rzeczy, lecz przeciwstawiać sobie jej własne elementy.

Przechodzimy teraz od substancji mięsnych do galarety, gdyż tu także jest wiele przykładów i doniesień o różnych przypadkach. Szczególnie zaś jeśli chodzi o przypadki galaretowatej materii, która spadła razem z meteorytami, jest tych doniesień tyle, że między obydwojma zjawiskami musi zachodzić jakiś związek głębszy niż zwykle, przypadkowe współwystępowanie. Gdzieś wysoko muszą być jakieś galaretowate obszary, z których przedzierające się przez nie meteoryty transportują na Ziemię próbki i kawalki.

Czytamy w „Compte Rendus” (3-554), że w 1836 r. pan Valot, członek Akademii Francuskiej, przedstawił na jednym z jej posiedzeń próbki galaretowatej materii, które – jak twierdził – spadła z nieba i którą należałoby poddać naukowej analizie. Niestety, z powodu braku dalszych wzmianek na ten temat nie

wiemy, jak ta sprawa potoczyła się dalej, możemy tylko przypuszczać, że nie potoczyła się wcale.

Inny numer „Compte Rendus” (23-542) donosi, że 4 kwietnia 1846 r. w Wilnie, na Litwie, miała miejsce ulewa, w trakcie której spadły na ziemię masy czegoś, co miało rozmiary orzecha i konsystencję, którą opisywano jako żywicową i galaretową. Była to substancja szara i bez zapachu, natomiast poddana działaniu płomieni wydzielala bardzo wyraźny słodkawy odor. Podobne opady występowały według tego artykułu w Asii Mniejszej, w latach 1841 i 1846.

Londyński „Times” z 24 kwietnia 1871 r. informuje, że grad kleistych kulek spadł w okolicy stacji kolejowej w Bath, koło Bristolu. Kulki te przeobraziły się wkrótce w robakowate poczwarki o długości dwóch i pół centymetra. Fenomenem zainteresował się szczegółowo wielebny L. Jenyns, pastor z Bath, opisując maleńkie robaki w cienkich otoczkach i starając się dociec przyczyny tego zdumiewającego zjawiska. Zagadką bowiem jest tu siła, która zgromadziła wielką ilość obiektów jednego rodzaju i zrzuciła je w jednym miejscu. Zetknijmy się jeszcze z wieloma opisami takich opadów i wszędzie podobnie staranna selekcja wydaje się być nieprzeniknioną tajemnicą. Trąby powietrzne są wszystkim, tylko nie mechanizmem selekcyjnym. Selekcję rzeczy spadających z nieba pomija się w uczonej literaturze, jako najciemniejsze z wyklętych zjawisk. Ojciec Jenyns próbował sobie jednak jakoś radzić, natężył więc wyobraźnię i ujrzał wielki staw, w którym musiało się znajdować mnóstwo tych krągłych kleistych form; następnie widział, jak ów staw wysycha, koncentrując je wszystkie w jednym zagłębieniu; na koniec przyszła trąba powietrzna, wybrała je z dołka jak garścią i przeniosła w całości, nie rozrzucając nic po drodze, w pobliżu stacji kolejowej w Bath.

Jednak w kilka dni później więcej tego rodzaju materii spadło w Bath w tym samym miejscu. Zdrowy rozsądek nie przypisuje trąbom powietrznym takiej celności. Nie byłoby też rozsądnym założeniem, że substancja ta wisiała nad Bath przez kilka dni.

Zadziwiająca powtarzalność: siedem czarnych deszczów w Slains, cztery czerwone deszcze w Sienie, dwa zrzuty robaków w Bath.

Interesującą okolicznością uboczną, rzucającą światło na mechanikę ortodoksji, jest fakt, że Jenyns pilnie notuje drugi opad, lecz nie bierze go pod uwagę w swoich wyjaśnieniach.

R. P. Greg, jeden z najbardziej znaczących badaczy, który

zajmowali się fenomenami towarzyszącymi spadaniu meteoroidów, wymienia („Philosophical Magazine”, 4-8-463) opady ciągłej substancji w latach 1652, 1686, 1718, 1811, 1819, 1844. W „Report of the British Association” z 1860 r. pisze on o meteorycie, który spadł między Barsdorf i Freiburgiem, w Niemczech, a następnego dnia znaleziono w tym miejscu galaretową masę leżącą na śniegu. Pora raczej nieodpowiednia ani na nostok, ani na żabi skrzek. Greg komentuje ten przypadek następująco: „Dziwne, jeśli prawdziwe”. Następnie zaś podaje przykład innego meteorytu, który spadł 6 września 1835 r. w Gotha, „pozostawiając na ziemi galaretową masę”. Według informacji posiadanych przez Grega substancja ta spadła w odległości metra od przypadkowego obserwatora. Nawet jeśli ocena odległości uległa zniekształceniu na skutek silnych emocji, mamy tu dość istotny dowód, że masa nie była rosnącym na miejscu nostokiem. W „Report of the British Association” w 1855 r. Greg opisuje przypadek, który miał miejsce nocą 8 października 1845 r., w okolicach Koblencji. Pewien, znany Gregowi osobiście Niemiec widział wówczas, wraz z towarzyszącą mu osobą, świecące ciała, które spadło na ziemię niezbyt daleko od nich. Zjawiwszy się tam zatem następnego ranka, odkryli galaretową masę o szarawej barwie.

Według innego kronikarza tego rodzaju fenomenów, pana Chladni („Annals of Philosophy”, 12-94), jakaś ciągła masa spadła wraz ze świecącym meteoritem między Sieną i Rzymem w maju 1652 r.; ciągliwą materię znaleziono także po upadku ognistej kuli w Lausitz, na pograniczu Czech i Bawarii, w marcu 1796 r.; galaretowata substancja towarzyszyła też eksplozji meteorytu w okolicach Heidelbergu, w lipcu 1811 r. „Edinburgh Philosophical Journal” (1-234) pisze, że substancja, która spadła w Lausitz miała barwę i zapach zeschłego, brązowego werniksu.

O galaretowatej materii towarzyszącej upadkowi ognistej kuli na wyspę Lethy u wybrzeży Indii w 1718 r. informuje „American Journal of Science” (1-26-133). To samo pismo, komentując liczne upadki meteoroidów na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych w listopadzie 1833 r., donosi również o występowaniu przy tej okazji galaretowatej materii. I tak, według zamieszczonego artykułu, „kawałki galarety” znaleziono w gruntach miejscowości Rahway, w stanie New Jersey. Substancja przypominała ścięte białko kurzego jaja. Pan H. H. Garland z hrabstwa Nelso, w stanie Wirginia, znalazł w miejscu upadku meteoru galaretową substancję wielkości 25-centów-

głazu. Jego
a więc ten
niż to nie

6 czerwca
Pel-et-Der,
utożsamie
atem prze
wietrznej.
nić z c ze
tek.

nia redak
ać z nieba
mo. Był to
ógł spaść
rzekomy
się notat
torego od
n, że jedy
faktu jest
ca szybko
załem jed
trąby po

ne i jakby

zechodze
bść często
ją się for
zać z dłu

Na przy
ną gazeta
wa popie
fryce. Ma
inających
ory mięk
pod naj
skiego pa
sywać tę
ziano gło

rzy prze

ki. Malenka próbka, niemniej była. Dalej: pewna kobieta z West Point, New York, widziała masę wielkości filiżanki o konsystencji gotowanego krochmalu.

Prof. Olmstead, który zebrał te wszystkie fakty i opublikował serię artykułów na temat listopadowych meteorytów, spotkał się z uważnym przyjęciem w ówczesnej prasie naukowej, która wszelako wszelkie wzmianki i aluzje o galaretowatej substancji starannie zignorowała.

Rozdział V

Jedwab i masło

Nie mam tu szczególnego zamiaru łączyć i porządkować wszystkich dat, które występują w tej książce. Matematycznie zorientowany pozytywista, z jego złudzeniem, że w Międzybycie dwa i dwa równa się cztery, byłby oczywiście skłonny doszukiwać się w tych datach jakiegoś znaczenia. Nie znaczy to, że ja sam nie zestawiałem wszystkich faktów tej książki w formie tabel – i kilka ujawnionych w ten sposób zależności było dla mnie rewelacją – niemniej jest to metoda teologów i uczonych, a wśród nich tych, którzy budzą we mnie najgłębsze uczucie, czyli statystyków.

Za pomocą statystycznych metod można na przykład udowodnić, że czarne deszcze padają regularnie co siedem miesięcy w jakimś miejscu na Ziemi. W tym celu do zbioru czarnych deszczy należy włączyć deszcze czerwone i żółte, biorąc pod uwagę czarne cząstki w ich czerwonych i żółtych osadach, a pomijając resztę. Następnie, jeśli tu i tam czarny albo czarno-żółtawy deszcz spadłby o tydzień za wcześniej lub o miesiąc za późno, byłaby to „akceleracja” lub „retardacja”. Jest to przyjęte i zalegalizowane postępowanie w przypadku periodyzacji komet. Gdyby zaś czarne deszcze nie pojawiły się w ogóle w okolicy pewnych dat, znaczyłoby to – nie czytujemy Darwina na próżno – że „brakuje nam kompletnych danych”. Co do czarnych deszczy nie w porę, to byłyby one jakieś szare lub brązowe, albo też mielibyśmy dla nich inną okresowość.

Mimo zatem braku zaufania do statystyki musimy jednak zauważyć, że w naszych relacjach wciąż pojawia się rok 1819. Ponadto, choć nie wymieniam ich wszystkich w tej książce, mam w swych notatkach sprawozdania o trzydziestu jeden niezwykłych wydarzeniach w roku 1883. Ktoś powinien napisać książkę o tym jednym roku. Wyróżnia się też rok 1849 i to tak dalece, że wszystkie lokalne wyjaśnienia zaszłych w nim wydarzeń zdają się być zupełnie nieadekwatne.

glazu. Jego
a więc ten
niż to nie

6 czerwca
Pel-et-Der,
utożsamień
atem prze-
wietrznej.
nić z c ze-
ek.

nia redak-
ść z nieba
no. Był to
ógł spaść
rzekomy
się notat-
torego od-
n, że jedy-
faktu jest
tą szybko-
załem jed-
trąby po-

ne i jakby

zechodze-
ność często
ją się for-
zać z dłu-

Na przy-
ną gazetą
wa popie-
ryce. Ma-
inających
ory mięk-
pod naj-
kiego pa-
sywać tę
zano glo-

rzy prze-

W 1829 r. spadła w Persji substancja, jakiej tamtejsi ludzie nigdy przedtem nie widzieli („Year Book”, 1848-235). Nikt nie miał pojęcia, co to było, wszelako widząc, że jedzą ją owce, ludzie zbierali owe ziarna, melli je na mąkę, z której piekli chleb. Jego smak miał być zupełnie znośny, choć mdły.

Takiej szansy nauka nie przegapiła. Manna z nieba znalazła racjonalne podstawy, pogodzona wreszcie z systemem, który zastępował starszy i mniej bliski rzeczywistości system teologiczny. Mówiło się więc, że manna mogła spaść z nieba w czasach biblijnych – dlaczego nie, skoro wciąż spadała – ale że nie kryła się za tym żadna boska opieka, był to bowiem lichen, rodzaj stepowego porostu, który występuje w niektórych rejonach Azji Mniejszej. „American Almanac” (1833-71) pisze, że substancja ta, „nieznana miejscowej ludności”, została „natychmiast rozpoznana” przez badających ją uczonych.

Mam też dane o innych opadach jadalnych substancji w Persji i Turcji. O wszystkich pisze się dogmatycznie „manna” i identyfikuje się je ze stepowymi porostami. Wygląda jednak na to, że wyjaśnienie tego rodzaju przerosło się w ignorowanie opadów jadalnych substancji roślinnych w innych częściach świata. Wielkim problemem jest też wyjaśnienie wybiórczości w tych opadach.

Bywa, że głębinowym rybom coś jadalnego splywa w dół, jakieś worki z ziarnem lub beczki cukru... Lecz nigdy jeszcze ziarno w workach ani w beczkach nie spadało z nieba. Idąc jednak tym tropem i wyobrażając sobie różne katastrofy, możemy przyjąć, że worki lub beczki pękają, a szczątki ich krążą długo na powierzchni wód, choć ziarno już dawno opadło.

Jeżeli nie ma nad naszymi głowami handlu towarami, podobnego do handlu na naszych ziemskich oceanach, to nie jestem tą rybą głębinową, którą – jak mi się zdaje – jestem.

W 1686 r. pewien człowiek, który czerpał wodę ze stawu – było to kilka kilometrów od miejscowości Memel w Niemczech wróciwszy do swego zajęcia po obiedzie, w czasie którego na dworze szalała śnieżycą, ujrzał, że grunt wokół stawu pokryty jest czarnym jak węgiel listowiem, zaś inny człowiek, który mieszkał obok tego stawu, widział jak listowie to padało wraz ze śniegiem. Niektóre z tych płatów były wielkie jak stołowy blat, cała zaś masa była wilgotna i cuchnęła nieprzyjemnie, jak gnijące wodorosty. Po wysuszeniu jednakże ów przykry odór zniknął. W zachowanym opisie czytamy, że „dało się ją drzeć jak włóknisty papier”.

Klasyczna interpretacja tego zjawiska, wysunięta na posiedzeniu Royal Irish Academy – z której protokołów czerpiemy nasze wiadomości – polega na: hop, z jednego miejsca w górę, a w innym miejscu w dół. Według uczonych uczestników posiedzenia, substancja z Memla była tworem, który powstaje jako cienka roślinna warstwa na bagnach. Co prawda, ów twór bagienny wygląda jak zielony filc, podczas gdy substancja z Memla to smolisto-czarne listowie, jednakże po przełamaniu tworzy bagiennie rozpadają się na płaty i drą się włóknście jak papier. Członkowie Królewskiej Akademii wykluczyli zatem smolistą czerń, podkreślili włóknistość – tak powstają naukowe opinie – i w ten sposób otrzymaliśmy „papier bagienny”, który został uniesiony przez wichurę z jednego miejsca i opadł w innym.

Członkowie Królewskiej Akademii wykluczyli jednakże coś jeszcze, a był to fakt również dostępny dla nich, jak jest dostępny dla mnie, że mianowicie nie był to tylko jakiś niewielki lokalny opad, który zdarzył się nad małym stawem. Był to opad o ogromnych rozmiarach, na który musiały się chyba złożyć wszystkie bagna świata, w tym samym bowiem czasie substancja ta spadła w wielkiej ilości w Norwegii i na Pomorzu („Meteorica Astronomy”): „Substancja przypominająca spalony papier spadła w Norwegii i w innych częściach Europy Północnej 31 grudnia 1686 r.” Poza tym wydaje mi się, że trąba powietrzna o takim zasięgu nie mogłaby się specjalizować wyłącznie w „papierze bagiennym”. Byłyby więc zapewne opady płatów, dachów lub przynajmniej gałęzi. Nic się zresztą nie wspomina o jakimś tornado szalejącym w styczniu 1686 r. nad rozległymi obszarami Europy Północnej. Tylko ta jedna czarna substancja, która spadła w wielu miejscach.

Czas płynął, lecz konwencjonalna determinacja, by interpretować wszystko, co spada na Ziemię, jako pochodzące z jej powierzchni lub ewentualnie z meteorytów, rosła w siłę. W „Annals of Philosophy” (16-18) opisuje się więc substancje z 1686 r. jako masę czarnych liści, wyglądających jak spalony papier, lecz twardszych, bardziej zbitych i łamliwych. O „papierze bagiennym” w ogóle się nie wspomina, pomija się również roślinną włóknistość substancji – jako zbędną w nowej koncepcji.

Meteoryty bywają zazwyczaj pokryte czarną skorupą, o mniej lub bardziej łuskowatym charakterze. Substancja z 1686 r. była niewątpliwie czarna i jakby łuskowata. Jeśli komuś pasuje, „liściastość” zmienia się w „łuskowatość”. W kolejnej próbie oswojenia zjawiska mówi się się, że substancja ma charakter

ego
ten
niewca
Der,
mić
rze-
nej.
ze-lak-
ieba
yl to
paść
omy
tat-
od-
edy-
jest
bko-
jed-
po-

kby

dze-
ęsto
for-
dłu-
przy-
zeta
pie-
Ma-
cych
nięk-
naj-
o pa-
ć tę
gło-
prze-

mineralny i przypomina czarne łuski, którymi są pokryte meteoryty. Uczony, który dokonał tej identyfikacji nazywał się Von Grotthus, a powołał się oczywiście na bóstwo Chemicznej Analizy, na ów symbol potęgi i chwały ludzkiego umysłu – lecz bogowie zazwyczaj mówią to, co chcemy usłyszeć.

Tu jednak sprawa się nie kończy. Substancję badał również Berzelius i nie mógł znaleźć w niej niklu. W owym czasie obecność niklu była obowiązkowym probierzem materii meteorytowej. Von Grotthus odwołał zatem swoją „identyfikację”.

Autor pewnego artykułu w „Edinburgh Review” (87-194) powiada, że w trakcie pisania miał przed sobą próbkę z wielkiego płatu o powierzchni 18 m², który pochodził z opadu w Karolinie na Śląsku w 1839 r. Konsystencją substancja ta przypominała bawełniany filc, z którego szyje się ubrania.

Po katastrofie statku worki mogą pękać i krążyć długo na powierzchni wód, choć ziarno już dawno opadło.

W „Annual Register” z 1821 r. czytamy, że według raportu pana Laine, konsula francuskiego w Pernambuco, na początku października, 1821 r. miał tam miejsce opad substancji, która przypominała jedwab. Ilość jej była tak wielka, jakby cały ładunek, zagubiony niegdyś między Jowiszem a Marsem, dryfując przez wieki z rozkładającą się stopniowo tkaniną, zwałił się ludziom na głowę. „Annales de Chimie” (2-15-427) informują, że próbki substancji przysłanej przez pana Laine do Francji wykazywały pewne podobieństwo do jedwabistych włókien, które w pewnych porach roku wiatr unosi w okolicach Paryża. Chodziło zapewne o podobieństwo do babiego lata.

W „Annals of Philosophy” (12-93) znajduje się wzmianka o włóknistej, podobnej do błękitnego jedwabiu substancji, która spadła w okolicach Naumbergu 23 marca 1665 r. Według Chlądniego („Annales de Chimie”, 2-31-264) opad ten był bardzo obfity. Stawia on jednak znak zapytania przed datą.

Od czasów Darwina klasycznym wyjaśnieniem dla wszystkich jedwabnopodobnych substancji, które lecą z nieba jest pajęczyna. W 1832 r. znajdując się na pokładzie „Beagle”, przed ujściem rzeki La Plata, 60 mil od wybrzeża, Darwin zobaczył ze zdumieniem ogromne ilości pajaków z gatunku znanego powszechnie jako „babie lato”, unoszonych przez wiatr na długich, włóknistych pajęczynach. Nie można powiedzieć, że niektóre jedwabne, spadające na ziemię substancje nie są pajęczyną, wszelako sędzę, iż ostrożniej jest przyjąć, że opady ziemskiej pajęczyny mogą się mieszać w świadomości obserwa-

torów z opadami jedwabnopodobnych substancji pochodzenia pozaziemskiego, gdyż w pewnych przypadkach trudno jest jedno od drugich odróżnić.

W magazynie „All Year Round” (8-254) opisany jest na przykład opad jaki miał miejsce w Anglii 21 września 1741 r., w miastach Bradly, Selborne i Alresford, a także oczywiście na całej przestrzeni między nimi. Substancję opisuje się jako pajęczynę, spadała ona jednak w postaci płatów, „płatów lub strzępów szerokich na 2,5 cm i długich na 13-15 cm”. Płaty miały także swój ciężar, gdyż „spadały one ze znaczną szybkością”. Ilość materii musiała być wielka – najkrótszy bok trójkątnego obszaru między tymi miastami wynosi 12 km.

To, co nazywamy inteligencją, jest tylko wyrazem nierównowagi; gdzie zaś dokonuje się umysłowego dopasowywanie i równoważenie, inteligencja się kończy. Tam, gdzie mamy inteligencję w odniesieniu do czegoś – tam ciągle jeszcze się czegoś uczymy. Człowiek może być błyskotliwy, dowcipny i okopany w bastionie erudycji, a może nie mieć w odniesieniu do świata odrobiny inteligencji, gdyż wszystko wydaje mu się oczywiste i jasne. Wiele jest takich przypadków.

Zadecydowano, że substancja ta była pajęczyną. To właśnie jest przykład umysłowego dopasowywania. Lecz dla mnie natura tej substancji nie jest wcale jasna, więc – jak przypuszczam – mogę mieć nieco inteligencji w tej sprawie. Jeśli zaś kiedykolwiek ustosunkuję się do tego problemu, do zadowolenia i stabilizacji, wówczas skończy się moje myślenie na ten temat, z wyjątkiem myśli rutynowych. Póki co jestem jednak w stanie wskazać, że ilość tej substancji była tak wielka, iż jej opad przyciągał powszechną uwagę. Byłoby więc godnym uwagi zjawiskiem jej wzbijanie się w górę. Spadanie jest dość spektakularne, lecz unoszenie się czegokolwiek, zwłaszcza w ogromnych ilościach, powinno przyciągać gromady widzów i mieć swoje odbicie w uczonych publikacjach. Nie ma wszelako żadnych doniesień z Anglii ani skądkolwiek o tonach wzbijającej się w górę pajęczyny we wrześniu 1741 r.

Pewien korespondent „La Nature” (1883-342) pisze, że wysłał redakcji pisma próbki substancji, która spadła w miejscowości Montussan, w departamencie Gironde. Według cytowanych przez owego korespondenta świadków zdarzenia, na niebie pojawiła się ciężka chmura, której towarzyszył deszcz i wiatr. Z chmury tej sygnęło na ziemię wełnistą materią w kłębach o wielkości pięści. Redaktor pisma, pan Tissandier, doda-

je że substancja jest biała, lecz że wygląda na coś, co płonęło. Jej konsystencja jest włóknista. Pan Tissandier zadziwia nas, pisząc, że nie potrafił jej zidentyfikować.

Według „Annual Register” (1832-447) w marcu 1832 r. na pola Kurianowa w Rosji, spadła palna, żółtawa substancja, pokrywając powierzchnię około 60 m² warstwą grubości 5 cm. Poniżej było to coś żywicznego i żółtawego, ktoś mógłby pomyśleć o pyłku sosnowym – lecz rozdzielona, substancja ta ujawniała wytrzymałość bawełny. Zanurzona w wodzie miała konsystencję żywicy, była elastyczna jak guma, zaś jej zapach przypominał zapach oleju zmieszanego z woskiem. Ze względu na jej grubość i zwartość był to jakby płaszcz pokrywający 60 m² gruntu jednolitą powłoką.

W „Philosophical Transactions” (19-224) znajdujemy natomiast ciekawy wyciąg z listu pana Roberta Vans z Kilkenny, w Irlandii, datowanego na 15 listopada 1695 r., w którym opisuje on dziwne opady, jakie miały miejsce w hrabstwach Limerick i Tipperary – spadało tam coś jakby masło lub smar „o bardzo nieprzyjemnej woni”. Przytacza się dalej wyciąg z listu biskupa z Cloyne na temat bardzo „dziwaczego fenomenu”, który obserwowano w Munster i Leinster, mianowicie przez znaczną część wiosny 1695 r. spadała, tam z nieba substancja, którą miejscowi ludzie nazywali „masłem” – miękka, lepka, ciemno-żółta – bydło wszelako pasło się obojętnie na polach, gdzie substancja owa leżała. W liście pana Vensa czytamy, że masło, o którym pisze, miało według opinii wieśniaków posiadać jakieś lecznicze właściwości i „było zbierane w garnki i inne naczynia przez niektórych mieszkańców tych okolic”.

„The Edinburgh New Philosophical Journal” (13-368) zamieszcza notatkę o oleistej substancji, jaka spadła w okolicach Rotterdamu w 1832 r., natomiast „Comptes Rendus” (13-215) publikują sprawozdanie dotyczące oleistej, czerwonej materii, która spadła w Genui w lutym 1841 r.

Jeśli istnieją jakieś poruszające się między Jowiszem i Marsem superkonstrukcje, które mogą czasami ulegać wypadkom, to powinniśmy tu myśleć zarówno o paliwie, jak i o ładunkach towarów. Oczywiście, najbardziej przekonującym faktem byłyby opady węgla, niemniej można podejrzewać, że silniki spalające ropę zostały wymyślone w bardziej rozwiniętych światach wieki temu.

Co do substancji roślinnych w ilościach wskazujących na zagubione ładunki, to mamy na przykład notatkę z „Intellectual

Observer” (3-468), że 1 maja 1863 r. spadł w Perpignan, w południowej Francji, deszcz z czerwoną substancją, która po zbadaniu okazała się być dziwnym rodzajem czerwonej mąki, zmieszanej z drobnym piaskiem. Substancja ta spadła w wielu punktach na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Pewien korespondent pisze również w „Monthly Weather Review” (29-465), że 6 lutego 1901 r., w miejscowości Pawpaw, w stanie Michigan, podczas dnia tak spokojnego, że wiatrak przestał pracować, spadł z nieba jakiś brązowy pył, który wyglądał jak materia roślinna. Natomiast „Chemical News” (35183) zamieszczają relację dr. A. T. Machattiego, który pisze, że 24 lutego 1868 r. nad Londynem, w stanie Ontario, przeszła gwałtowna burza śnieżna, w czasie której wraz ze śniegiem spadło około 500 ton jakiejś ciemnej substancji, pokrywając pas ziemi o szerokości 16 i długości 70 km. Badana przez dr. Machattiego pod mikroskopem substancja składała się głównie z materii organicznej w stanie zaawansowanego rozkładu. Badał ją również dr James Adams z Glasgow, według którego opinii były to szczątki roślin zbożowych. Dr Machatte zwraca uwagę, że w miesiącach poprzedzających zdarzenie ziemia w Kanadzie była zamrożona, należałoby zatem brać pod uwagę jakieś odleglejsze krainy, skąd przywiałoby te szczątki.

Ołów, srebro, diamenty i szkło

Ołów, srebro, diamenty i szkło. Brzmia jak nazwy rzeczy wyklętych, ale nimi nie są; należą nawet do wybranych, jeśli trafiają się w metalicznej lub kamiennej masie, którą nauka rozpoznaje jako meteoryty. W stosunku do substancji nie zmieszanych w ten sposób istnieje jednak opór.

Szczególnie odpychające dla współczesnej ortodoksji były opady siarki: zapewne z powodu skojarzeń z przesadami i zasadami ortodoksji poprzedniej – historiami o diabłach i siarczanych piekielnych wyziewach. Mam jednak wiele notatek na temat siarczanego odoru niektórych meteorytów i wiele notatek mówiących o fosforycznym blasku obiektów spadających z nieba. Pewnego dnia przejrzę pewnie stare opowieści o demonach, które paradowały po ziemi w siarczanych oparach, z myślą o napisaniu książki poświęconej nieproszonym gościom z innych światów. Może się również okazać, że płonący deszcz siarki, który zniszczył Sodomę i Gomorę, nie jest mitem. Oto w „Report of the British Association” (1874–272) znajduje się opis płonącego kawałka siarki wielkości męskiej pięści, który spadł 30 stycznia 1868 r. na ulicę w Pułtusku i został zdeptany przez tłum mieszkańców miasteczka.

Siła ekskluzjonistów leży w ich stanowisku łączącym współczesną i archaiczną systematykę. Spadanie piaskowców i wapieni jest odpychające zarówno dla teologów jak i naukowców. Piaskowiec i wapień sugerują bowiem istnienie innych światów, w których zachodzą procesy geologiczne o charakterze podobnym do procesów skalotwórczych na Ziemi. Szczególnie wapień, jako skała o pochodzeniu organicznym, budzi zdecydowaną niechęć i odrazę. Czytamy więc w „Science” z 9 marca 1888 r. o bloku wapiennym, który miał jakoby spaść z nieba w okolicach Middleburga na Florydzie, a który wystawiano na Wystawie Podzwrotnikowej w Jacksonville. Autor artykułu

przeczy historii o pozaziemskim pochodzeniu tego glazu. Jego rozumowanie jest proste: nie ma wapieni w niebie, a więc ten wapień nie spadł z nieba. Pewniejszego rozumowania niż to nie można już wymyślić. Poza tym – skądś je już znamy.

„La Nature” (1890-2-127) publikuje informację, że 6 czerwca 1890 r. wapienne kamyki spadły w miejscowości Pel-et-Der, w Francji. Wnikliwe badanie pozwoliło szczęśliwie utożsamić je z wapieniem występującym w Chateau-Landor – zatem przemieszczały się one w górę i w dół, za pomocą trąby powietrznej. Lecz spadły one, z gradem, który trudno jest utożsamić z czerwonym lodem w Chateau-Landor. Zapewne przypadek.

Czytamy też w „Science Gossip” z 1887 r. rozważania redaktora tego magazynu na temat kamienia, który miał spaść z nieba w Little Lever, w Anglii, a którego próbkę mu przesłano. Był to piaskowiec. Skoro zaś był to piaskowiec, to nie mógł spaść z nieba, lecz musiał leżeć w miejscu, gdzie nastąpił rzekomy upadek. Wszelako na stronie 140 tego pisma znajduje się notatka o dużym, wygładzonym przez wodę piaskowcu, którego odkryto w pniu grubego, dojrzałego buka. Powiedziałbym, że jedynym rozsądnie brzmiącym wytłumaczeniem tego faktu jest rozpalony do białości kamienny pocisk, który z wielką szybkością i siłą wbija się w twarde bukowy pień. Nie słyszałem jednak, by coś gorącego i ciężkiego było unoszone przez trąby powietrzne.

Drewno wokół piaskowcowego otoczaka było czarne i jakby spalone.

Sprasowane łuski i płyty, które mogą oznaczać przechodzenie przez obszary o wysokim ciśnieniu, występują dość często w różnych formach i ilościach, częściej jednak zdarzają się formy krągłe i kuliste, których powstawanie może się wiązać z długotrwałym toceniem wzdłuż rozległych płaszczyzn. Na przykład „Nature” z 10 stycznia 1884 r. podaje za lokalną gazetą z Kimberley, że pod koniec listopada 1883 r. gęsta ulewa popielistej materii spadła w Queenstown, w Południowej Afryce. Materia ta spadła w postaci krągłych tworów, przypominających wyglądem marmurowe kulki do gry, były to jednak twory miękkie i miąższowate, zaś po wyschnięciu rozpadały się pod najlżejszym dotknięciem. Opad ten ograniczył się do wąskiego pasa łądu. Byłoby zwykłą niedorzecznością przypisywać tę substancję wulkanowi Krakatau. W czasie opadu słyszano głośne grzmoty.

W innym numerze „Nature” czytamy, że w czasie burzy prze-

chodzącej nad miejscowością Orne, we Francji 24 kwietnia 1887 r. spadło z nieba coś, co wyglądało „dokładnie jak żużel” („Nature”, 36-119).

Bywało, że spadał z nieba także węgiel drzewny. Dr Agnus Smith pisze w artykule zamieszczonym w „Literary and Philosophical Society of Manchester Memoirs” (2-9-146), że w 1827 r. coś podobnego do meteoru spadło z nieba koło Allport, w Anglii. Spadło świecąc i z głośnym hukiem rozsypało się po polu. Oglądany przez Smitha fragment opisany jest jako mający „wygląd kawałka zwykłego węgla drzewnego”. Substancja ta jednak była nadzwyczajnie ciężka, tak jakby miała rdzeń z żelaza, były też na niej odpryski siarki. Według opinii prof. Baden-Powella, który również ją badał, materia ta była „zupełnie niepodobna do jakiegokolwiek meteorytu”. Greg pisze w swoim katalogu meteorytów („Report of the British Association”, 1860-73), że wyglądała ona jak zbity węgiel drzewny z cząsteczkami siarki i piryków.

Lecz znów pojawia się uspokajająca opinia. Prof. Baden-Powell powiada, że zawarty w niej węgiel drzewny „mógł zostać wchłonięty z otoczenia na miejscu upadku”. Czyli że był to zwykły meteoryt, zaprawiony nieco ziemskim specyfikiem. Wszelako według Smitha substancja z Allport nie była zwyczajnie pokryta cienką warstwą zwęglonej materii organicznej, lecz zawierała 43,5% węgla.

W akceptowaniu faktu, że z nieba może spadać również węgiel powinny nam pomóc substancje żywiczne i bitumiczne, które tak się ze sobą zlewają, że nie można ich traktować oddzielnie. Na przykład 28 lipca 1885 r., w czasie burzy przechodzącej nad Luchon, we Francji, spadła z nieba jakaś brunatna substancja. Była krucha i zawierała węgiel, zaś pod działaniem płomieni wydzielala żywiczny zapach („Comptes Rendus”, 103-837).

Substancja, która padała z nieba przez trzy kolejne dni w Genewie, 17, 18, 19 lutego 1841 r., była również żywiczna. Francois Arago, francuski fizyk i astronom, pisze („Oeuvres”, 12-469), że była to mieszanina materii bitumicznej i piasku. Lockyer („The Meteoric Hypothesis”, s. 24) donosi, że 13 października 1838 r. na Przylądku Dobrej Nadziei spadła substancja o miękkiej konsystencji, która w trakcie chemicznych testów pozostawiała bitumiczny osad. Również dr Walter Flight („Eclectic Magazine”, 89-71) mówi o substancji „wydzielającej słaby bitumiczny zapach”, która spadła 15 marca 1806 r. w okolicy Alais, we Francji. Badaniem substancji zajmował się prof. Bergelius i komisja wyznaczona przez Akademię Francuską. Tym razem nie mamy

do czynienia z niechęcią wyrażaną za pomocą takich słów jak „podobna” i „przypominająca”, lecz z otwartym stwierdzeniem, że substancja jest „jednym z gatunków węgla, jakie występują w ziemi”. Innym przykładem zawierającej węgiel materii, przytoczonym przez dr. Flighta, jest opad, który miał miejsce w Tennessee, w 1840 r. Podobne zjawiska wystąpiły w 1861 r. w Cranbourne, w Australii; w 1864 r. w Montauban we Francji (dwadzieścia brył substancji, niektóre wielkości ludzkiej głowy, która przypominała „zmatowiały, ziemisty lignit”); w 1867 r. w Goalpara, w Indiach; w 1868 r. w Ornans, we Francji. „Knowledge” (4-134) informuje o substancji przypominającej lignit, która spadła w Argentynie. „Comptes Rendus” (96-1764) podają dokładniej, że opad miał miejsce 30 czerwca 1880 r. w prowincji Entre Rios, wyglądał zaś jak węgiel brunatny, przypominając wszystkie węglopodobne substancje, które czasem spadają z nieba.

Biorąc pod uwagę liczbę podobnych do cytowanych wyżej doniesień, fakt, że były one również dostępne niegdyś, jak są dzisiaj, oraz naukową opinię, że węgiel jest ciałem kopalnym o organicznym pochodzeniu, trudno jest właściwie zrozumieć dlaczego ogłoszenie przez dr. Hahna, że odkrył on skamieliny w meteorytach, wywołało czterdzieści lat temu taką awanturę. Informacje były przecież dostępne dla każdego. „Philosophical Magazine” (4-17-425) pisze na przykład, że substancja, która spadła w r. 1857 na Węgrzech, w miejscowości Kaba, zawierała materię organiczną, „analogiczną do kopalnego wosku”.

Albo też wapień. O wapiennym bloku, o którego lądowaniu doniesiono z Middleburga, na Florydzie, mówi się w „Science” (11-118), że jakkolwiek widziano coś spadającego na „uprawiane od dawna pole” świadkowie, którzy tam zaraz nadbiegli, podnieśli coś, co leżało na polu uprzednio. Autorowi, który to pisze z ekskluzywistyczną wyobraźnią, znaną też jako głupota, wydaje się, że na uprawianym od dawna polu może sobie spokojnie leżeć sporej wielkości kamień, którego nikt nie chce zauważyć i który nigdy nie przeszkadzał, na przykład w orce. Z absolutną powagą pisze on, że kamień ten waży ok. 100 kg. Jeżeli chodzi o mnie, to opierając się na doświadczeniu wiem, że blok kamienny ważący nawet 200 kg może stać w czymś salonie przez 20 lat, nie zwracając na siebie szczególnej uwagi, wszelako na uprawnym polu zostanie okręcony łańcuchem i wyleczony poza jego obręb w czasie pierwszej orki.

Dr Hahn ogłosił, że odkrył skamieliny w meteorytach. Opisy

korali, gąbek, muszli i liliowców – wszystkie te mikroorganizmy były przez niego fotografowane – znajdują się w magazynie „Popular Science” (20-83). Dr Hahn był znanym uczonym. Jeszcze powszechniej znano go później. Stwierdziwszy definitywnie istnienie skamielin w meteorytach, dr Hahn opublikował także ich fotografie. Widać na nich wyraźnie każdy rys maleńkich muszelek. Jeżeli nie są to muszle, to sprzedawcy ostryg nie sprzedają ostryg. Żłobkowanie jest bardzo wyraźne, widać nawet zawiąsy łączące skorupki. Na widok tych fotografii prof. Lawrence Smith wybucha inwektywami („Knowledge”, 1-258): „Dr Hahn jest póloblakany człowiekiem, którego poniosła wyobraźnia”.

Jednakże dr Hahn nie był jedynym „póloblakany człowiekiem” między doskonale zdrowymi na umyśle. Jego próbki zbadał bowiem dr Weinland i według jego opinii były to jednak skamieliny, a nie kryształy enstatytu, jak twierdził prof. Smith, który – nawiasem mówiąc – próbek nie oglądał. Po opublikowaniu badań dr. Weinlanda – cisza. Jakby ktoś popełnił towarzyski nietakt.

Genezistryna

Zyjące stworzenia, które spadają z góry. I wysiłki, by ratować system. Małe żaby i ropuchy, na przykład. O zjawiskach takich pisano, że albo nigdy z nieba nie spadły, lecz siedziały sobie w danym miejscu i czekały, aż je dobrzy ludzie zauważą, albo – jeśli już nie dało się wykluczyć opadu z nieba – była to wina trąby powietrznej, jak zwykle wybrednej, unoszącej i zrzucającej na dół tylko jeden rodzaj przedmiotów. Sądzę, że gdyby było w Europie jakieś szczególnie zażabione miejsce, jak są obszary szczególnie piaszczyste, to nauka wyjaśniałaby wszystkie opady małych żab w Europie i jej okolicach pochodzeniem z tego centrum... żabskości.

Na początku chciałbym też podkreślić, że jeśli wciąż jesteśmy w stanie zobaczyć coś nowego, to dzieje się tak tylko dzięki naszej prymitywności, czyli inteligencji, czyli dzięki stanowi niedopasowania i nierównowagi. Nie ma ani jednego doniesienia o spadaniu z nieba kijanek.

Zajrzyjmy najpierw do „Leisure Hours” (3-779), gdzie jest mowa o małych żabkach i ropużkach, które widziano spadające z deszczem.

Autor tego artykułu uważa, że wszyscy obserwatorzy zdarzenia musieli się mylić, że żaby spadały zapewne z drzew lub innych miejsc ponad ich głowami.

Ogromną ilość małych ropuch, miesięcznych lub dwumiesięcznych, spadających z wielkiej, ciężkiej chmury, która pojawiła się nagle na lazorowym niebie w okolicach Tuluzy, widziano w sierpniu 1804 r. Pisze o tym prof. Pontus do pana Arago w liście publikowanym przez „Comptes Rendes” (3-54). Podobną informację spotykamy w „Scientific American” z 12 lipca 1873 r.: „Chmara żab – czytamy – która zaćmiła powietrze i pokryła grunt na dużej przestrzeni, jest według doniesień wynikiem burzy, która przeszła ostatnio nad Kansas City, w stanie Missouri. Co zaś do znajdowania się wcześniej w danym miej-

scu, to mnóstwo małych żabek znaleziono w Londynie po ulewie która przeszła nad miastem 30 lipca 1838 r. („Notes and Queries”, 8-7-437).

Chciałbym tu zaznaczyć, że nie potępiam w czambuł konwencjonalnej teorii „w górę z jednego miejsca, a w innym miejscu w dół”. Myślę, że zdarzają się takie przypadki. W londyńskim „Timesie” z 4 lipca 1883 r. znajduje się notatka o ulewie gałązek, liści i małych ropuszek, które spadały w czasie burzy na zboczach Apeninów. W tym wypadku mogły to być przedmioty porwane przez wicher – świadczy o tym ich przypadkowa różnorodność. Muszę tu jednak wtrącić przy okazji, że widzę w swoich notatkach dwa dalsze opady małych ropuszek w tym samym 1883 r.: jeden we Francji i jeden na Tahiti. Były także ryby w Szkocji.

O ile w przypadku fenomenu z Apeninów spadająca mieszanina wydaje się być typowym produktem trąby powietrznej, to inne przypadki wyglądają raczej na coś w rodzaju migracji. Weźmy przede wszystkim pod uwagę wielką ilość i jednorodność spadających istot. Wciąż i wciąż w annałach rzeczy wyklętych pojawia się fakt selekcji. A przecież trąba powietrzna jest stanem chaosu – quasi-chaosu, oczywiście – a nie ostatecznej negatywności. Spójrzmy na jeden z jej opisów („Monthly Weather Review”, lipiec 1881): „Mały staw znajdujący się na drodze posuwania się chmury został wyssany do dna, woda uniesiona nad okolicznymi polami razem z wielką ilością miękkiego mułu, który został rozrzucony na 800 m wokoło”. Bardzo łatwo jest twierdzić, że małe żaby, które spadają z nieba, zostały uniesione w górę przez trąbę powietrzną, lecz w powyższym opisie widzimy okoliczności towarzyszące takiemu porwanu. Wyobraźnia ekskluzjonistów nie uwzględnia błota, szczątków z dna stawu, unoszących się w wodzie roślin, czy też przedmiotów leżących luzem na brzegu. Dokładne wybieranie żab wcale ich nie dziwi. A poza tym, że wszystkich przypadków jakie zebrałem, gdzie opad żabek i ropuch przypisuje się trąbie powietrznej, tylko w jednym trąba ta jest w ogóle zlokalizowana. W pozostałych przypadkach zwolennicy teorii trąby nie martwią się o takie drobne szczegóły. I druga uwaga, jak to zresztą wspomniałem już wcześniej: unoszący się w górę staw jest równie interesujący, jak spadające z góry żaby. O trąbach powietrznych czytamy na okrągło – ale gdzie i o jakich trąbach? Wydaje mi się, że ktoś, kto stracił właśnie staw, dałby o tym znać. Weźmy na przykład „Symon’s Meteorological Magazine” (32-106). Jest w nim mowa

o opadzie małych żab 30 czerwca 1892 r. w okolicach Birmingham w Anglii. Zjawisko to przypisano konkretnej trąbie powietrznej, co już należy uznać za niezwykle przykładowy przykład uczciwości myślenia, nie ma tam wszelako słowa o stawie, który mógł się do tego opadu przyczynić. Jaki zresztą staw mógłby się przyczynić do opadu białych żab?

Wydaje mi się, że nie mamy wyjścia i do naszej ziemskiej cywilizacji będziemy musieli dodać jakieś nowe światy z miejscami, w których spotyka się białe żaby.

Wielokrotnie już mieliśmy do czynienia ze spadaniem skądś nieznanymi rzeczy i mam nadzieję, że niektórzy czytelnicy tej książki zaczynają już oswajać się z myślą, że niebo nad głową może być brzemienne we wszystko, to czego jednak nie można przeoczyć to fakt, że mnóstwo żyjących stworzeń spadało na ziemię i rozprzestrzeniało się wokół wbrew całej naszej wiedzy na temat przyspieszenia spadających ciał. A jeśli chmury żywych żab pojawiają się tutaj nie wiadomo skąd, to prawie każde żywe stworzenie na tej Ziemi może, poprzez swych przodków, pochodzić skądinąd.

Widzę, przerzucając notatki, że mam inny konkretny huragan przed nosem. Oto informacja zaczerpnięta z „Annals and Magazine of Natural History” (1-3-185) na temat jednego z największych huraganów w historii Irlandii. Czytamy, że po jego przejściu znajdowano ryby wyrzucone z wody na odległość dochodzącą do 15 m od krawędzi zbiorników wodnych. Mam jeszcze jedną notatkę; ta dobra dla ekskluzjonistów. Deszcz ryb w Paryżu. Mówi się też o jakimś pobliskim stawie, który został wyssany przez trąbę powietrzną.

Ze wszystkich opadów ryb najbardziej znany jest chyba ten, który miał miejsce w Mountain Ash, Clamorganshire, w Walii, 11 lutego 1859 r. Zamieszczając tę wiadomość, redaktor „Zoologist” pisze, że „Podobne informacje o żabach i rybach otrzymujemy bez przerwy”. W wydaniu tego magazynu z 1859 r. (str. 6493) ukazuje się najpierw list wielobnego Johna Griffitha, miejscowego proboszcza, piszącego że opad miał miejsce głównie na posiadłości pewnego pana Nixona w Mountain Ash. Natomiast na str. 6540 dr Gray z British Museum, przysięgły ekskluzjonista, pisze że niektóre z tych ryb, które przysłano mu jeszcze żywe, były bardzo młodymi piskorzami. Powiada on: „Zapoznając się z dowodami mam wrażenie, że chodzi tu o drowca, który mógł zrobić panu Nixonowi jeden z jego pracowników, wylewając kilka wiader z miejscowego strumienia”.

Mieliśmy już dowcipnych Murzynów, rozwłóczących po polu wieprza, mamy teraz innego lenia, który zamiast pracować podrzuca w czasie lutowej ulewy garście ryb.

Dowcip zresztą się udał, gdyż ryby te prezentowano w Ogrodzie Zoologicznym w Regent's Park. Redaktor pisma dodaje, że jedna była piskorzem, a pozostałe ciernikami. Uważa on, że podejrzenia dr. Graya były z pewnością słuszne, jednakże na stronie 6564 opublikowany jest list od innego korespondenta, który przeprasza za przeciwstawianie się takiemu autorytetowi jak dr Gray, ale – jak pisze – ryby te spadły na przestrzeni przekraczającej możliwości wiadra jakiegokolwiek dowcipnisia.

Według „Annual Register” (1859-14) same ryby ważyły z nieba wiadrami. Jeśli zatem nie znajdowały się one na ziemi już przed deszczem, to pozostaje jeszcze trąba powietrzna, przeciw której mamy następujące obiekcje: po pierwsze, spadły one na wąskim skrawku gruntu o długości około 75 m i szerokości 11 m; takiego wyładunku nie można przypisać żadnej trąbie; po drugie zaś, w 10 minut później miał miejsce drugi opad ryb w tym samym miejscu.

A oto i inne historie tego rodzaju.

Po niesamowitej ulewie 25 lipca 1850 r., w miejscowości Rajkote w Indiach, „ziemia była dosłownie zasłana rybami” („All the Year Round”, 8-255). O opadzie żywych ryb pisze też Ferrel (*A Popular Treatise*, str. 414): zjawisko miało miejsce w okolicach Kalkuty, 20 września 1839 r. Jeden z naocznych świadków wydarzenia mówi: „Uderzające w tym zjawisku było to, że ryby nie spadały bezładnie tu i tam, lecz w prostej, nie szerszej niż jeden łokieć linii (patrz również *Living Age*, 52-186).

Również „Nature”, wrześniowy numer z 1918 r., zamieszcza korespondencję, według której 24 sierpnia 1918 r. setki małych rybek, zidentyfikowanych jako dobijaki, spadły w Hindon, na przedmieściach Sunderland, w Anglii. I znów na niewielki obszar – około 55 na 27 m. Opad ten miał miejsce w czasie ulewy, której towarzyszyły grzmoty. Co prawda blisko Hindon znajduje się morze, gdyby jednak ktoś koniecznie chciał tłumaczyć zdarzenie wicherą, to musiałby wziąć pod uwagę istotny fakt, że według świadków tego zjawiska, ryby spadały na ów niewielki skrawek gruntu przez około 10 minut. Trudno o wyraźniejszą wskazówkę, że spadały one bezpośrednio z jakiegoś stałego źródła nad ziemią. I jeszcze: „Wszystkie ryby były martwe, sztywne i twarde, chociaż zbierano je natychmiast po upadku”.

Przez dane tego rodzaju rozumiem, że wstępujemy na drogę gromadzenia wiedzy o rzeczach, które spadają na ziemię z jakiegoś stacjonarnego źródła nad nimi. Zanim zaś zgodzimy się na ten pogląd, musimy zastosować cały szereg kolejnych podejść i zbliżeń, by umysł nasz zdołał przywyknąć do tej nieco ekscentrycznej koncepcji. Nie wiem, czy nie mógłby nam tu pomóc koń i stodoła, lecz jeśli kiedykolwiek coś się uniosło z powierzchni ziemi i pozostało na długo w górze, to i te przeklęte rzeczy mogły. „Monthly Weather Review”, maj 1878 r.: w czasie gwałtownego tornado w stanie Wisconsin „został porwany w górę koń i stodoła i ani jednego, ani drugiego, jak również żadnej ich części nigdzie od tamtego czasu nie odnaleziono”. Myślę, że po takim daniu, które byłoby trochę za ciężkie, gdyby nie poprawiająca się nam w miarę posuwania się do przodu zdolność trawienia, możemy przejść do pewnego żółwia, który przez sześć miesięcy wisiał nad niewielkim miasteczkiem w stanie Mississippi.

Znów „Monthly Weather Review”. Tym razem 11 maja 1894 r. w Vicksburgu spadł mały kawałek alabastru, zaś osiem mil od Vicksburga, w miejscowości Bovina, spadł żółw.

Obydwa te wypadki miały miejsce w czasie burzy gradowej. Redaktor magazynu pisze, że „przestudiowanie map pogody wskazuje, iż burze takie występują w południowym obszarze zimnych północnych wiatrów i że ta była częścią całej serii podobnych burz; widocznie też jakieś szczególne lokalne wiry powietrzne unoszą ciężkie przedmioty z powierzchni ziemi w chmurę”.

Ze wszystkich niedorzeczności, w których możemy przebierać jak w ulęgalkach, pierwsze miejsce dają tej, że jakaś zdziwiała trąba powietrzna spada zniecka na kawałek gruntu i nie wiadomo dlaczego wybiera – żółwia oraz kawałek alabastru. Dookoła jest tyle różnych ciekawych przedmiotów, a ona – żółwia oraz kawałek alabastru. Tym razem twierdzeniu, że przedmioty te pochodzą z miejsca, w którym je znaleziono, przeszkadza fakt, że były one pokryte lodem – w maju, w jednym z gorących południowych stanów. Niemniej jednak – zachowując się tak jak gdyby był naprawdę rozsądny – zgadzam się na żółwia uniesionego w górę z powierzchni ziemi gdzieś w okolicach Vicksburga, ponieważ ten gatunek zwierząt jest często spotykany na południu. Następnie trzeba by pomyśleć o jakimś huraganie w stanie Mississippi, który zdarzył się kilka tygodni lub miesięcy przed 11 majem 1894 r., ale nie będą go szukał – i tak

by został nieuchronnie znaleziony. Istota rzeczy polega na tym, że różne przedmioty mogą sobie – jak się okazuje – pofrunąć z wiatrem w górę tak wysoko, że pozostają tam później bez końca, choć mogą również stamtąd być po jakimś czasie strącone przez sztormy. Ciągłe mamy przecież przypadki spadania dziwnych rzeczy w czasie burz. Tak więc żółw i kawałek alabastru mogły mieć bardzo różne pochodzenie, wszedłszy zaś w strefę zawieszenia nad ziemią, unosiły się obok siebie przez dłuższy czas, spadając wreszcie z gradem. Czyli że grad również, jeśli jest zbyt duży, może być związany ze zjawiskiem długotrwałego zawieszenia, jest bowiem raczej mało prawdopodobne, by bardzo duże ziarna mogły osiągać swe rozmiary w czasie spadania z chmury.

Ciągle też w różnych relacjach powtarzają się uwagi o nieprzyjemnym zapachu zgnilizny i rozkładu, co jak sądzę jest dodatkowym dowodem długo trwałości przebywania różnych specyfików w tej hipotetycznej strefie zawieszenia.

Myślę o jakiejś sferze ponad powierzchnią Ziemi, w której grawitacja nie jest rządzona zasadą kwadratu odległości, podobnie jak przyciąganie magnetyczne, które staje się niezauważalne już w niewielkiej odległości od magnesu. Teoretycznie przyciąganie to powinno się zmniejszać proporcjonalnie do kwadratu odległości, jednakże – a każdy się może o tym przekonać naocznie – odpadanie przedmiotów żelaznych od magnesu nie jest wcale stopniowe, lecz raczej gwałtowne.

Myślę, że przedmioty unoszone z powierzchni Ziemi utrzymują się w tym bezgrawitacyjnym regionie, a czasem są z stamtąd strącane przez sztormy.

Podniebne Morze Supersargassowe. Szczątki i śmieci, zagubione ładunki z dawnych międzyplanetarnych katastrof, przedmioty wyrzucane w przestrzeń z innych planet, rzeczy z Marsa, Jowisza i Neptuna, pamiętające czasy, gdy na Ziemi żył Aleksander Macedoński, Cezar i Napoleon, przedmioty uniesione przez ziemskie cyklony: konie, stodoły, słonie, muchy, ptaki dodo i pterodaktyle; wszystko wszakże z tendencją do rozkładu, prócz marmurów i alabastrów, wszystko jednoczące się w jednorodnej mazi lub prochu: czerwonego, czarnego, żółtego; skarby dla archeologów i paleontologów, dziewicza akumulacja stuleci; cyklony Egiptu, Grecji i Asyrii; jedne ryby wyschnięte i twarde, inne zaś gnijące i lepkie. Lecz i wszechobecność różnorodności: więc także żywe ryby, sadzawki słodkiej wody i ocean słonej.

W „Philosophical Magazine” (58-310) znajduje się opis ślimaków, które spadły w Bristolu na grunt o powierzchni ok. 1,2 ha. Opad był tak obfity, że zgarniano je z ziemi łopatami. Według autora artykułu ślimaki te „mogły być uważane za lokalny gatunek”. W tym samym piśmie (str. 457) inny korespondent uważa, że ich ilość została przesadzona i że jego zdaniem pochodziły one z miejsca, gdzie je znaleziono. Z opisu jego wynika jednak, że w górze musiało się dziać coś niezwyklego, gdyż „słońce w tym czasie przybrało dziwną błękitną barwę”.

Natomiast „Nature” (47-278) podaje za prasą niemiecką, że 9 sierpnia 1892 r. nad miasto Paderborn napłynęła żółta chmura, z której lunął ulewny deszcz, a wraz z nim sypnęło setkami małży.

Spadały z góry również jaszczurki. Miało to miejsce 28 grudnia 1857 r. w Montrealu („Notes and Queries”, 8-6-104).

Węże. Czytamy o tym w „Monthly Weather Review” ze stycznia 1877 r. 15 stycznia w Memphis, w stanie Tennessee, na dość dokładnie określonym obszarze o rozmiarach dwóch kwartałów budynków, znaleziono po gwałtownej ulewnej mnóstwo węży, które pelzały po podwórkach, chodnikach i jezdniach. Jednakże „żadnego z nich nie zauważono na dachu lub innym, górującym nad ziemią obiekcie” i „nie widziano żadnego jak spadał z góry”. Jeśli zatem wolicie wierzyć, że węże były tam zawsze tylko przypadkowo zwrócono uwagę na ich obecność na ulicach Memphis w dniu 15 stycznia – proszę bardzo, myśl to bardzo rozsądna. Było to pewnie jakieś święto węży albo może ich manifestacja. Jeżeli natomiast będziemy próbowali przyjąć tezę, że węże te zostały uniesione z jakiegoś innego miejsca na ziemi i dostarczone do miasta Memphis przez trąbę powietrzną, jeśli przyjmujemy że taka trąba mogła je wyselekcjonować spośród innych przedmiotów ruchomych, to znaczy, że zgadzamy się również na selekcję innych przedmiotów i że generalnie uznajemy trąby powietrzne za nieco ekscentrycznych, lecz doświadczonych selekcjonerów. Jeżeli zaś mają one działać jako segregujące centryfugi, to gdzieś w pobliżu węży powinny były spaść cięższe przedmioty, które były porwane razem z nimi: kamienie, żerdzie, gałęzie, bryły gruntu, owoce. Gdzieś indziej zaś powinien był wystąpić opad lżejszych rzeczy: liści, małych gałązek, trawy, kapeluszy, parasoli. „Monthly Weather” nie wspomina jednak o żadnych dodatkowych opadach, które by miały miejsce w styczniu 1877 r.

A zatem nasze zastrzeżenia do dziwnej selektywności trąb

powietrznych pozostają w mocy. Można sobie oczywiście wyobrazić, że jakaś trąba mogłaby wybrać gniazdo zimujących węży: z kamieniami, ziemią i niezliczoną ilością innych szczątków, porywając dziesiątki gadów – nie mam pojęcia ile może się mieścić w takim gnieździe, niech będą setki – ale według relacji zamieszczonej w „New York Times” były ich tysiące. I to żywych, mierzących 30 do 45 cm.

„Scientific American” (36-86) również zamieszcza informację o tym wydarzeniu potwierdzając ogromną liczbę spadających gadów. Autor podaje następnie zwyczajowe wyjaśnienie zjawiska za pomocą teorii trąby powietrznej – jednakże „w jakiej okolicy węże występują w takiej ilości pozostaje wciąż zagadką”.

Idźmy dalej. „L’Astronomie”, 1890-313: W czasie wielkiej burzy przechodzącej nad Szwajcarią w końcu stycznia 1890 r. spadła na ziemię niezliczona ilość larw; niektóre z nich były czarne, inne zaś miały barwę żółtą. Wielka ich obfitość przyciągnęła stada ptactwa. Zdarzenie to uważam za najczystsza manifestację pochodzenia opadu z zewnątrz i za najoczywistszy dowód przeciwko teorii trąby powietrznej. Jeżeli bowiem jakiś zatwardziały ekskluzjonista zechce się upierać, że larwy te były dokładnie i z wielkim trudem wydobywane przez trąbę powietrzną ze skutego styczniowego mrozem gruntu, to ma na myśli niesamowite, demoniczne siły, pomijając ich wyrafinowanie – co się bowiem stało z tym wszystkim, co musiało się znajdować na powierzchni gruntu? Jeśli zaś bierze on pod uwagę raczej odległe pochodzenie tych larw i jakąś długą drogę, powiedzmy z południowej Francji, to powinien również przyjąć bardzo dokładną selekcję transportowanego przez wiatr materiału, spodowaną różnicami ciężaru. Przy takiej selekcji larwy powinny być oddzielone od dorosłych owadów. Tymczasem, jeśli chodzi o różnice ciężkości, żółte larwy były trzy razy większe od czarnych, które spadły wraz z nimi. Chyba że – żadna trąba powietrzna nie uniosła ich razem.

Ponieważ spadły z Genezistryny.

Nie mamy innego wyjścia, nawet jeśli będą nas za to prześladować i wytykać palcami. Kto nie chce, może się nie zgadzać.

Czym więc jest Genezistryna? Wyobrażam sobie, że gdzieś wysoko w górze jest miejsce skąd bierze się życie, pozostające w jakimś stałym stosunku z Ziemią. Czy jest to planeta, czy jakiś księżyc, czy też może sąsiadujący z Ziemią amorficzny region albo też wyspa na podniebnym Morzu Supersargassowym –

kwestię tę powinniśmy pozostawić do zbadania przyszłym geografom obszarów pozaziemskich. Pierwsze jednokomórkowce mogły tu przybyć z Genezistryny, lecz mogło się zdarzyć, że człowiek i inne antropomorficzne stworzenia przybyły na Ziemię wcześniej od ameby; może ewolucja na Genezistrynie przebiega w sposób wyraźny w terminach konwencjonalnej biologii, natomiast ewolucja na Ziemi przypomina rozwój społeczny współczesnej Japonii – wielkie skoki i zewnętrzne wpływy. Może ewolucja życia na naszej planecie, rozumiana jako całość, jest procesem pojawiania się całych populacji gotowych stworzeń przez migrację lub bombardowanie. Są to możliwości, których nie powinno się wykluczać z naukowych rozważań. Oczywiście myślę o Genezistrynie w terminach biologicznej mechaniki; nie że gdzieś tam istnieją istoty rozumne, które kolekcjonują robaki w końcu stycznia, a w lipcu i w sierpniu żaby, bombardując nimi Ziemię, podobnie jak nie ma ludzi, którzy wędrują po północnych obszarach Europy, łapiąc i zbierając do kupy ptaki, by je każdej jesieni wysyłać na południe. Wszelko można sobie wyobrazić jakiś atawistyczny, szczątkowy geotropizm na Genezistrynie – nagle miliony larw zaczynają pełzać i miliony małych żab zaczynają skakać, wiedząc nie więcej, co się z nimi dzieje niż my, gdy pełzniemy każdego ranka do pracy.

Kamienne toporki i żelazne kule

Przyjmujemy więc, że w czasie sztormów i burz najbardziej wyklęte z wykluczonych i ekskomunikowanych rzeczy, rzeczy które są trędowate dla wierzących, spadają na Ziemię z podniebnego Morza Supersargassowego lub z tego, co dla wygody tak nazwaliśmy.

Jeden z ortodoksyjnych artykułów wiary głosi, że obiekty poruszające się z kosmiczną prędkością są – jeśli wchodzą w ziemską atmosferę – praktycznie niewrażliwe na działanie huraganów. Równie dobrze mógłby bowiem ktoś myśleć o opędzaniu się od kul za pomocą wachlarza. Jedyny kłopot z ortodoksyjnym myśleniem polega jednak na tym, że dane, które posiadamy i których będziemy mieli wciąż więcej, mówią o wielu obiektach w atmosferze, które wydają się nie mieć własnej prędkości, lecz podlegają wyraźnie wpływowi sztormów i huraganów.

Tyle jest burz i tyle meteorytów, że byłoby raczej niezwykle, gdyby nie zachodziły tu jakieś zbieżności. Wiele z nich wylicza prof. Baden-Powell w „Report of the British Association” (1850-54). Sporo ciekawych przykładów zawiera również *Greg's Catalogue*. Wyróżnia się wśród nich szczególnie jeden: „Ognista kula w porywach huraganu nad Anglią, 2 września 1786 r.” Najistotniejsze w tym wydarzeniu było to, że obiekt ów obserwowano przez 40 minut czyli 800 razy dłużej niż ortodoksyjnie przyjęty czas widzialności meteorów i meteorytów. Inny przykład to zjawisko opisane w „Nature” w wydaniu z 25 października 1877 r. Czytamy tam o „olbrzymiej kuli zielonego ognia” obserwowanej w czasie silnej październikowej wichury, jaka szalała wówczas nad Anglią.

Jest tyle różnych przykładów tego typu, że ktoś wreszcie musi się zbuntować przeciwko utrzymywaniu, iż mamy tu do czynienia wyłącznie z przypadkami. Jeżeli raczej trudno jest sobie wyobrazić kamienne i metaliczne masy, które poruszają się z wielką prędkością, a mimo to wiatr zwiewa je z kursu, to mo-

że powinniśmy pomyśleć o obiektach wolniejszych albo nawet o rzeczach nie mających żadnej prędkości własnej, wiszących kilka kilometrów nad ziemią i porywanych ze swego miejsca przez sztormy, a czasem spływających świetlicie w dół. Lecz opór jest tu tak wielki i naleganie na przypadkowość tak upoczywe, że lepiej będzie, jeśli przytoczymy nieco więcej przykładów.

Spadający w czasie sztormu aerolit widziano w St. Leonards-on-Sea w Anglii 17 września 1885 r. Na ziemi nie znaleziono po nim śladu („Annual Register”, 1885). Inny meteoryt razem z wichurą – 1. marca 1886 r., opisywany w „Monthly Weather Review”; meteoryt w czasie burzy z piorunami u wybrzeży Grecji – 19 listopada 1899 r. („Nature”, 61-111); upadek meteorytu w czasie burzy w prowincji Quebec, w Kanadzie – 7 lipca 1883 r. („Monthly Weather Review”, lipiec 1883); meteoryt w trakcie powietrznej nad Szwecją – 24 września 1883 r. („Nature”, 29-15). Ciekawą informację znajdujemy w „London Royal Society Procedures” (6-276): w czasie burzy 17 grudnia 1852 r. obserwowano trójkątną w kształcie chmurę, z czerwonym jądrem o średnicy połowy księżycowej tarczy pośrodku i długim ogonem. Zjawisko oglądano przez 13 minut, następnie jądro eksplodowało.

Mimo tych wszystkich faktów – można zresztą podać ich znacznie więcej – czytamy w „Science Gossip” (6-65), że jakkolwiek meteoryty spadają niekiedy podczas burz, nie przypuszcza się, by istniał jakiś związek między tymi zjawiskami. Wierzą w niego tylko nieoświeceni wieśniacy.

Niektórzy z tych nieoświeconych wieśniaków przeglądali jednak „Report of the British Association” z 1852 r. Dr Buist, który nigdy nie słyszał o Morzu Supersargassowym, pisze tam na str. 239, że choć trudno jest wysledzić jakiś określony związek między tymi zjawiskami, w ciągu pięciu miesięcy spadły w Indiach w czasie burz trzy meteoryty.

Teraz zaś w nasz chropawy, bukoliczny sposób proponujemy pewną odświeżającą zniewagę dla zdrowego rozsądku, która jednak – jak ośmielamy się przypuszczać – pewnego dnia stanie się niekwestionowanym komunałem.

A mianowicie, że z nieba spadają czasem przedmioty z kamienia i żelaza, które zostały wytworzone sztucznie.

I że trafiają one na dół z regionów zawieszenia na skutek ziemskich i nieziemskich zaburzeń atmosferycznych.

„Piorunowy kamień jest zazwyczaj pięknie wygładzonym

kawałkiem skały w kształcie klina" – pisze pewien autor w angielskim piśmie „Cornhill Magazine”. Można dodać, że kamienie te mogą reprezentować różne rodzaje skał, warto też zwrócić uwagę na zręczność, z jaką niektóre z nich zostały obrobione. Oczywiście nasz autor powiada, że to wszystko przesad. W przeciwnym razie byłby jednym z nas, surowych i prostych synów ornej ziemi.

Konwencjonalne wyklęcie kamiennych narzędzi polega na twierdzeniu, że są to ziemskie, tutejsze kamienie, leżące na swoich miejscach od wieku wieków, a znajduje się je tam, gdzie widziano uderzający piorun. Zdziwieni wieśniacy lub ludzie mało inteligentni wnoszą stąd później, że spadły one w błyskawicy. Można oczywiście przyjąć, że piorun uderza tam, gdzie leży jakiś wygładzony, klinowaty kamień – raz, drugi, trzeci, czwarty, dziesiąty; piorun uderzający obok kamiennego klina w Chinach; piorun uderzający obok kamiennego klina w Szkocji; piorun uderzający w ziemię obok kamiennego klina w Centralnej Afryce; przypadek we Francji, przypadek na Jawie, przypadek w Ameryce Południowej. Mnóstwo przypadków. I wszędzie zaboboncy tubylcy.

Na wyspie Jamajka istnieje na przykład powszechne przekonanie, że spotykane tam siekierki z twardego zielonego kamienia spadają z nieba razem z deszczem („Journal of the Institute of Jamaica”, 2-4). W „Notes and Queries” (2-8-24) czytamy też, że poza tymi przedmiotami ów gatunek skały na Jamajce nie występuje.

Z moją własną tendencją do wykluczania albo też z postawą wieśniaka i dzikusa, który uważa, że nie powinien być klasyfikowany z innymi wieśniakami, niewiele sobie robię z tego, co myślą miejscowi krajowcy. I trudno powiedzieć, dlaczego. Wszelako mój snobizm w tym względzie rozluźnia się nieco wobec wierzeń, które mają bardzo szeroki zasięg; zaś pojęcie „piorunowego kamienia” jest tak szerokie jak sama geografia. Według Elinkenberga, autora książki *Thunder Weapons (Broń z pioruna)*, krajowcy z Burmy, Chin i Japonii są przekonani – oczywiście Elinkenberg nie wierzy w ani jedno ich słowo – że wyczelowane kamienne przedmioty spadły z nieba. Podstawą takiego przekonania jest, jak się okazuje, naiwne złudzenie, że widzieli te kamienie spadające z góry. Nazywają je w tych krajach „gromami”. „Piorunowymi kamieniami” nazywają je na Morawach, w Holandii, Belgii, Francji, Kambodży, na Sumatrze i Syberii. W Łużycach są one znane jako „kamienie burzowe”;

„strzałami z nieba” zwa je w Słowenii, w Anglii i Szkocji mówi się o „piorunowych toporkach”; „kamienie błyskawicy” mamy w Hiszpanii i Portugalii; „siekierki z nieba” w Grecji; podobne nazwy w szeregu innych krajów świata. Wierzenie to jest tak szeroko rozpowszechnione, jak wiara w duchy i czarownice, przeciwko którym oponują dziś tylko ludzie zabobonni.

Jeżeli i ty, mój czytelniku, buntujesz się przeciwko przypadkowi za przypadkiem, a nasza interpretacja „piorunowych kamieni” wydaje ci się nieco za ciężka do strawienia, a przecież o nic nie należy zaś dbać bardziej niż o zdrowie, to polecamy ci wytłumaczenie zjawiska przez pewnego Talliusa, pochodzące z 1649 r.: „Naturalności mówią, że są one wytwarzane w niebie przez piorunowe wyziewy, przybierające kształt kulisty pod wpływem oblewającego je humoru”.

Oczywiście rozprawy w „Cornhill Magazine” nie napisano w intencji zbadania przedmiotu, lecz by ośmieszyć przekonanie, że jakieś wyrabiane z kamienia przedmioty mogłyby kiedykolwiek spadać z nieba.

Pewien autor piszący w „American Journal of Science” (1-21-325) czytał ową rozprawę i uważa to za szczególnie godne uwagi „że jakiś człowiek o zwyczajnym umyśle mógł napisać tak światłą rozprawę, dowodzącą że gromowe kamienie w rzeczywistości nie istnieją. Dalej zaś: „Nie ma prawie potrzeby przekonywania inteligentnego czytelnika, że piorunowe kamienie są mitem”.

Zwróćmy uwagę na niewłaściwe użycie słowa „inteligencja” w ostatnim zdaniu. Jego autor sugeruje, że jest to coś bliskiego braku wątpliwości, coś świadczącego o posiadaniu wyrobionej i wyniosłej opinii o jakimś przedmiocie. W naszym własnym mniemaniu natomiast przez inteligencję należy rozumieć przede wszystkim dociekanie i chwiejność opinii, badanie faktów, miotanie się od jednej koncepcji do drugiej, podczas gdy wszelkie inne rozumowanie jest tylko mechanicznym odruchem, uklepywaniem już uklepanego. „Inteligentnego czytelnika” trzeba przekonywać i przekonywać bez końca, gdyż jak długo jest „inteligentny”, tak długo jest nieprzekonany. Osiągnąwszy zaś stan przekonania lub wiary, przestaje myśleć i traci stan inteligencji. Oczywiście inteligencja jest także w pewnym sensie mechaniczna, lecz mniej porządna i mniej ograniczona niż rutynowe myślenie człowieka o ustalonych poglądach. Dziwne też, że inteligencję uważa się zazwyczaj za wiarygodną. Może zaś być taką tylko w tym sensie, że jest to czynność umysłowa, zmierzająca do uzyskania odpowiedzi na jakieś pytanie lub pytania: w istocie rzeczy

inteligencja jest jednak wyznaniem ignorancji. Pszczoły, teolodzy i dogmatyczni uczeni należą do intelektualnej arystokracji tej Ziemi. Zaś ci wszyscy, którzy nie osiągnęli jeszcze stopnia szlachetnej umysłowej nirwany, czyli instynktywności i gładkości ruchów mózgowej maszyny, pozostają na poziomie inteligencji i nieokrziesania, należąc do masy rześkich i niespokojnych plebejuszy.

Elinkenberg podaje liczne przykłady przesądu związanego z „piorunowym kamieniem”, który kwitnie tam, gdzie myślenie jest w oplakany stan – czyli wszędzie. Na Malajach, Sumatrze i Jawie krajowcy mówią, że kamienne toporki znajduje się często pod drzewami, w które uderzył piorun. Elinkenberg nie neguje tej informacji, twierdzi jednak, że jest to przypadek, że toporki te musiały się znajdować pod drzewami już wcześniej, natomiast krajowcy wyciągają stąd pochopny wniosek, że te ociosane kamienie spadły w ogniu błyskawicy. W Afryce Środkowej istnieje szeroko rozpowszechnione przekonanie, że takie wypolerowane obiekty kamienne w kształcie klina, opisywane jako „toporki”, tkwią w drzewach rażonych przez piorun, gdzie – kierując się bliźną porażenia – można je zazwyczaj znaleźć. Krajowcy z Afryki, podobnie jak te nieuczone osoby w Memphis, które widziały po burzy mnóstwo węży na ulicach miasta, wyciągają pochopne wnioski, że toporki nie zawsze tkwiły w drzewach. Dawid Livingston w swej książce *Ostatnia podróż* powiada, że nigdzie nie zetknął się z używaniem kamiennych narzędzi przez mieszkańców Afryki. W istocie rzeczy kontynent ten zawsze obfitował w łatwo dostępne i bogate rudy żelaza, zaś jego wytop i obróbka mają w Afryce bardzo bogatą tradycję. Pewien autor w „Report of the Smithsonian Institution” (187-308) pisze jednak, że spotkano kilka przykładów używania niewielkich wygładzonych narzędzi kamiennych i że według twierdzeń krajowców nie były one wykonane przez nich, lecz spadły z nieba w czasie burzy.

Co do światła, które towarzyszy spadaniu tych kamieni, to według mojego żalosego mniemania ciała spadające przez ziemską atmosferę często świecą, nawet jeśli nie są rozgrzane, wyglądając jak błysk pioruna

Również w Prusach znaleziono dwa kamienne toporki w pniach drzew i jeden bezpośrednio pod korą (Elinkenberg, str. 100). Znalazcy oczywiście pochopnie przypuszczają, że nie urodziły się one w tych pniach, jak perły w muszlach, lecz że spadły z nieba.

Elinkenberg opowiada też o pewnej kobiecie żyjącej niedaleko Kulsbjaergeue w Szwecji, która znalazła krzemień obok starej wierzby rosnącej tuż „koło jej domu”. Podkreślam to „koło jej domu”, gdyż oznacza to dobrą znajomość miejsca. Wierzba była niegdyś rozszczepiona piorunem.

Mamy też krowę zabita przez piorun lub przez coś, co wyglądało na piorun. Stało się to na wyspie Sark, koło Guernsey, w pobliżu wybrzeży Francji. Właściciel krowy, grzebiąc w gruncie na miejscu wypadku, znalazł mały toporek z zielonego kamienia. Elinkenberg pisze, że chłop wyciągnął z tego pochopny wniosek, iż to właśnie ów przedmiot zabił jego krowę. Zwróćmy uwagę na grzebanie w gruncie, które sugeruje, że zjawisko to nie było mieszkańcom wyspy obce.

W przypadku powyższym stoi też za nimi – rzecz ciekawa – pewien godny pożalowania uczoney. Niemożliwa jest przecież bezwzględna różnica między ortodoksją i herezją; gdzieś muszą się łączyć, gdzieś muszą przechodzić jedna w drugą, choć przy temacie takim jak ten wydaje się to nieco szokujące. W większości dzieł o meteoroidach wspomina się o szczególnym, siarczonym zapachu tych obiektów. Sir John Vans w swej książce *Stone Implements (Kamienne narzędzia)* pisze, że wspomniany wyżej krzemienisty przedmiot „był z pewnością gromem, gdyż po rozłupaniu wydzieliał bardzo szczególny zapach”.

Jeśli znaleziono tu dowód, to cały problem został rozstrzygnięty. Jeśli udowodnimy, że chociaż jeden wykonany z kamienia przedmiot pochodzi ze sfer niebiańskich, to dalsze gromadzenie doniesień nie będzie potrzebne. Jednakże już wcześniej przyjeśliśmy stanowisko, że nic niczego nie rozstrzyga; spory starożytnych Greków nie są bliższe rozwiązania w naszych czasach niż były kilka tysięcy lat temu – a wszystko to skąd, że w absolutnym znaczeniu nie ma niczego do dowodzenia, rozwiązywania i rozstrzygania. Naszym celem jest tylko zbliżyć się do rzeczywistości nieco bardziej niż to robią nasi oponenty. Szerokość jest jednym z aspektów Absolutu, który jak wiadomo z samej definicji, nie może być ograniczony. Rozpierzajmy się więc. Według naszego mniemania tłuszczoch jest bliższy prawdziwej pobożności niż ascetyczny chudzielec. Jedzcie, pijcie, tyjcie i zbliżajcie się do Absolutu. Strzeżcie się negatywności, przez co rozumiem niestrawność.

Przeważającą większość „piorunowych kamieni” opisuje się jako toporki, lecz Meunier („La Nature”, 1892-2-381) mówi o jednym z tych obiektów, który znajdował się w jego posiadaniu

niu, a miał spaść w miejscowości Ghardia, w Algierii, że różnił się wielce swym gruszkowatym kształtem od kanciastych zarysów zwykłych meteorytów.

A teraz nieco rozmaitości:

„Piorunowy kamień” ważący 4 kg spadł w Londynie, w kwietniu 1876 r. Informacja o nim znajduje się w „Year Book”, 1877-246. Brak jednak szczegółów co do kształtu. Natomiast londyński „Times” z 26 kwietnia 1876 r. donosi, że koło miejscowości Wolverhampton spadła w czasie ulewy bryła meteorytowego żelaza. Opis fenomenu zamieścił również magazyn „Nature” (14-272). W innym numerze „Timesa” – z 1 lutego 1888 r. – znajdujemy notatkę o zaokrąglonym przedmiocie z żelaza, który został znaleziony po gwałtownej burzy z piorunami w pewnym ogrodzie w Brixton. Chemik, który badał ten przedmiot, nie potrafił go zidentyfikować jako prawdziwego meteorytu. Czy był to wytwór rzemiosła podobnego do ludzkiego, czy też nie, przedmiot jest opisany jako spłaszczony sferoid, mierzący w najszerszym miejscu około 5 cm.

Pan G. T. Symons opisuje w swym „Symons' Meteorological Magazine” interesujący przypadek pewnego mężczyzny, jego żony i trzech córek, którzy patrząc przez okno swego domu w Casterton, Westmoreland, widzieli – „uważają, że widzieli”, jak to ujmuje pan Symons – w czasie burzy, że coś spadło z nieba, zabiło pasącą się na trawniku przed domem owcę i pograżyło się w ziemi. Po burzy zatem wybiegli oni z domu i zaczęli kopać w miejscu wypadku, wygrzebując z gruntu kamienną kulę. Pan Symons uważa, że był to przypadek. Przedmiot ten był prezentowany na posiedzeniu Royal Meteorological Society przez jednego z członków tej szacownej instytucji, pana M. Carus-Wilsona. W materiałach z posiedzeń Towarzystwa opisuje się go jako „kulisty piaskowiec”.

Wertując stronicę „Knowledge” z października 1885 r. czytamy, że ów „piorunowy kamień” znajdował się w posiadaniu pana Wilsona, który opowiada historię świadka i jego rodziny – zabitej owcy, pograżenia się czegoś z ziemi, kopania i znalezienia. Pan Carus-Wilson opisuje przedmiot jego twardą kulę z żelazistego kwarcytu o wielkości orzecha kokosowego, ważącą 5 kg. Czy będziemy się w tym doszukiwać jakiegoś znaczenia, czy nie, mamy tu nie tylko sugestię co do symetrii obiektu, lecz także dane dotyczące jego struktury. Okazało się bowiem, że po rozlupaniu, jądro kamienia było oddzielone od zewnętrznej skorupy. Pan Carus-Wilson przypisuje to oddzielenie nierównomiernemu ochładzaniu się bryły.

Mamy też inny przypadek armatniej kuli. W „Proceedings of the Royal Society of Edinburgh” (3-147) znajdujemy mianowicie relację o „piorunowym kamieniu”, który spadł podobno w Hampshire, we wrześniu 1852 r. Była to żelazna kula armatnia, czyli duży kawał porytu. Nikt nie był świadkiem jej upadku z nieba, znaleziono ją jednak na ścieżce w ogrodzie zaraz po przejściu burzy. Wszystko to było bardzo „przypuszczalne”, ponieważ obiekt „nie przypominał żadnego ze znanych meteorytów”.

W londyńskim „Timesie” z 16 września 1852 r. zamieszczono list G. E. Baileya, chemika z Andover, który pisze, że ów żelazny obiekt znaleziono w ogrodzie niejakiego Roberta Dowlinga z Andover, że upadł on na ścieżkę w odległości 6 m od domu i został zauważony natychmiast po przejściu burzy przez panią Dowling. Miał on kształt piłki do krykieta i ważył prawie 2 kg. Nikt wszakże nie widział jego upadku. Burza, której opis znajduje się w „Timesie” z 15 września, miała wyjątkowo gwałtowny charakter.

Mamy też trochę danych dotyczących kwarcowej kuli z Westmoreland. *Niewiele tego. Tak mało, że przedstawione fakty wyglądają jak duchy. Duchy jednakże, jeśli zwielokrotnione, nabierają ciała, czyli tego co nazywamy substancjalnością; nawet najbardziej bowiem gesta i twarda rzecz jaką znamy lub potrafimy sobie wyobrazić jest w tej quasi-egzystencji tylko szczególnie skoncentrowaną zjawą. Okrągły kwarcowy obiekt z Westmoreland po wyjęciu luźnego jądra byłby pusty. Wydaje mi się więc, że dwie relacje o tak podobnych a niezwykłych przypadkach, jedno z Anglii, a drugie z Kanady, mogą być interesujące. Czytamy oto w „Proceedings of the Canadian Institute” (3-7-8), że na posiedzeniu 1 grudnia 1888 r. jeden z członków Instytutu, J. A. Livingstone, zaprezentował okrągłą bryłę kwarcu, która – jak twierdził – spadła z nieba. Po rozlupaniu okazało się, że obiekt był w środku pusty. Pozostali członkowie Instytutu zdecydowali jednak, że obiekt nie był autentyczny, gdyż nie składał się „z prawdziwej materii meteorytowej”.*

Kwarc figuruje zatem na indeksie substancji zakazanych Nauki, tymczasem zaś w Muzeum Starożytności w Lejdzie znajduje się kwarcowy dysk, który znaleziono na pewnej plantacji w Zachodnich Indiach Holenderskich po eksplozji meteorytu.

A teraz zajmijmy się cegłami.

Myszę, że w pisaniu jest coś rozpustnego. Polecam je tym,

którzy tęsknią za życiem niemoralnym i grzesznym. Na samym początku niektóre z przytaczanych przez nas faktów miały tak straszny albo też śmiechu wart wygląd, że samym swym widokiem musiały wzbudzać niechęć, litość lub rozbawione spojrzenia. Lecz później, czy nie wkradło się trochę sympatii i przyzwyczajenia? Czy nie przyjemniej żyć z nimi niż bez nich? Świat, jeśli się uprzemy, może być prosty i zrozumiały w każdym swym aspekcie, czy jednak warto do tego dążyć za wszelką cenę? Myślę zatem, że jesteśmy już wspólnie na etapie, na którym możemy się zająć cegłami.

Złotoszary obiekt, który spadł w Richland, w stanie Południowa Karolina, miał według relacji naocznych świadków wyglądać jak kawałek zwyczajnej cegły („American Journal of Science”, 2-34-298).

Kawalki wypalanej cegły padały z gradem w Padwie w sierpniu 1834 r. („Edinburgh New Philosophical Journal”, 1987). Autor artykułu przedstawił też wyjaśnienie, które dało początek nowej konwencji – że były to fragmenty cegły odlupanej przez grad ze ścian budynków.

Magazyn „Nature” (33-153) donosi, że sporej wielkości kamień o wyraźnie sztucznym pochodzeniu spadł w listopadzie 1885 r. w Neapolu. Kamień ten został opisany przez dwóch profesorów z Neapolu, którzy z ubolewaniem stwierdzili, że fenomen – choć prawdziwy – jest jednak zupełnie niemożliwy do wyjaśnienia. Podstawę taką należy z uznaniem nazwać uczciwością. Natomiast korespondent i współpracownik „Nature”, dr H. Johnstone-Levis, który ich odwiedził w celu bezpośredniego zbadania obiektu – a może jedynie zbadania wyklęcia – stwierdził z całą pewnością, że był to „kamień szlifierski używany przez szewców”.

Co prawda dla nas, wtajemniczonych lub o szerszym spojrzeniu na rzeczywistość, nie ma nic szczególnie nieprawdopodobnego w myśli, że na innych planetach również spotyka się szewców, byłaby to bowiem rażąca niesprawiedliwość, gdyby się okazało, że szewstwo zostało zarezerwowane wyłącznie dla Ziemi; jednak podejrzewam, że w tym wypadku powyższa identyfikacja miała charakter taktyczny. Dalej: ów wykonany z kamienia obiekt, czyli szewski kamień szlifierski zrobiony był, według dr. Johnstone-Levisa, z lawy Wezuwiusza, pochodzącej najprawdopodobniej z erupcji z 1631 r., czyli z kamieniołomów La Scala. „Najprawdopodobniej” trzeba tu potępić jako zły polityzm. Jeśli chodzi o „szacownych uczonych”, którzy przyjeżdżali przedtem, że owa prozaiczna rzecz spadła z nieba, „to zobo-

wiązałem ich do wyznania swej pomyłki” – powiada dr Johnstone-Levis. Jak się więc okazuje, przyjezdni w Neapolu znają lepiej lawę z La Scali niż miejscowi.

A oto inny śmiały uczyony, dr Bodding, który wdał się w dyskusję z krajowcami z Santal-Paraganas, w Indiach, twierdzącymi, że cięte i ukształtowane sztuczne kamienie spadają z nieba, wbijając się niekiedy w pnie drzew. Dr Bodding, ze swym ortodoksyjnym wyobrażeniem o prędkości spadających ciał, nie mając pojęcia – jak przypuszczam – o pewnych faktach dotyczących bardzo dużych ziaren gradu, które z powodu rozmiarów spadają niesłychanie powoli, utrzymuje, że cokolwiek spadającego z nieba musiałoby się roztrzaskać na najdrobniejsze atomy. Uznaje on fakt znajdowania obrobionych kamieni w pniach drzew, lecz tłumaczy go bardzo pomysłowo i ciekawie. Dr Bodding jest urodzony psychologiem i znawcą tubylczych dusz.

Okazuje się zatem, że chłopci z Santal często kradną drzewo, ale nie rąbią pni w zwyczajny sposób, gdyż robi się przy tym za dużo hałasu; zamiast tego wtykają w pień kamienne kliny i walą w nie młotem, w przypadku zaś złapania przez służbę leśną takie kamienne kliny nie stanowią dowodu przestępstwa, co miałyby miejsce w przypadku siekier.

Stosownie do tej teorii złodziej kieszonkowy też może czuć się bezpiecznie, nawet jeśli go złapią z ręką w cudzej kieszeni, pod warunkiem jednakże, że ręka ta będzie ubrana w rękawiczkę, szczególnie zaś w białą jedwabną rękawiczkę. Bo przecież żaden poważny sąd nie potraktuje ręki w białej jedwabnej rękawiczce tak samo, jak ręki beczelnie i złodziejsko gołej.

Dr Bodding, który zgromadził z pięćdziesiąt sztuk tych obrobionych gładko kamieni powiada, że Santalowie są wysoko rozwiniętym ludem i od wieków już nie używają kamiennych narzędzi – z wyjątkiem tego jednego łotrowskiego wybiegu.

Wszystkie wyjaśnienia mają z konieczności charakter lokalny i błędny w obliczu Uniwersalnego. Trudno jest dowieść, że czarne deszcze w Anglii nie rodzą się w kominach fabryk – mniej trudno, gdy przenosimy się do Afryki Południowej. Wypracowanej w pocie czoła teorii dr. Boddinga nie będziemy stosować do kamieni znajdujących w pniach drzew w innych krajach. Do tego, co powszechne, lokalna interpretacja jest mało przydatna. Jeśli na przykład chodzi o „piorunowe kamienie”, o których nie mówi się, że spadły z błyskawicą i nie znaleziono ich tkwiących w pniach drzew, to wierni swemu transowi hipnotycy wmawiają nam, iż zdumieni wieśniacy trafiają na prehi-

staryczne toporki, wymyte z gleby przez deszcz, i stąd pochopnie wyciągają wniosek, że przedmioty te spadły z nieba w czasie ulewy lub burzy. A przecież prości wieśniacy trafiają na wiele prehistorycznych przedmiotów: na skrobaki, ceramikę, noże i młotki. Nie ma jednak relacji o wieśniakach znajdujących ceramikę po deszczu, ani też donoszących o spadaniu z nieba glinianych misek. Zaś dr Bodding mógłby też wziąć pod uwagę, że wbijanie w drzewo młotem kamiennego klina jest równie, jeśli nie bardziej, hałaśliwe niż zwykłe rąbanie.

Ciekawą relację spotykamy w „Proceedings of the Royal Irish Academy” (9-337). Czytamy tam o kamieniu w kształcie piramidy, który miał spaść z nieba 2 sierpnia 1865 r. koło Cashel, w hrabstwie Tipperary. Przedstawiający go dr Haughton pisze: „Szczególny rys, jakiego nie widziałem w żadnym innym kamieniu, można zaobserwować w tym – zaokrąglone nieco brzegi piramidy są zaznaczone wyraźnie prostymi liniami na czarnej polowie tak dokładnie, jakby wykonano to przy pomocy linijki”. Według dr. Haughtona linie takie mogły powstać w wyniku bardzo osobliwego ciśnienia, działającego w trakcie schładzania po upadku.

Ciśnienie to musiało być rzeczywiście niezwykle osobliwe, skoro nie zaobserwowano go w żadnym innym meteorycie.

Na koniec mamy coś specjalnego z orszaku wyklętych. Oto „Comptes Rendus” (1887-182) informują, że 20 lipca 1887 r., podczas gwałtownej burzy nad miasteczkiem Tarbes, we Francji, spadł z nieba maleńki kamień, mierzący 13 mm średnicy i 5 mm grubości, ważący zaś zaledwie 2 gramy. O zjawisku tym doniósł Akademii Francuskiej pan Sudre, nauczyciel miejscowej szkoły.

Tym razem stary wybieg, że „był on tam już przedtem” napotyka na zbyt duży opór – kamyk pokryty był lodem, dzień mieliśmy – pamiętajmy – lipcowy. Szczególny wszakże jest jego kształt: kamyk wygląda jak wycięty i obrobiony w sposób typowy dla ludzkiej ręki. Jest to dysk kamienny *tres regulier, il a ete assurancement travaills* („bardzo regularny, z całą pewnością obrabiany”). Nie ma słowa w jakiejś trąbie powietrznej w całym regionie, żaden inny przedmiot ani szczątki czegokolwiek nie spadły w okolicach tej daty we Francji. Tylko ta jedna, jedyna rzecz, mały drobiazg, jak szczegól neolitycznej biżuterii. A jednak również mechanicznie, jak mechaniczne są reakcje warunkowe, „Comptes Rendus” tłumaczy ten fenomen wirem powietrznym, który znalazł gdzieś ów kamień, porwał go w górę

i zrzucił w Tarbes ku utrapieniu francuskich uczonych.

Być może w całym XIX wieku nie zdarzyło się nic ważniejszego. O zjawisku tym wspomina „La Nature” i „L'Annee Scientifique” z 1887 r. Notatka o nim znajduje się również w jednym z letnich numerów „Nature”. Bez słowa dyskusji.

Mały, wykonany z kamienia dysk spadł z nieba 20 lipca 1887 r.

Gwóźdź w bryle kwarcu

Z wszystkich meteorytów, które znajdują się w rozmaitych muzeach na świecie, bardzo niewiele widziano w momencie spadania. Za wystarczający powód przyjęcia próbek uważa się sytuację, gdy ich pochodzenia i składu chemicznego nie można wyjaśnić inaczej, jak przez meteorytową metrykę. Tak jakby we mgle niepewności, która otacza wszystkie rzeczy, można było cokolwiek wyjaśnić tylko w jeden sposób.

Uczeni i teologowie rozumują, że jeśli coś może być wyjaśnione tylko w jeden sposób, to w ten właśnie sposób należy to coś wyjaśnić – czyli że i logika byłaby rzeczywista, gdyby tylko warunki, które nakłada, dało się gdzieś odnaleźć w quasi-egzystencji. W moim przekonaniu logika, nauka, sztuka i religia są w naszej rzeczywistości zapowiedziami nadchodzącego przebudzenia, jak świtająca w umyśle śniącego odległa i niejasna świadomość zewnętrznego otoczenia.

Każdy stary kawałek metalu, który pasuje jakoś do standardu „prawdziwej materii meteorytowej” jest na ogół przyjmowany przez muzea. Czytając na przykład katalog Fletchera, dowiadujemy się, że niektóre z najlepiej znanych meteorytów „znaleziono w czasie osuszania pola”, „w czasie robót polowych”, „wydobyto na powierzchni ziemi podczas orki” – zwroty takie powtarzają się dziesiątki razy. Ktoś łowiąc ryby w jeziorze Okechobes, wyciągnął taki obiekt w sieci. Nigdy nie widziano spadającego meteorytu w tamtej okolicy, lecz Muzeum Narodowe Stanów Zjednoczonych obiekt przyjęło, gdyż w oczach kustoszki był on meteoritem, tak jak ryba jest rybą.

Jest jakiś niezwykły patos i kosmiczny smutek w tym powszechnym poszukiwaniu Standardów, a także wiara, że jakieś już przecież zostały odkryte, bądź za pomocą natchnienia, bądź za pomocą analizy – i przywiera się do tych biednych idei, przysysa się do nich z determinacją i stracenią wiernością, nawet jeśli już dawno wykazano ich błędność i nieskuteczność. Wy-

gląda na to, że „prawdziwa materia meteorytowa” jest opoką pewności dla niektórych uczonych. Przywarli do niej ciałem, objęli ją ramionami. Ci zaś, co przywierają do czegokolwiek nie mogą przecież otwierać ramion w geście powitania.

W jednym z numerów „Science” (31-298), E. D. Hovey z American Museum of Natural History stwierdza, czy też wyznaje, że często przysyła mu się okazy kopalnego wapnia lub żużlu wraz z zapewnieniami, że przedmioty te widziano w trakcie spadania na trawniki, drogi i podjazdy przed gankami. Są one jednak wykluczone, gdyż nie reprezentują „prawdziwej materii meteorytowej”. Były wcześniej tam, gdzie je znaleziono, leżały przez lata, przez dziesiątki lat, aż wreszcie pewnego dnia piorun lub też nawet prawdziwy meteoryt, którego szczątków wszakże nie dawało się odnaleźć, uderzał w ich pobliże, zaś naiwni obserwatorzy brali je za autentycznych przybyszów z nieba. Mamy tu pewną klasyczną ilustrację sposobu, w jaki nasze postrzeganie świata jest ograniczone i podporządkowane różnym teoriom.

Hovey pisze, że listę tych przedmiotów można by wydłużyć nieskończenie – kusząca sugestia bardzo ciekawych materiałów. I dodaje: „Jednakże nie warto”. No i balonik nam natychmiast sflaczał.

Chciałbym wiedzieć, jakież to dziwne, przekłete i ekskomunikowane rzeczy trafiają do muzeów, wysyłane tam przez ludzi przekonanych, że widzieli co widzieli wystarczająco mocno, by ryzykować ośmieszenie, robić pakunek, pisać list i fatygować się na pocztę. Uważam, że nad bramą każdego muzeum, do którego takie rzeczy się wysyła, powinien widnieć napis: „Porzućcie wszelką nadzieję”.

Podobną historię opowiada pan Daubree w „Comptes Rendus” (91-197). Sądzę więc, że prawie wszyscy kustosze mogą opowiadać to samo. Pamiętajmy zaś, że zjawiskowość naszych wrażeń nabiera ciała w miarę ich zwielokrotniania. Pan Daubree wyznaje, że często rozmaite i bardzo dziwne rzeczy trafiają do francuskich muzeów z zapewnieniami, że widziano ich spadanie z nieba. Szczególnie interesuje nas to, że wymienia on węgiel i żużel. Oczywiście ludzie miewają rozmaite przywidzenia i pomysły, ciekawe jednak dlaczego upierają się przy nękanii czcigodnych naukowych instytucji węglem, żużlem lub wapieniem.

Nauka jednak nie pozwala sobie dmuchać w kaszę – i wyklucza. Stosy wykłetych grzebie się bez dat i nazwisk na cmentarzyskach Nauki. Uważam jednak, że stopniowe umieranie ekskluzjonizmu jest pozytywnym fenomenem XX wieku, że bogowie nadchodzącej epoki będą popierać i podtrzymywać nasze poglądy, choć może nie w szczegółach i nie dosłownie, mimo ich niedo-

mycia, niechlujności i włóczęgowskiego wyglądu. Jednakże – przyznajemy sami – jesteśmy tu ograniczeni przez jedność powszechnej pozorności do tych samych metod, przy pomocy których ortodokcja podtrzymuje swe gładkie, ugrzecznione niedorzeczności. W każdym razie, natchnieni przez niezwykle subtelną esencję, która – jak mi się wydaje – zaczyna przenikać XX wiek, zastępując dogmatyczne opary powiewem relatywizmu, nie ulegamy tu złudzeniu, że odkrywamy jakieś bezwzględne prawdy i dowiedzione fakty, które zastąpią starą wiarę i rzucają snop światła w mroczny gąszcz zjawisk. Przeciwnie, bez żadnych złudzeń czujemy, że nie jesteśmy ani trochę mniej przesądni i łatwowierni niż jakiś logik, chemik, aborygen, kustosz czy wieśniak.

Ortodoksja wykazuje, w takich samych terminach, w jakich my wyrażamy swe herezje, że jeśli różne rzeczy znalezione w kopalnym węglu mogły się tam dostać jedynie przez upadek z nieba – to spadły z nieba. Stąd pewien autor, piszący w „Manchester Literary and Philosophical Society's Memoirs” (2-9-306), dowodzi że „krągłe kamienie, znajdowane czasem w węglu, muszą być kopalnymi meteorytami”, że spadły z nieba dawno temu, gdy węgiel był jeszcze miękką masą, zalegającą powierzchnię ziemi, i dlatego znajduje się je wewnątrz brył, bez żadnych śladów przebijania się do środka.

W „Notes and Queries” (11-1-408) znajduje się opis starożytnej miedzianej pieczęci o rozmiarach niewielkiej monety, znalezionej w pokładzie kredy, na głębokości 1,5-1,8 m.

Kamieniołom ten znajduje się koło miejscowości Brednenstone, w Anglii. Na pieczęci, według opisu w „Notes”, widoczny jest mnich klęczący przed Marią z dzieciątkiem Jezus, zaś na obrzeżu pieczęci znajduje się napis: *Saint Jordanis Monachi Spaldingie*.

Nie wiem, co o tym myśleć. Kreda z Brednenstone liczy sobie pewnie ze czterdzieści milionów lat albo i więcej.

Mamy też inne arcyniechlujne diabelstwo w „Scientific American” (7-298), które my sami wyklinamy, my – obrońcy wyklętych, jednakże w jedności Wszechbytu i i wyklinane musi sobie czasami trochę powyklinać. Historia typowa dla gazet: oto w czerwcu 1851 r. ładunek wybuchowy wyrwał z pokładu twardej skały kamieniołomów w Dorchester w stanie Massachusetts, dzwonowate naczynie wykonane z jakiegoś nieznanego metalu. Zewnętrzne ścianki naczynia były inkrustowane srebrną dekoracją o motywach roślinnych, „roboty bardzo zręcznego rzemieślnika”. Według opinii redakcji „Scientific

American” przedmiot ów mógł być wykonany jeszcze przed potopem, prawdopodobnie przez Tubel Kaina, znakomitego kowala i pierwszego mieszkańca Dorchester.

Twierdzenie to wydaje mi się nieco arbitralne, nie jestem jednak aż tak zagorzałym wrogiem nauki, by napadać na każdą naukową opinię. Inny hultajski przypadek, który smakujemy z rozkoszą, publikuje magazyn „Nature” (35-36). Historia ta dotyczy geometrycznego w formie kawałka metalu, który znaleziono w 1885 r. w kopalni węgla w Austrii. Obecnie przedmiot ów znajduje się w muzeum w Salzburgu.

Według naszej opinii taki cięty, geometryczny przedmiot, jeśli znajdujemy go w bardzo starym pokładzie węgla, mógłby antydatować istnienie człowieka jako rodzimego produktu tej planety; bardziej jednak interesuje nas tu dylemat, jaki ów przedmiot stworzył dla wierzącej ortodokcji:

Po pierwsze zatem, składa się on z „prawdziwego materiału meteorytowego”. W „L'Astronomie” (1887-114) czytamy na przykład, że pomimo geometrycznego kształtu obiekt ten posiada tyle cech charakterystycznych dla meteorytu, iż należy wykluczyć jakąkolwiek myśl o udziale w nim ręki człowieka.

Znaleziono go w pokładzie węgla trzeciorzędowego. Składał się z żelaza, węgla i niewielkiej ilości niklu. Jego dziobata powierzchnia jest według ortodoksów jedną z ważniejszych cech charakterystycznych, wspomnianych wyżej, które wykluczają jakąkolwiek myśl o udziale ręki człowieka. Dziobata powierzchnia kontra geometryczny kształt. Pełne sprawozdanie dotyczące tego obiektu znajduje się w „Comptes Rendus” (103-702). Uczeni, którzy obiekt badali, nie mogli dojść do porozumienia. Najpierw się podzielili, później zaproponowano kompromis. Lecz kompromis osiąga się zawsze przez rezygnację z pewnych założeń. Pierwotnie wysunięto kilka sprzecznych z sobą tez. Pisano, że przedmiot składa się z prawdziwego materiału meteorytowego i nie był ukształtowany przez żadną rozumną istotę, a także, że nie zawiera prawdziwego materiału meteorytowego, lecz ziemskie żelazo i że mógł zostać wykonany przez człowieka, jak również, że przedmiot ów składa się z prawdziwego materiału meteorytowego i spadł z nieba, po upadku został jednak znaleziony i ukształtowany ręką ludzką.

Każda z tych tez pomija jednak dziobatą meteorytową powierzchnię, geometryczną formę, obecność w starym pokładzie węglowym, twardość zbliżoną do twardości stali i brak na Ziemi w okresie trzeciorzędu ludzi, którzy by mogli dokonywać obróbki tak twardego materiału. Pisze się przecież, że mimo „prawdziwego

materiału meteorytowego" przedmiot ten był w gruncie rzeczy przedmiotem stalowym. Święty Augustyn ze swoją ortodoksją nie znajdował się chyba nigdy w gorszych opalach niż współcześni wierni. Przy pominięciu paru szczegółów możemy więc mówić o stalowym przedmiocie, który spadł z nieba w okresie trzeciorzędu. Proponujemy to jako ujęcie syntetyczne. W „Science Gossip” (1887-58) jest on natomiast opisany jako meteoryt. Żeby zaś nie denerwować wiernych mówi się o nim prawie wszystko prócz kształtu. A jest to sześcian. Z głębokim nacięciem biegnącym dookoła. Dwie przeciwległe ścianki są lekko wypukłe. Jedynym środkiem usunięcia problemu, jaki przychodzi mi na myśl, byłoby wykazanie, że mamy tu do czynienia z blokiem pirytu – piryt występuje czasem w geometrycznej postaci. Lecz żadne analizy nie wspominają o charakterystycznej dla pirytu obecności siarki.

Jak to więc w końcu jest z tymi rzeczami, które spadły na Ziemię – a może pozostały po nieznanym pozaziemskich gościach? Oto historyjka zamieszczona przez londyński „Times” z 22 czerwca 1844 r.: pewien robotnik kopiący kamień w okolicach Tweed, znalazł na głębokości 2,5 m złoty drucik, który tkwił w jednym z wapieni. Malutka i miłutka rzecz, wcale nie taka niechlujna – i godna uroczystego wyklęcia.

Kolejny numer „Timesa” – z 24 grudnia 1851 r. przynosi wiadomość, że niejaki Hiram de Witt z miejscowości Springfield, w stanie Massachusetts, przywiózł z podróży do Kalifornii – w tamtych czasach była to pełna trudów, egzotyczna podróż – złotonośny kwarc wielkości męskiej pięści. W trakcie oglądania kwarc przypadkowo upadł i pękł na pół – a w środku tkwił gwóźdź. Wykuty z żelaza, lekko skorodowany gwóźdź, „całkowicie prosty i z doskonale zachowaną główką”.

Więc Kalifornia – eony przeszłości, gdy formował się kwarc – i jako stolarz, oddalony od nas o miliony kilometrów w przestrzeni, który upuścił gwóźdź.

Zresztą, niejeden gwóźdź. Według komunikatu sir Dawida Brewstera, opublikowanego w „Report of the British Association” (1845-51), inny gwóźdź znaleziono w kamiennym bloku pochodzącym z kamieniołomów Kingoodie w Szkocji. Blok, w którym ów gwóźdź znaleziono miał 22,5 cm grubości; brakuje jednak informacji, z której części kamieniołomów pochodził – prócz zapewnienia, że nie pochodził z powierzchni.

Kamieniołom ten pracował od dwudziestu lat i składał się z naprzemiennych warstw twardego kamienia oraz zwalów morenowej gliny, zwanej *till*. Czubek gwoździa, nadgryziony mocno

przez rdzę, wystawał z powierzchni kamienia i tkwił w glinie. Część gwoździa przylegała płasko do powierzchni kamienia, główka zaś z częścią gwoździa o długości 2,5 cm tkwiła w kamieniu, jakby była w nim zatopiona.

Fenomen ten, należący do najwyższej kasty, został jednak skazany na potępienie – jak bramin z punktu widzenia baptysty. Przypadek opisano wyraźnie: Brewster zrelacjonował wszystkie okoliczności, które mu były wiadome – nie było jednak żadnej dyskusji na posiedzeniu British Association. Nie zaproponowano też żadnego wyjaśnienia.

Brewster specjalizował się jednak we uprawianiu pozostałych członków Towarzystwa w zakłopotanie. Oto na jednym z posiedzeń w 1853 r. oświadczył, że przedstawia obiekt „tak nieprawdopodobnej natury, iż tylko w towarzystwie najpewniejszych świadectw jego wystąpienie może liczyć na wysłuchanie z powagą i bez posądzeń o tanią sensacyjność. Otóż w badanym przez archeologów skarbu w Niniwie znaleziono kryształowe soczewki.

W wielu świątyniach i skarbach starożytnych cywilizacji przechowywane były rzeczy, które spadły z nieba. Znowu więc mamy bramina między baptystami. Pogrzebano go żywcem w sercu Imperium Przyzwoitości, czyli w British Museum.

Carpenter w książce *The Microscope and Its Revelations* przedstawia dwa rysunki tych soczewek i dowodzi, że starożytni nie mogli w żaden sposób znać produkcji i zastosowania takich instrumentów. Nie przyszło mu do głowy, że kiedyś – milion kilometrów ponad Ziemią – ktoś patrzył przez teleskop i – może to był wypadek – zgubił soczewki. Możemy tu zresztą wymyślić cokolwiek, gdyż wszystko jest prawdopodobne. Carpenter uważa, że przedmioty te musiały być po prostu ozdobami.

Inne światy i superkonstrukcje

Dawni odkrywcy mylili Florydę z Nowofunlandią, lecz przed nimi zamieszanie było jeszcze gorsze. Brało się zaś z prostoty. W tych odległych czasach uważano, że wszystkie ziemie na zachód od Europy to Indie. Świadomość odrębności Indii i nowo odkrytych lądów przychodziła w wyniku powolnego procesu. Co do mnie, to nie myślę o rzeczach przybywających na Ziemię z jakiegoś świata. Takie było moje założenie wtedy, gdy zaczynałem zbierać pierwsze dane.

Zatem jak wynika powszechnie z doświadczenia, każde rozumowanie zaczyna się od iluzji jednorodności. To jedna z prawd podkreślanych przez Herberta Spencera: widzimy jednorodność we wszystkich odległych rzeczach albo w takich, których prawie nie znamy. Wszystkie tygrysy wydają się nam jednakowe, choć każdy z nich ma innych wzór na skórze. Tak samo ma się rzecz z zebrawami i mnóstwem innych stworzeń. Dla przeciętnego Europejczyka wszyscy Chińczycy są podobni i prawdopodobnie tak samo wygląda ta sprawa z drugiej strony. Postęp od względnej jednorodności do względnej różnorodności stanowi istotę spencerowskiej filozofii, choć w rzeczywistości nie było to jego odkrycie, wziął je bowiem od von Baera, a ten z kolei sam był tylko ogniwem długiego łańcucha ewolucyjnej spekulacji.

Moim zaś zdaniem wszystkie rzeczy postępują ku jednorodności albo też starają się jednorodność zlokalizować, czyli osiągnąć jej stan w danym miejscu. Jednorodność jest aspektem Absolutu, czyli stanem, który nie łączy się i nie przechodzi w żaden inny. Dziwne, że Spencer nigdy nie zwrócił uwagi, iż „jednorodność”, „integracja” i „wykończenie” są słowami oznaczającymi ten sam stan, który nazywamy „pozytywnością”. Uważam, że postrzeganie „jednorodności” jako negatywnego elementu w procesie poznania było jego błędem.

Zacząłem od idei jakiegoś jednego innego świata, skąd od czasu do czasu przybywają na Ziemię różne przedmioty i substancje;

świata, który miał lub wciąż ma, choć w mniejszym stopniu niż kiedyś, opiekuńcze zamiary w stosunku do Ziemi; który wciąż usiłuje komunikować się z naszą planetą, prowadząc tu różne okresowe badania, eksperymentując na większą i mniejszą skalę – posługując się przy tym zupełnie nam nieznanym systemem wartości i zasad. W miarę gromadzenia faktów założenie to umocniło się we mnie, doszedłem też do przekonania, że ów inny świat nie tylko usiłuje nawiązać z nami jakiś kontakt, ale że już od wieków posiada szczególne związki z jakimś tajnym stowarzyszeniem lub z pewnymi wtajemniczonymi mieszkańcami tej Ziemi. Zyskałbym jednak większą hipnotyczną władzę, gdybym potrafił skupić swą uwagę tylko na jednym takim świecie. Mój problem polega na tym, że – jak przyznałem się do tego już wcześniej – jestem jeszcze, w odróżnieniu od wyznawców ortodoksji, inteligentny. Nie stać mnie bowiem na artystokratyczną ignorancję kustosa nowojorskiego muzeum lub eskimoskiego czarownika, którzy wiedzą, co wiedzieć powinni, żeby być kustoszami i czarownikami. Mnie ignorancja moja i ciekawość zmusza, by miotać się i rozpraszać w uznawaniu mnóstwa innych światów, a nie dbam o to wcale, które z nich okażą się kiedyś prawdziwe, czyli nieco bardziej istniejące niż te, których istnienie ograniczy się tylko do kart tej książki.

Niektóre z nich mają rozmiary Księżyca lub małych planet, inne to wielkie amorficzne regiony, twory do których takie zdecydowane określenie jak „światy” i „planety” raczej nie pasują. Są też wśród nich sztuczne konstrukcje, latające budowle, które nazywam superkonstrukcjami: jedna z nich wielkości Brooklynu – mogę to powiedzieć od razu. Jest także kilka płaskich, kolistych obiektów, o dobrych kilku kilometrach kwadratowych powierzchni każdy.

Myślę, że wcześniej w tej książce, zanim jeszcze zaczęliśmy sobie śmiało pozwalać na obłapienie wszystkiego, co się nawija pod rękę, oburzenie lub niestrawność moich czytelników mogłaby się wyrazić w sarkastycznym spostrzeżeniu, że gdyby tak istotnie było, jak ośmielam się twierdzić na cierpliwym i bezbronny papierze, to przecież jacyś astronomowie musieliby już dawno zauważyć te inne światy i regiony. Refleksja taka wydaje mi się zresztą czymś zupełnie naturalnym, natomiast zatrzymanie się na niej, czy też użycie jej do powstrzymania strumienia przypuszczeń i wyobrażeń, byłoby bezsensowną próbą stawiania kropek w opowiadaniu o Wszecchiągłości. W kosmicznej ortografii nie ma jednak kropek; ich iluzja, która się

przytrafia niektórych czytelnikom, to niedokładny widok dwukropków i średników. Nie może nas zatem powstrzymać niezwykle słuszne założenie, że gdyby istniały inne światy, to nie uszłyby one uwagi astronomów, ponieważ z naszym dotychczasowym doświadczeniem w sprawach pomijania, usuwania i ignorowania podejrzewamy, jeszcze przed zagłębieniem się w problem, że astronomowie już je widzieli. Widzieli je nawigatorzy i meteorologowie; poszczególni uczeni i wyszkoleni obserwatorzy widzieli je wiele razy. Lecz system usunął wszelkie dane ich dotyczące.

Warto pamiętać, że jeśli chodzi o prawa grawitacji i formuły astronomów, to obowiązywały one równie dobrze w czasach Laplace'a, jak obowiązują obecnie. Dziś wszakże znamy kilkaset ciał niebieskich, które wówczas nie były znane. Myślę więc, że kilkaset naszych świadków nie powinno robić wielkiej różnicy. Laplace wiedział, że w Systemie Słonecznym krąży trzydzieści ciał niebieskich – dziś znamy ich około sześćdziesiąt.

Czy odkrycia geologii i biologii mają jakieś znaczenie dla teologów? Zasady ich systemu działają tak jak dawniej.

Gdyby newtonowskie prawa grawitacji mogły być uznane za ostatecznie prawdziwą wypowiedź w dziedzinie wszechzwiązków ciał niebieskich, to rozwijanie naszych hipotez napotkałoby w ich postaci na poważną przeszkodę. Lecz cóż to jest grawitacja? Wiemy, że grawitacja jest grawitacją – nic więcej. Oczywiście dla intermedysty nic nie może być zdefiniowane inaczej jak tylko w swoich własnych kategoriach, każdy jednak musi się zgodzić, że definicja jakiejś rzeczy, wyrażona w jej własnych terminach, nie jest prawdziwą definicją. Że masło jest maślane wszyscy wiedzą, nic z tego jednak nie wynika.

Mówi się, że przez grawitację rozumiemy przyciąganie wszystkich ciał proporcjonalnie do masy i odwrotnie proporcjonalnie i kwadratu odległości. Masę można by tu rozumieć jako wewnętrzne przyciąganie, trzymające razem cząstki elementarne, o ile takie istnieją. Zanim więc cząstki elementarne zostaną odkryte, w mocy pozostaje tylko część naszego wyrażenia – masa jest przyciąganiem. Odległość natomiast jest również tylko rozciągłością masy, przynajmniej jeśli ktoś nie twierdzi, że między ciałami niebieskimi znajduje się absolutna próżnia; stanowisko, przeciwko któremu moglibyśmy przytoczyć mnóstwo argumentów. Nie ma też żadnego sposobu, by określić grawitację inaczej niż jako przyciąganie. Nic zatem nie stoi na drodze naszych hipotez prócz takiego oto fantomu: grawitacja jest grawi-

tacją wszystkich grawitacji wprost proporcjonalnie do grawitacji i odwrotnie proporcjonalnie do kwadratu grawitacji.

Jeśli zaś chodzi o System i jego niby-to-opór przeciwko naszym pomysłom oraz o niezawodność jego głównej broni – matematyki, to ciągle się trąbi o odkryciu Neptuna, jako o koronnym dowodzie naukowej ścisłości.

Unosimy wówczas brwi. Figlarne światełko zapala nam się w oku za każdym razem, gdy słyszymy o „triumfalnym odkryciu Neptuna”, o tym „monumentalnym osiągnięciu teoretycznej astronomii”, jak to lubią nazywać podręczniki. A wszystko stąd, że przyrzekliśmy się całej sprawie z bliska.

Autorzy podręczników nie są na przykład laskawi pamiętać, że orbita Neptuna, zamiast zgadzać się z kalkulacjami Adamsa i Leverriera, tak się od nich różniła, iż według oświadczenia Leverriera nie była to planeta z jego obliczeń. Później uważano, że jednak lepiej nic nie mówić na ten temat. Podręczniki pomijają również fakt, że w 1846 r. każdy, kto odróżniał sinus od cosinusa wpatrywał się w niebo, obliczając tor hipotetycznej planety, która powinna się znajdować za Uranem. Dwom z nich udało się zgadnąć.

Dla niektórych umysłów nawet po oświadczeniu Leverriera słowo „zgadnąć” może się wydawać niewłaściwe, jednakże według prof. Peirce'a z Harvardu obliczenia Adamsa i Leverriera mogły się równie dobrze odnosić do obiektu odległego od pozycji Neptuna o wiele stopni. Na posiedzeniu Amerykańskiej Akademii Nauk prof. Peirce nazwał odkrycie Neptuna „szczęśliwym przypadkiem”.

Albo komety. Przez całą historię astronomii każda kometa, która powróciła w przewidywanym czasie – nie żeby było w tym coś bardziej istotnie zawilego niż przewidywania dotyczące pojawienia się listonosza – była rozgłaszana we wszelki możliwy sposób. Podobnie rozrasta się reputacja wróżbitów. Komety, które nie wróciły pomijano albo jakoś tam wyjaśniano.

Kometa Halleya. Moim zdaniem, gdyby w prawdziwej egzystencji jakiś astronom nie potrafił obliczyć długości geograficznej, zesłano by go do naszego czyścica, dopóki by się tego nie nauczył. Halleya – jako wybitnego specjalistę – wysłano na Przylądek Dobrej Nadziei, by obliczył jego długość geograficzną. Pomylił się o wiele stopni.

W ostatnich czasach słyszymy ciągle o komecie Halleya. Założmy, że powróciła zgodnie z przewidywaniami – założmy. Jeżeli jednak nie wertujemy ówczesnych źródeł do dziejów

astronomii, nie wiemy na przykład nic o Leonidach. Za pomocą tych samych metod, którymi obliczano orbitę komety Halleya, starano się przewidzieć ruch Leonid. Tymczasem przyszedł listopad 1898 r. – nie było Leonid., Wyjaśniono to jakoś. Przytrafiły się drobne zakłócenia, Leonidy ukażą się w listopadzie 1899 r.. Przyszedł listopad 1899 i listopad 1900 – o Leonidach ani widu, ani słychu.

Moja opinia na temat dokładności astronomicznych obliczeń jest następująca: każdego można uznać za wyborowego strzelca, jeśli będziemy brać pod uwagę tylko jego trafienia w dziesiątkę.

Co do pojawienia się komety Halleya w 1910 r., to każdy teraz przysięga, że oglądał ją na własne oczy i każdy musi się zaklinać – inaczej byłby oskarżony o brak zainteresowania podniosłymi wydarzeniami w dziejach nauki. Weźmy jednak pod uwagę fakt, że nie ma prawie chwili żeby nie było jakiejś komety na niebie. Praktycznie nie ma roku., w którym by nie odkryto kilka nowych obiektów tego rodzaju. Jest ich mnóstwo w kosmicznej przestrzeni. Błyszczące pchły na wielkim czarnym psie.

• Założmy więc, że kometa Halleya nie zjawia się na niebie w przewidzianym czasie. W pierwszych miesiącach 1910 r. ukazała się jednak na firmamencie znacznie ważniejsza kometa niż anemiczne światełko, które miało być kometa Halleya. Ten drugi obiekt świecił tak silnie, że był widoczny nawet w ciągu dnia. Tak czy owak astronomowie byliby więc uratowani. Przecież jeżeli wybieracie się na wyspę Coney, przepowiadając że na tamtejszej plaży znajduje się pewien specjalny kamyk, to nie wiem po co miałibyście się sami okrywać niesławą, jeśli jakiś inny kamyk mógłby odgrywać pożądaną rolę – gdyż owo słabe światełko, uważane w 1910 r. za kometa Halleya, nie było w większej zgodzie z sensoryjnymi opisami, produkowanymi wcześniej przez astronomiczne czasopisma, niż byłby jakiś błąd kamyk z czerwonym jak cegła głazem. Przepowiadam oto, że w przyszłą środę o dziewiątej wieczorem pewien gruby Chińczyk w wizytowym stroju przekroczy Broadway przy 42 Ulicy. Nadchodzi środa, ustawiamy się w odpowiednim punkcie obserwacyjnym i czekamy cierpliwie. Godzina dziewiąta – Chińczyka nie ma. Zapewne jakieś drobne zakłócenia. Czekamy cały czwartek – Chińczyka nie ma. Lecz oto – uwaga, uwaga – w piątek, w samo południe, drobnutki Japończyk w marynarskim uniformie przecina Broadway przy 35 Ulicy. Więc jednak wszystko w porządku – oddychamy z ulgą – choć już zdawało się, że

wystawiliśmy się z naszą przepowiednią na pośmiewisko. Oczywiście zaszły pewne perturbacje, które zawsze należy brać pod uwagę, sperturbowany Chińczyk w postaci Japończyka, ale jednak w ubraniu, a nie nago, i w Nowym Jorku, a nie w Chicago. Jesteśmy wielcy. Przypominam sobie straszliwe przepowiednie, wygłaszane przez uczciwych i łatwowiernych astronomów, którzy pewnie sami byli zahipnotyzowani, inaczej nie hipnotyzowaliby w 1909 r. pozostałych. Sporządzano testamenty i żalowano za grzechy, życie ludzkie miało być bowiem zmiecione z powierzchni planety. Mniej historyczni spośród nas spodziewali się przynajmniej przyzwoitych fajerwerków. A było – co? Choć muszę tu przyznać, że w Nowym Jorku mówiono nawet o jakimś świetle na niebie, które było równie przerażające, jak błysk zapalki z odległości kilometra.

W dodatku nie w tym czasie, który przewidziano. Wiem ze słyszenia, że jakaś wyblakła mglistość, której – mimo wpatrywania się tam, gdzie kazano się wpatrywać – osobiście nie widziałem, była widoczna na niebie. Pojawiła się ona jednakże z kilkudniowym opóźnieniem. Zahipnotyzowany tłum durniów, gapiących się w niebo, jak sfera psów myśliwskich śledzących lot kuropatwy. Rezultat: prawie każdy przysięga, że widział kometa Halleya i że był to wspaniały spektakl.

Myślę, że paradoksalną cechą wielu rozdziałów tej książki jest fakt, iż mimo naszych pozornych prób zdyskredytowania astronomii, większość danych z tego orszaku braminów, krążącego po piekle baptystów, pochodzi z różnych obserwatoriów astronomicznych, niewiele zaś od zwykłych astronomów-amatorów. To nie astronomia sama w sobie i nie nauka, to System nam się przeciwstawia. Ten sam System dławi astronomów, ogranicza wolność ich wyobraźni i swobodę podróży. Nie patrzmy na ich zniewolenie ze złośliwym uśmieszkiem, lecz ze współczuciem, a nawet widzimy w nich tragicznych potomków dawnych rycerzy. Nieszczęśliwi astronomowie, wpatrzeni w dal z wysokich wież, które sami musieli sobie zbudować – i w których dali się uwięzić.

Jeżeli piszę, że wyobrażam sobie inny świat, który zawiązał jakieś tajne porozumienie z pewną liczbą ezoterycznych mieszkańców tej Ziemi, to wyobrażam sobie również inne światy, które usiłują ustanowić kontakt ze wszystkimi ludźmi. Staram się dostosować moje wyobrażenia do faktów, których stos nagromadziłem z różnych uczonych pism i książek. Postępowanie takie uważa się na ogół za logiczne i właściwe, nie jest to jednak w żad-

nym razie próba tworzenia jakiegoś zwartego zespołu uzupełniających się teorii, jakiegoś systemu, który by potem służył do zwalczania i eliminowania in nych pomysłów. Każdy więc może używać zgromadzone tu dane w taki sposób, w jaki mu się żywnie podoba. Co do mnie, to wyobrażam sobie te różne światy, interesujące się Ziemią w rozmaity sposób, także światy i wielkie superkonstrukcje, które mijają nas w niewielkiej odległości bez najmniejszej ochoty na jakieś kontakty, całkiem podobnie jak statki, które mijają czasem wiele wysp, bez odróżniania jednej od drugiej. Wydaje mi się też, że mam dane na temat wielkich konstrukcji, które często przebywały na Ziemi, zanurzały się w jednym z oceanów, przebywały przez jakiś czas pod wodą i powracały w przestrzeń. Dlaczego zaś tak robiły, nie mam oczywiście najmniejszego pojęcia, gdyż moje dane nic na ten temat nie mówią. Ciekawe, w jaki sposób mogliby Eskimosi wyjaśnić pojawienie się przy ich brzegach statków, przybijających tam w poszukiwaniu węgla, który występuje dość obficie na niektórych arktycznych plażach, a którego zastosowanie nie jest jednakże krajowcom znane? Przyjmuję, że na niektórych z tych światów panują warunki podobne do ziemskich, na innych znów są tak różne od naszych, że przybysze z nich nie mogą tu przebywać bez sztucznej adaptacji i specjalnych urządzeń. Jak mogliby niektórzy z nich oddychać naszym rozrzedzonym powietrzem jeśli pochodzą – powiedzmy – z atmosfery o konsystencji galarety.

Maski. Maski znajdowane przez archeologów miały zapewne jakiś rytualny charakter. Większość z nich to maski kamienne, choć maska znaleziona w hrabstwie Sullivan, w stanie Missouri, jest wykonana ze srebra i z żelaza („American Antiquarian”, 3-336). Czego śladem są rytualne maski?

Zagubione ekspedycje

oto jeden z najbardziej wyklętych faktów jakie znamy: w „Scientific American” z 10 września 1910 r. Charles F. Holder pisze, że „wiele lat temu” w Dolinie Yaqui w Meksyku spadł dziwny, podobny w wyglądu do meteorytu kamień, który na jednym z boków miał coś w rodzaju inskrypcji. Wiadomość o kamieniu dostarczył pewien major Armii Brytyjskiej, nazwiskiem Frederick Burnham. W późniejszym czasie major Burnham powrócił do Doliny Yaqui, zaś Holder towarzyszył mu, by - jeśli to możliwe -wspomnianą inskrypcję odcyfrować. Po dotarciu na miejsce Holder zobaczył „kamień barwy brązowej, pochodzenia jakby wulkanicznego, mierzący około 1,6 m wzdłuż dłuższej osi, zaś na jego zwróconym ku wschodowi licu znajdowała się głęboko wryta inskrypcja”. W inskrypcji tej Holder rozpoznał symbole spotykane w piśmie Majów. Dzięki jego metodzie cokolwiek może być zidentyfikowane jako inne cokolwiek, czyli wybiera się pewne cechy według wygody i swojego uznania, a pomija niewygodną resztę. Holder powiada więc, że osobiście wykazał, iż większość symboli była symbolami Majów. Jednym ze znaków wrytych na kamieniu jest na przykład małe kółko wewnątrz większego kółka – podobne znaki Holder znalazł w jakimś manuskrypcie Majów. Są na kamieniu dwie szóstki. Szóstki również znajdujemy w manuskryptach Majów, choć godziłoby się przypomnieć, że znajdujemy je również w manuskryptach arabskich. Dalej mamy podwójny zakrętas, a także kropki i kreski. Zgodnie z tą metodą, pominąwszy jednak kółko w kółku i podwójny zakrętas, podkreśliwszy natomiast występowanie szóstek w tej książce, a także obfitość kropek i pauz, czyli kresek, udowodniliśmy, że my również jesteśmy starożytnymi Majami.

Niektórzy z moich szanownych czytelników mogą jednak odnieść w tym miejscu nieprzyjemne wrażenie, że naśmiewamy się z poważnej archeologicznej roboty i że Holder dokonał

prawdziwej identyfikacji. Pisze on jednak: „Przedstawiłem fotografie tej inskrypcji w kilku muzeach, lecz ku mojemu zdumieniu oświadczono mi wszędzie, że na ich podstawie nie potrafia dojść do żadnych wniosków”.

Ignatius Donnelly w książce *Atlantis* podaje listę przedmiotów, które wydobyto z ziemnych kopców w różnych miejscach Ameryki, a których wiek zdaje się wskazywać na dużo wcześniejsze pochodzenie niż obecność Europejczyków w tym rejonie świata. Są wśród nich przedmioty wykonane za pomocą tokarki, takie jakie cywilizowani kupcy zwykli dostarczać tak zwanym dzikim. Ślady obróbki na tokarce są bardzo wyraźne, nie może tu być pomyłki. Tak się w każdym razie zwyczajowo mówi, gdyż oczywiście nie możemy akceptować poglądu, że w jakiejś sprawie pomyłka jest absolutnie niemożliwa.

W „Report of the Smithsonian Institution” (1881- 619) znajduje się relacja Charlesa C. Jonesa o znalezieniu dwóch srebrnych krzyży w stanie Georgia. Są one doskonale wykonane, wyposażone w bogaty ornament; nie należą jednak do konwencjonalnych krucyfiksów, gdyż wszystkie ich ramiona są równej długości. Jones, jako dobry pozytywista, wysunął hipotezę, że to Hernando De Soto, hiszpański badacz Florydy i odkrywca Mississippi, zatrzymał się „dokładnie” w miejscu znalezienia krzyży. Lecz duch przekory drzemiący we wszystkich „dokładnych” rzeczach spowodował, że na jednym z tych krzyży znajduje się inskrypcja nie posiadająca znaczenia ani w hiszpańskim, ani w żadnym innym ziemskim języku.

Brzmi ona według Jonesa IYNKICIDU. Przypuszcza on dalej, że jest to imię i że ma ono jakieś tubylcze brzmienie, choć powiedziałbym, że chodzi mu tutaj o jakiegoś odległego Inkę (De Soto w przeciwieństwie do Pizzara był wielkim przyjacielem Inków – przyp. tłum.); że hiszpański ofiarodawca kazał wrywać na krzyżu imię Indianina, któremu go ofiarowywał. Przyglądaliśmy się jednak tej inskrypcji sami i okazało się, że rzekome „C” i „D” zwrócone są w przeciwną stronę, zaś to co miało być literą „K” nie tylko jest zwrócone w przeciwną stronę, ale również wygląda na napisane do góry nogami.

Trudno jest uwierzyć, że rozległe kopalnie miedzi w rejonie Jeziora Górnego były kiedykolwiek dziełem amerykańskich tubylców, bowiem wbrew zadziwiającej wielkości tych kopalń, nie znaleziono nigdy nic, co mogło by wskazywać, że obszar ten był kiedykolwiek zamieszkiwany przez stałych mieszkańców: „...ani śladu jakiegoś mieszkania, szkieletu lub kości”. Indianie

również nie mają żadnej ustnej tradycji odnoszącej się do tych kopalń („American Antiquarian”, 25-258). Myślę, że miewaliśmy gości, którzy z jakichś powodów musieli szukać miedzi.

Co do innych relikwów tego rodzaju – tutaj potykamy się o coś, co dotąd nam nie przeszkadzało: fałszerstwo.

Są włosy zwane prawdziwymi – więc są i peruki. Są zęby zwane prawdziwymi – więc są i protezy. Prawdziwe pieniądze – oraz żetony. Właściwie są to namiastki, czyli fałszywość legalna, prócz której mamy wielką sferę fałszywości nielegalnej. Fałszerstwo jest też plagą parapsychologii. Tam gdzie mają miejsce zjawiska parapsychologiczne muszą się też zdarzać fałszywe zjawiska parapsychologiczne. Sytuacja jest tu tak rozpacзлиwa, że Hereward Carrington, znany badacz tych zjawisk, stara się ją ratować dowodząc, iż nawet jeśli Eusapia Palladino została schwytana na oszustwie nie znaczy to jeszcze, że wszystkie produkowane przez nią fenomeny są fałszywe. Moja własna wersja tej sytuacji jest taka, że nic niczego nie dowodzi, gdyż w bezwzględny sposób nie ma nic do dowodzenia. Wszystko, co uważamy za prawdziwe przechodzi niezauważalnie w to, co uważamy za fałszywe. Obydwa te przeciwne krańce są bowiem tylko aspektami tej samej, leżącej u ich podstaw pozorności. Fałszywe znaleziska archeologiczne zdarzają się często, lecz nie częściej niż fałszywe obrazy.

W. S. Forest pisze w *Historical Sketches of Norfolk, Virginia*, że we wrześniu 1833 r. robotnicy kopiący studnię w okolicach Norfolk znaleźli na głębokości 9 m owalną monetę wielkości angielskiego szylinga – właściwie owalny dysk, a nie monetę. Widoczne na nim sylwetki przedstawiały „wojownika lub myśliwego, a także inne osoby, których wygląd wskazuje na rzymskie pochodzenie”.

Środki wykluczenia tego przedmiotu byłyby prawdopodobnie następujące: ludzie kopią dół, nikt się specjalnie nikomu nie przygląda; jeden z nich, dowcipniś, nieznacznie upuszcza monetę; potem on sam, czy też ktoś inny wydaje zdziwiony okrzyk; skupiają się wszyscy – osłupienie, zdumienie, sensacja. Najbardziej oczywiście dziwi się sprawca całej przyjemności. Tego, skąd miałby wziąć tak dziwny przedmiot, nie należy w ogóle brać pod uwagę. Antykwarjusze nie znali chyba tej „monety”, nie mogłem bowiem znaleźć o niej żadnej wzmianki.

Inna moneta. A także krótkie studium o narodzinach proroka. Oto „American Antiquarian” (16-313) powtarza za dziennikiem „Detroit News” historię o znalezieniu miedziaka wielkości dwu-

centówki, który miał się znajdować w jakimś kurhanie, w stanie Michigan. Redaktor magazynu dodaje od siebie, że nie uważa znaleziska za autentyk. Na tej mizerniutkiej podstawie pączkuje jego duma, gdyż w następnym numerze „Antiquariana” informuje on, że „moneta okazała się, tak jak przepowiadaliśmy, oszustwem”. Możemy sobie wyobrazić oburzenie Eliasza czy innego ze starych proroków na widok takiej uzurpacji do jasnowidzenia.

O kolejnym znalezisku czytamy w „Scientific American” z 17 czerwca 1882 r.. Dowiadujemy się więc, że pewien farmer z hrabstwa Cass, w stanie Illinois, znalazł na swojej farmie monetę z brązu, która została wysłana do prof. F. F. Hildera w St. Luis i zidentyfikowana przez niego jako moneta syryjskiego króla Antiocha IV. Grecki napis na monecie przetłumaczono jako „Król Antiochus Epifanes Zwycięzca”. Brzmi to ostatecznie i przekonująco, trudno jednak przyjąć, że musi to koniecznie świadczyć o podrzuceniu monety przez kogoś, kto lubi urozmaicać rzeczywistość.

W magazynie „American Pioneer” (2-169) zamieszczono reprodukcję obydwu stron pewnej miedzianej monety, ze znakami podobnymi do znaków na kamieniu z Grave Creek, o którym wkrótce będziemy mówili. Moneta miała być znaleziona w Connecticut, w 1843 r.

Inna moneta pojawiła się w piśmie „Records of the Past” (12-182). Czytamy tam, że na początku 1913 r. w jakimś kurhanie w stanie Illinois znaleziono monetę, którą rozpoznano jako rzymską. Została ona wysłana do dr. Emersona z Instytutu Sztuki w Chicago. Według wydanej przez niego opinii moneta ta „jest rzadko spotykanym okazem z mennicy cesarza Domicjusza Domicjanusa”. Co do jej odkrycia w kopcu ziemnym w Illinois, dr Emerson wykręca się odpowiedzialności za jakiegokolwiek dziwie przypuszczenia. Co mnie natomiast uderza w tym przypadku to fakt, że ewentualny dowcipniś nie chciał się zadowolić zwyczajną rzymską monetą, lecz zdobył dla swych niecznych celów „rzadko spotykany okaz”. Ciekawe dlaczego żadna z kolekcji nie ogłosiła jego zaginięcia? Przeglądałem wystarczająco liczbę pism numizmatycznych, by wyrazić opinię, że miejsce przebywania każdej rzadkiej monety, znajdującej się w posiadaniu osoby prywatnej, jest dobrze znane innym kolekcjonerom.

„Proceedings of the American Philosophical Society” (12-224) informują natomiast, że w lipcu 1871 r. redakcja pisma otrzymała list od Jacoba W. Moffita z Chillicothe, stan Illinois, zawierający fotografię monety, na którą natknięto się podczas kopania studni na głębokości 36 m. Oczywiście według konwencjonalnych

naukowych standardów taka głębokość ma niezwykle znaczenie. Paleontolodzy, geolodzy, archeolodzy uważają za logiczne wiązanie głębokości znaleziska z jego wiekiem. My uznajemy głębokość za pseudostandard: jedno trzesienie ziemi może zagrzebać współczesną monetę na głębokość 36 m.

Według autora relacji drukowanej w „Proceedings” moneta miała bardzo regularną grubość i z całą pewnością nie została wyprodukowana prymitywnymi metodami. „Są też inne jej cechy wskazujące na użycie maszyny”. Jednakże według prof. Leslie jest to jakiś astrologiczny amulet, znajdują się bowiem na nim znaki Ryb i Lwa. Następnie prof. Leslie stwierdza – z arbitralnością, z jaką ktoś mógłby ogłosić, że Brooklyn Bridge został umieszczony w miejscu, gdzie się obecnie znajduje, przez pewnego wesolka – iż amulet ten podłożono na miejscu znalezienia dla dowcipu, choć nie zrobił tego jego obecny właściciel. Nadto zaś dowiadujemy się, że jest to wyrób z czasów nowożytnych, być może z XVI wieku, o hiszpano-amerykańskiej lub francusko-amerykańskiej proweniencji.

Jest to klasyczny przypadek brutalnej próby włączenia rzeczy, która mogła – choć niekoniecznie – spaść z nieba, w sferę zjawisk przyjętych przez System Antropologiczny. Choć podawanie racji w sensie bezwzględnym jest po prostu śmieszne, można się jednak pogodzić z próbami uzasadnień, które są trochę bliższe rzeczywistości niż racje oponentów. Oczywiście fakt, że prof. Leslie obwarowuje swe poglądy pewnymi zastrzeżeniami przemawia na jego korzyść, wszelako nie dostrzega on, że moneta nie ma najmniejszych cech hiszpańskich lub francuskich. Znajdujący się na niej napis wykonany został w języku, który można umiejscowić „pomiędzy arabskim i fenickim, nie będący ani jednym, ani drugim”. Prof. Winchell w książce *Sparks from a Geologist's Hammer* (Iskry spod młotka geologa) pisze, że surowy wzór na tej monecie, która znajdowała się w jego posiadaniu, przedstawiał niewyraźny zarys jakiegoś zwierzęcia i jakiegoś wojownika, albo może kota i złotej rybki – co kto woli – i nie był on ani wytłoczony, ani wygrawerowany, lecz „wyglądał na wytrawiony kwasem”. A jest to metoda nieznaną numizmatykom tej planety.

Fakty potrójnie wyklęte.

Mówi się, że w kurhanach na terenie Stanów Zjednoczonych odkryto kamienne tablice z wyrytymi na nich przykładaniami w języku hebrajskim; mówi się także o masonskich emblematkach. Jesteśmy tu chyba na kresach naszej skłonności do akcep-

tacji; bezkształtni w niepewności, lękliwi w posuwaniu się po tak grząskim gruncie. Wszelako jest coś szczególnego w tych obiektach. Przypominają mi one notatki, które John Franklin zostawiał za sobą w czasie swojej arktycznej wyprawy, a także wysiłki wypraw ratunkowych, by nawiązać kontakt z zagubioną ekspedycją. Franklin przechowywał swoje zapiski w specjalnych skrytkach w postaci dobrze widocznych kopczyków, zaś wyprawy ratunkowe wysyłały balony, z których rozrzucono na dużej przestrzeni wiadomości dla zagubionych. Analogii tego rodzaju nie należy nigdy brać zbyt dosłownie, czasem jednak pomagają one w interpretowaniu pewnych danych. Nasze dane dotyczą przedmiotów, które zostały ukryte i przedmiotów, które wyglądają na wyrzucone z góry. Czy nie są to ślady po jakiejś zaginionej ekspedycji?

W 1838 r. pan A. B. Tomlinson, właściciel gruntu w Grave Creek, w Zachodniej Wirginii, na którym znajdował się wielki kurhan, rozpoczął na własną rękę amatorskie wykopaliska, w wyniku których – jak twierdził – znalazł mały, owalny, płaski kamień, czy też raczej dysk, z wrytymi na nim znakami, przypominającymi litery jakiegoś nieznanego alfabetu. Pułkownik Whittelsey, który jest ekspertem w tych sprawach mówi, że kamień jest obecnie uważany przez archeologów za oszustwo i że jego zdaniem Tomlinson to miejscowy kpiarz i naciągacz.

Avebury pisze w książce *Prehistoric Times (Czasy prehistoryczne)*: „Wspominam o tym ponieważ jest to od pewnego czasu obiekt ożywionej dyskusji, choć powszechnie przyjmuje się, że chodzi tu o fałszerstwo. Napis jest ryty w alfabecie hebrajskim, lecz fałszerz zamiast starożytnej formy liter skopiował ich formę współczesną”.

Plk. Whittelsey w piśmie „Western Reserve Historical Tracts” („Rozprawy Historyczne Zachodniego Rezerwatu”, nr 33) pisze, że kamień z Grave Creek uważany był także za fałszerstwo przez Wilsona, Squiresa i Davisa. Następnie przechodzi do Kongresu Archeologicznego w Nancy, we Francji, który odbył się w 1875 r., przyznając z wyraźną niechęcią, że w czasie tych obrad kamień został zaaprobowany jako autentyczny. Według jego pokrętnych wyjaśnień znalazca kamienia tak sugestywnie „narzucił Kongresowi swój punkt widzenia”, że ten uznał autentyczność znaleziska. Zwróćmy tu przy okazji uwagę na sam mechanizm tworzenia i uzupełniania Systemu, na działanie autorytetu zbiorowych ciał, które ostatecznie decydują, które ewangelie są prawdziwe, a które apokryficzne.

Wracając do kamiennego dysku, to był on również badany przez znany autorytet w dziedzinie starożytności, pana Schoolcrafta, który również przychylił się do jego autentyczności. Następnie przyszedł mu w sukurs szereg filologów. W 44 numerze „Rozpraw Historycznych” plk. Whittelsey powraca do tematu, cytując konkuzję majora De Helwarda z Kongresu Archeologicznego w Luksemburgu, który miał miejsce w 1877 r.: „Jeśli prof. Read i ja mamy rację, że litery tego napisu nie należą do pisma runicznego, fenickiego, kanaanejskiego, hebrajskiego, libijskiego, celtyckiego, ani do żadnego innego języka posiadającego swój alfabet, to jego znaczenie zostało bardzo wyolbrzymione”.

A przecież to oczywiste nawet dla dziecka, oczywiste dla każdego, czyja mentalność nie została beznadziejnie zniewolona przez System, że właśnie w tym tkwi ogromne znaczenie obiektu. Warto też wyciągnąć z powyższej historii naukę, jak niebezpieczne jest czerpanie wiedzy o czymkolwiek wyłącznie z jednego źródła. Gdy jeden autorytet twierdzi, że napis „jest ryty w alfabecie hebrajskim”, a w dodatku rozróżnia, że jest to współczesny alfabet hebrajski, inni uważają, że nie należy on do żadnych znanych alfabetów na Ziemi. A przecież mogłoby się wydawać, że dla autorytatywnych uczonych identyfikacja hebrajskiego pisma nie powinna być problemem.

Były i inne doniesienia o kamieniach z wrytymi napisami, zaś pół wieku później nowe kurhany, czy – jak my to nazywamy – skrytki, zostały odkryte przez pana Gassa w okolicach Devenport („American Antiquarian”, 15-73). Znaleziono w nich również szereg kamiennych tablic, zaś na jednej z nich znajdował się wyraźny napis RFTOWNS. W tym przypadku nie słyszemy nic o oszustwie, natomiast próba asymilacji tych faktów było przypisywanie im mormońskiego pochodzenia. Dlaczego? Ponieważ w Mendon, w stanie Illinois, mosiężną płytę, na której znajdowały się podobne znaki znaleziono „niedaleko domu zajmowanego niegdyś przez pewnego mormona”.

Prawdziwy meteorolog, podejrzewając, że jakieś popioły pochodzą z pieca lokomotywy, zasięgnąłby opinii palacza. Jeśli zaś chodzi o tabliczki z Devenport, to nie udało mi się znaleźć żadnej informacji, że choćby jednemu antykwariuszowi przyszło do głowy zasięgnąć opinii mormonów.

Jak wspominałem, znaleziono wiele tabliczek. Na jednej z nich wryte są dwie litery „F” i dwie ósemki. Jest też duża tablica, o wymiarach 30 na 25 cm, a na niej cyfry rzymskie i arabskie. Według opisów cyfra „8” występuje w tej inskrypcji trzy

razy, zaś cyfra „0” siedem razy. Razem z tymi znajomymi znakami występują inne, które przypominają litery starożytnych alfabetów, fenickiego lub hebrajskiego.

Może się jeszcze okazać, że odkrycie Australii na przykład miało mniejszą wagę niż odkrycie i znaczenie tych tablic. Ale gdzie można coś o nich przeczytać, w jakiej późniejszej publikacji; który ze zbieraczy starożytności próbował kiedykolwiek zrozumieć sens ich obecności i znamiona wielkiej starości w kraju, o którym mówi się, że był zamieszkiwany przez niepiśmiennych dzikusów? Wydobyto te przedmioty spod ziemi, lecz tylko po to, by je pogrzebać jeszcze głębiej i na zawsze.

Jedną z tych tabliczek została odkryta w Davenport przez pana Charlesa Harrisona, prezydenta American Antiquarian Society. Na niej również znajdowała się ósemka i inne hieroglify. I w tym przypadku nie wspomina się o żadnym fałszerstwie, natomiast próbuje się znowu wciągnąć w sprawę mormonów – choć bez przekonania, „gdyż ogólne okoliczności utrudniają wytłumaczenie obecności tych tablic”.

W ogóle nasz opór zwraca się głównie przeciwko przypisywaniu tych przedmiotów mormonom, bez najmniejszego wysiłku, by znaleźć jakieś podstawy tego rodzaju atrybucji. Myślimy natomiast o przekazach i sygnałach, które spływały na Ziemię; o przekazach, które ukrywano w ziemnych kopcach. Podobieństwo do sytuacji ekspedycji Franklina jest uderzające. Można sobie doskonale wyobrazić, że za kilkadziesiąt lat przedmioty rozrzucone z balonów ekspedycji ratunkowych będą ciągle znajdowane w rejonach arktycznych, jak również że ciągle jeszcze istnieją nieodkryte schowki, pozostawione przez wyprawę Franklina. Przypisywanie tych rzeczy Eskimosom byłoby równie niewłaściwe, jak przypisywanie kamiennych tablic z napisami aborygenom z Ameryki. Być może ktoś kiedyś podejmie myśl, że niektóre z dziwnie ukształtowanych kurhanów zbudowali odkrywcy z innych światów, niezgodni z jakichś względów do powrotu na swoje macierzyste planety, w nadziei, że przyciągną one uwagę ewentualnych ekspedycji ratunkowych. Prymitywizm użytych środków można by zrozumieć w kontekście utracenia własnych urządzeń i aparatury w wyniku jakiejś katastrofy. Na razie myślę jednak o przedmiotach noszących różne napisy i o dwojakim znaczeniu, które można im przypisać.

Oto dziwna zatracona duszyczka, uratowana z kostnicy „American Journal of Science” (1-19-361). Jest to sprawozdanie pewnego korespondenta wysłane do prof. Sillimana, a dotyczą-

ce czegoś, co znaleziono w bloku marmuru w kamieniołomach w pobliżu Filadelfii. Było to w listopadzie 1829 r. Blok skalny cięto na płyty i w trakcie tej czynności odsłonięto wewnątrz wgłębienie o powierzchni ok. 3,7 na 1,6 cm i regularnym kształcie. Zaś w jego dnie znajdowały się dwie wyraźne, wypukłe litery, coś w rodzaju IU, z tą różnicą, że „U” nie miało zaokrąglonej podstawy, lecz kąty proste. Według opisu blok pochodził z głębokości 21-24 m, a zatem – zakładając prawdziwość tych danych – litery mają niezwykle starożytne pochodzenie.

Dla osób, które nie są jeszcze znudzone powszechnością nieprawdopodobnych zjawisk, myśl, że jakieś wgłębienie w piasku mogłoby zostać przywalone tonami innego piasku, a następnie stwardnieć na kamień, może wyglądać groteskowo, lecz słynne odciski stóp w Nikaragui znaleziono w kamieniołomach pod jedenstoma warstwami zwartej skały. A liście – z pozoru tak nie trwałe, a potrafią zostawiać odciski w skałach. Inna rzecz jest fascynująca, że znaleziska takie mają przypadkowość porównywalną z przysłowiową igłą w dziesiątkach stogów siana, możemy sobie zatem wyobrazić, co jeszcze kryje się w rozmaitych skałach, tym zaklętym archiwum przeszłości Ziemi, a czego nigdy nie odkrywamy, gdyż nie wiemy, gdzie i jak szukać. Co do liter w marmurze, to nie było na ich temat żadnej dyskusji w naukowej prasie, wyciągnąłem je więc tutaj tylko po to, żeby się trochę przewietrzyły.

Są też pokryte znakami kamienie, które mogły być w odległej przeszłości zrucane nad Europą. Wiele z nich znaleziono w jaskiniach – przynoszonych tam przez prehistorycznych ludzi jako ciekawostki albo dla ozdoby. Oczywiście taką hipotezę może przyjąć tylko ten, kto nie może się pogodzić z założeniem, że były one produkowane przez rdzennych mieszkańców tego kontynentu.

Występują na nich malowane znaki. Pierwsze okazy zostały odkryte przez pana Piette w jaskini Mas d'Azile, w okolicach Ariège. Według pana Sollasa, który je badał szczegółowo, ich powierzchnię pokrywały czerwone i białe linie, „lecz na niemałej ilości z nich zdarzają się znaki bardziej złożone, które w kilku przypadkach przypominają litery rzymskiego alfabetu”. W jednym z tych przypadków litery „FEI”, bez żadnego uzupełniającego towarzystwa, są tak wyraźne jak tylko być mogą. Według książki Sollasa *Ancient Hunters (Starożytni myśliwi)* obserwacje pana Piette'a potwierdził pan Cartailhac, a pan Boule znalazł następne okazy, które „przedstawiają najbardziej zawiły problem prahistorii”.

Co do skrytek w ogólności: powiedziałbym, że robi się je

z podwójną intencją, żeby coś ukryć, a jednocześnie uwidocznić, czyli że skrytki z dokumentami znajdują się w jakichś zwracających uwagę strukturach; tak przynajmniej są uformowane kopce w Arktyce.

Kontynuując ten wątek wylamy się jednak w naszą własną rozmaitość, w naszą niechęć, czy też może niezdolność do koncentracji na jednym pomysle, przychodzi nam bowiem na myśl, że jakkolwiek mogła się na tej Ziemi znajdować jakaś zapomniana kolonia, mogła się tu w rozpaczy poniewierać jakaś zagubiona ekspedycja, to byli tu także pozaziemscy przybysze, którzy rozejrzeli się gdzieśgdzie, zbadali to i owo, a następnie opuścili Ziemię – zupełnie analogicznie do ekspedycji Franklina i przelotnych wypraw Peary'ego (Robert Edwin Peary kierował szeregiem wypraw na Grenlandię – przyp. tłum.). Bierzymy też pod uwagę katastrofę, która mogła przydarzyć się jednej z grup przy opuszczaniu Ziemi. I ich zbiory, które znalazły się za burzą.

Zagadka chińskich pieczęci w Irlandii. W „Proceedings of the Royal Irish Academy” (1-381) znajduje się rozprawa J. Hubanda Smitha, przedstawiona na jednym z posiedzeń Akademii, a dotycząca sześciu chińskich pieczęci, które znaleziono na terenie Irlandii. Wszystkie mają podobny wygląd – są to sześciany z jakimś nieokreślonym zwierzęciem w pozycji siedzącej. „Znawcy twierdzą, że inskrypcje, które się na nich znajdują, należą do bardzo starożytnej formy chińskiego pisma”. Choć mamy już pewną nieufność do znawców, możemy jednak ostrożnie przyjąć, że pieczęcie są dość stare.

Trzy przesłanki skazały ten fascynujący fakt na los trędowatego i wyrzutka, mimo że nikt nie starał się podważyć autentyczności pieczęci. Po pierwsze więc, istnieje raczej zgodna opinia wśród archeologów, że pomiędzy Chinami i Irlandią nie było w odległej przeszłości żadnych kontaktów. Po drugie, żadnych innych przedmiotów pochodzących ze starożytnych Chin w Irlandii nigdy nie znaleziono. Po trzecie zaś, wszystkie pieczęcie znajdowano w różnych, odległych jedno od drugiego miejscach. Połączone siły trzech powyższych przesłanek uczyniły z tego zjawiska obiektywny nonsens, czyli coś w rodzaju skrzydlatej żyrafy.

Tymczasem po badaniach przeprowadzonych przez Smitha, o ile przeprowadził on jakieś badania i zrobił coś więcej poza napisaniem zwykłej relacji, znaleziono w Irlandii znacznie więcej chińskich pieczęci. W 1852 r. było ich około sześćdziesięciu. Ze wszystkich znalezisk w Irlandii „żadne nie jest otoczone

głębszą tajemnicą” („Chambers Journal”, 16-364). Według autora piszącego o tej sprawie w „Chambers Journal” jedną z tych pieczęci znaleziono w londyńskim antykwariacie. Pytany o źródło jej nabycia właściciel wyjaśnił, że pochodziła z Irlandii.

W powyższej historii czytelnik, który nie przyjmuje instynktownie naszej teorii nie ma żadnego ortodoksyjnego wytłumaczenia, odpowiadającego jego upodobaniom. Zadziwiające rozróżnienie tych pieczęci po polach i lasach zamknięto usta wszystkim możliwym wyjaśniaczom. Rzecz o najwyższym stopniu nieprzyzwoitości nie nadaje się do asymilacji w przyzwoitym towarzystwie. Piszący w „Proceedings” (10-171) dr Frazer przyznaje otwarcie: „Wygląda jakby zostały rozrzucone po całym kraju w bardzo dziwny sposób, tak że nie mogę przedstawić żadnego rozwiązania tej zagadki”. Dalej zaś przebija się w jego wypowiedzi pogląd, który nie należy już do jego epoki: „Nieodmiennie historie ich znajdowania są takie, jak gdyby przedmioty te zostały przypadkowo zgubione”.

Trzy z nich znaleziono w hrabstwie Tipperary, sześć w Cork, trzy w Down, cztery w Waterford, całą zaś resztę – po jednym lub dwa na każde z pozostałych hrabstw Irlandii.

Co się kryje za tą zagadkową historią – nie wiemy, lecz jedna z chińskich pieczęci została odkryta w korycie rzeki Boyne, niedaleko Clonard, podczas wybierania żwiru. Ta jedna przynajmniej spadła tam na pewno.

Olbrzymy i skrzaty. Gniew Azurii

Największa z tajemnic: dlaczego oni nie zjawiają się tu nigdy otwarcie? Oczywiście nie będzie żadnej tajemnicy, jeśli przestaniemy poważnie myśleć, że możemy być dla kogoś niezwykle ciekawi. Bo chociaż mogą się trzymać na dystans z moralnych powodów, nawet jeśli tak, to są przecież między nimi istoty o niższych Standardach moralnych – a mimo to nie szukają otwartych kontaktów z nami. Są też być może jakieś fizyczne przyczyny. Jest to szczególny wątek i kiedy już będziemy mogli go podjąć, jedną z naszych głównych tez będzie, że zbliżenie się innego świata do naszej planety mogłoby mieć katastrofalne następstwa; że żeglujące światy unikają zbliżenia; że te, które przetrwały, zamknęły się w bezpiecznym oddaleniu, czy też na orbitach zbliżonych do regularności, choć nie do tego stopnia regularnych, jak się popularnie w astronomii przypuszcza.

Lecz poczucie, że jesteśmy warci poznania, uporczywie walczy w nas o swoją szansę. Więc zgoda – jesteśmy. Robaki, zarodki i tym podobne rzeczy: one nas przecież interesują – niektóre nawet za bardzo.

Niebezpieczeństwo zbliżenia się na niewielką odległość – niemniej jednak nasze statki, jeśli nie ośmielają się przybić do nieznanego skalistego wybrzeża, to przynajmniej wysyłają na brzeg szalupy.

Czemu nie ma normalnych stosunków dyplomatycznych między Stanami Zjednoczonymi i Cyklorea, która to nazwa w naszej zaawansowanej astronomii oznacza duży świat o kształcie koła? Dlaczego nie wysyłają tutaj otwarcie swych misji, które mogłyby nas nawrócić z różnych barbarzyńskich zwyczajów i zakazów, przygotowując grunt dla handlu jakimiś ultra-Bibliami i super-whisky, otwierając sobie możliwość robienia fortun na sprzedaż przechodzonych superfatalaszków, na które my, dumni Ziemiańskie, rzucalibyśmy się jak jakiś afrykański kacyk na stary jedwabny kapelusz z Nowego Jorku lub Londynu?

Odpowiedź, która przychodzi mi na myśl, jest tak prosta, że wydaje mi się możliwa do przyjęcia bez żadnych wstępów, jeśli zgodzimy się, że rozwiązaniem wszystkich problemów są rzeczy proste i oczywiste, zaś większość naszych dylematów polega na pracowitym i bolesnym wymyślaniu czegoś, na co nie da się odpowiedzieć, a następnie na szukanie odpowiedzi – używając konwencjonalnie takich słów jak „oczywisty”, „rozwiązanie” i tym podobnych.

Innymi słowy: czy – gdybyśmy nawet byli w stanie – podjęlibyśmy edukację i ogładę świń, gęsi i bydła? Czy byłoby mądre ustanawiać stosunki dyplomatyczne z kurami?

Myślę, że jesteśmy czyjąś własnością.

Mówiąc inaczej, wydaje mi się, że należymy do kogoś; że kiedyś, w bardzo odległych czasach, ten glob był ziemią niczyją, inne światy badały go, kolonizowały, używając okazynie jego zasobów, wreszcie walczyły o jego posiadanie między sobą – teraz jednak jesteśmy czyjąś stałą własnością. Coś posiada tę planetę na własność – wszyscy inni zaś mają trzymać się z daleka.

Żadni przybysze nie pojawili się w naszych czasach na tej planecie tak otwarcie, jak Kolumb lądujący na San Salvador albo Hudson płynący w górę swej rzeki. Jeżeli jednak chodzi o ukradkowe wizyty, składane ciągle na Ziemi przez jakichś emisariuszy z innych światów, albo też przez podróżników, których zachowanie wskazuje na świadome unikanie wszelkich kontaktów z nami, to mamy dane tak przekonujące, jak fakty dotyczące kosmicznych superkonstrukcji, które używają różnych paliw i które spalają w jakichś celach ropę oraz węgiel. Jest to jednak temat tak obszerny, że będę musiał w poważnym stopniu zaniedbać i zignorować sam siebie, nie widzę bowiem sposobu by w książce tej poruszyć problem użycia ludzkości do innej formy egzystencji, czy też rozwinąć szerzej pewne pochlebne wyobrażenia, że jednak ewentualnie możemy się na coś komuś przydać.

Świnie, gęsi i bydło.

Najpierw jednak sprawdźmy, czy rzeczywiście nas ktoś posiada, później zaś rozważmy raczej tej okoliczności. Podejrzewam, że mimo wszystko jesteśmy użyteczni, że pomiędzy walczącymi rywalami doszło do jakiegoś porozumienia i że obecnie coś ma do nas legalne prawo, uzyskane przemocą albo poprzez zapłatę analogiczną do czegoś w rodzaju szklanych paciorków, które otrzymali za nas nasi pierwsi, prymitywni właściciele. In-

ni muszą teraz trzymać się z daleka – a wszystko to jest doskonale wiadome od wieków dla pewnej części mieszkańców Ziemi, stowarzyszonych być może w jakieś kultury lub zakony, których członkowie spełniają funkcje przewodników stada dla reszty z nas albo też odgrywają rolę trochę lepszych niewolników i nadzorców, kierując nami zgodnie z instrukcjami otrzymanymi przy pomocy wiadomych sobie kanałów, wiedząc albo nie wiedząc, na czym polega nasza zagadkowa użyteczność.

Przyjmuję jednak, że w przeszłości, zanim prawo własności zostało ostatecznie ustanowione, mieszkańcy mnóstwa innych światów wpadali tu jak do swego, fruwali, żeglowali, jeździli, spacerowali, przybywając pojedynczo i w dużych gromadach, wpadając przypadkowo lub przybywając regularnie na polowanie, dla handlu albo też dla uzupełnienia swoich haremów. Przybywali tu także po surowce i po nieznanne u siebie rośliny oraz mikroorganizmy. Niektórzy nie byli w stanie tu przebywać, inni zakładali kolonie, gubili się, ginęli; istoty bardzo zaawansowane albo nawet nie istoty, lecz rzeczy, jakiś rodzaj aktywnych przedmiotów, może nawet bezkształtnych substancji, chmur pełnących ponad powierzchnią Ziemi i zlewających się z oparami tej planety: czymkolwiek oni byli – istnieli naprawdę. Biali, czarni i żółci. Mam też bardzo przekonujący dowód na to, że starożytni mieszkańcy Wysp Brytyjskich mieli skórę barwy niebieskiej.

Oczywiście nasi współcześni, konwencjonalni antropolodzy powiedzą, że owi tubylcy zwykli się tylko na niebiesko malować, lecz w naszej zaawansowanej antropologii ich niebieskość nie ulega wątpliwości. Oto bowiem „Annals of Philosophy” (14-51) donoszą o urodzinach w Anglii niebieskiego dziecka. Zapewne atawizm.

Olbrzymy i skrzaty. Wierzymy w nie – to oczywiste. Jeżeli bowiem karmimy naszą osobistą zarozumiałość dumnymi myślami o wyprzedzaniu własnej epoki, to nie wiem, jak moglibyśmy podnosić się na duchu bez głębokiego zanurzenia się w przeszłość. Dzisiejsza nauka będzie przesądem jutra. Nauka jutra jest przesądem dzisiaj. Olbrzymy i skrzaty: uśmiechamy się i jakieś mgliste, miłe wspomnienia ilustrowanych kolorowo bajek budzą się na krótką chwilę w zakamarkach naszej pamięci.

Notatka o kamiennym ostrzu topora w „Proceedings of the Society of Antiquities of Scotland” (1-9-184): długość – 43 cm; szerokość ostrza 13 cm.

Notatka o miedzianym ostrzu topora z pewnego kurhanu w Ohio („American Antiquarian”, 18-60): długość – 55 cm; waga – 19 kg.

A oto inny drobiazg. „Czytamy w American Anthropologist” (8-229), że w kolekcji Towarzystwa Historycznego Stanu Missouri wystawia się kamienne ostrze topora znalezione w Birchwood, w stanie Wisconsin. Długość – 70 cm; szerokość – 35 cm; waga – prawie 150 kg. Topór w momencie znalezienia tkwił zaostrzonym końcem głęboko w glebie, co może według mnie wskazywać na to że spadł z góry.

Albo odciski stóp w piaskowcu, odkryte w okolicach Carson, w Nowadzie; każdy z nich mierzy 45-50 cm długości („American Journal of Science”, 3-26-139).

Odciski te są bardzo wyraźne, ich reprodukcje można oglądać w „Journal”, że jednak pasują do Systemu jak kwiatek do kożucha, więc prof. Marsh, lojalny i bezwzględny systematyk, dowodzi: „Rozmiary tych odcisków, a w szczególności rozstaw między prawą i lewą serią śladów, wskazują niewątpliwie na to, że nie są to odciski istot ludzkich, jak to powszechnie zakładano”.

Tak to bywa z tymi ekskluzjonistami. Dusicielami Minerwy. Desperatami ignorancji. Według ich mistrzowskiego rozumowania nigdy nie było na ziemi olbrzymów, gdyż gigantyczne odciski ich stóp są znacznie większe niż ślady pozostawiane przez człowieka. A człowiek jak wiadomo olbrzymem nie jest.

Możemy myśleć o olbrzymach jako o przypadkowych przybyszach na Ziemi. Albo o karnej kolonii istot pozbawionych narzędzi i wyższej techniki swego świata, blakających się pomiędzy plemionami karłów, wznoszącymi wraz z nimi różne budowle. Stonehenge – na przykład. Może się zdarzyć, że w przyszłości będziemy mogli przyjąć, iż ciągle istnieje bardzo wiele śladów po ich pobycie na Ziemi i że posiadamy nawet ich kamienne wizerunki. Wszelako brak ich kości.

Tu muszę wyznać, że niezależnie w jak radosnej i naiwnej byłbym dyspozycji, ilekroć wkraczam do przestronnych sal American Museum of Natural History i zbliżam się do kopalnych szczątków, fala goryczy zalewa mi serce. Wiele tu starych, olbrzymich kości – a wszystkie zrekonstruowane w straszliwe, lecz „porządne” dinozaury. Patrę i myślę, że nasza wizja tej odległej przeszłości jest również martwą skamieliną, niczym innym, lecz „porządnym” zrekonstruowanym dinozaurem.

A teraz małe, baśniowe skrzaty i ich krzyże.

Oto „Harper's Weekly” (50-715) donosi, że niedaleko miejsca, gdzie grzbiety Alleghenów łączą się z Górami Błękitnymi, na północ od hrabstwa Patrick w Wirginii, znaleziono mnóstwo maleńkich kamiennych krzyżyków.

Rasa karłowatych stworzonek; krzyżujących pewnie karaluchy.

„Krzyżki skrzatów” – jak nas informuje „Harper's Weekly” – ważą w granicach 10-30 gramów, zaś „Scientific American” (79-395) uzupełnia naszą wiedzę uwagą, że niektóre z nich nie są większe niż główka szpilki. Krzyżki takie znaleziono również w dwóch innych stanach, w Wirginii są one jednak dokładnie zlokalizowane na zboczach Bull Mountain.

Przypominają mi się tutaj chińskie pieczęcie z Irlandii. Przypuszczam, że krzyżki mogły spaść z góry. Niektóre z nich to krzyże rzymskie, inne to krzyże św. Andrzeja lub maltańskie. Tym razem oszczędzono nam kontaktów z antropologami, mamy natomiast na karku geologów. Do nich bowiem zwrócono się o wyjaśnienie „krzyżyków skrzatów”, zaś ich odzew charakteryzuje zwykły naukowy tropizm – „geolodzy mówią, że są to kryształki”.

Lecz zaraz, przecież niektóre z nich to krzyże rzymskie, a inne to krzyże maltańskie. Oczywiście, że można sobie wyobrazić minerał, który mógłby występować w różnych formach krystalicznych, ograniczonych jednak z jakichś powodów do krzyża, podobnie jak płatki śniegu na przykład, które prezentują różnorodność w ramach sześciokąta, jednakże ci geolodzy z nieczystym sumieniem, zimmokrwieści jak astronomowie, chemicy i wszystkie ryby z morskich głębin, zignorowali jedną drobną okoliczność – którą widocznie lepiej było zignorować – że „krzyżki skrzatów” zrobione są z różnych materiałów.

Jest to ten sam stary sposób ignorancji, ten sam stary psychotropizm, czyli proces asymilacji. Kryształki mają geometryczne formy. Kryształki są bezpieczną częścią Systemu. No więc „krzyżki skrzatów” są kryształkami. Lecz że różne minerały, występujące w różnych regionach Ameryki, miałyby się krystalizować tylko w kilka odmian krzyża – ten rodzaj asymilacji wydaje nam się nieco mniej rzeczywisty niż nasze własne pomysły.

Przejdźmy teraz do bardzo przekłębnych malutkich rzeczy, które należą do rządu „zagubionych”, lecz dla których „zbawienia” naukowci misjonarze zrobili co mogli najgorszego.

„Pigmejskie krzemienie”.

Nie można zaprzeczać ich istnieniu. Są skazane na zgliszcze, lecz bardzo dobrze znane w naukowym towarzystwie.

„Pigmejskie krzemienie” to maleńkie prehistoryczne narzędzia. Niektóre z nich zaledwie wielkości 6 mm. Anglia, Indie, Francja, Afryka Południowa – znaleziono je w wielu różnych częściach świata, niezależnie od tego, czy zrzucano je z góry, czy nie. Należą do śmietanki wykletego towarzystwa: nikt nie przeczy ich istnieniu, nikt nie ognoruje ich obecności, mają nawet swoją obfitą literaturę. Jedną z prób zracjonalizowania i asymilacji tych przedmiotów był pomysł, by traktować je jako zabawki dla dzieci.

Brzmi to rozsądnie, choć oczywiście przez rozsądne, rozumiejąc to, dla którego nie można znaleźć nic równie rozsądnego – tyle, że o przeciwnym znaczeniu. Przeciwno mniemaniu, że są to zabawki można postawić mniemanie, które – jak mi się wydaje – ma więcej pokrewieństwa z rozsądkiem, że tam gdzie znajduje się „pigmejskie krzemienie”, tam wszystkie krzemienie są maleńkie, jak to przynajmniej było w Indiach, gdzie w przypadku znajdowania większych narzędzi były one oddzielone od siebie warstwami o innej chronologii.

Fakt, który akurat teraz skłania mnie do przyjęcia, że krzemienie te były wykonywane przez istoty wielkości kiszzonego ogórka, został wydobyty na jaw przez prof. Wilsona w „Report of the National Museum” (1892-455). Píše on mianowicie, że nie tylko krzemienie są malutkie, lecz że odłupki na ich brzegach są również „filigranowe”.

W niektórych dziewiętnastowiecznych umysłach coś jednak świta, jakaś idea, która jednakże nie należy do tej epoki. Oto w „Science Gossip” (1896-36) pan R. A. Galty pisze: „Tak subtelne jest lupanie tych kamieni, że aby je dobrze zobaczyć trzeba używać szkieł powiększających”.

Myślę, że byłoby absolutnie przekonujące, gdyby wykazał cokolwiek, zupełnie cokolwiek, że – powiedzmy – przedmioty te pochodzą od maleńkich istot wielkości ogórka, albo że wykonał je zwyczajnej postury dzicy, używając wszelako szkieł powiększających.

Myśl, którą mamy teraz zamiar popełnić lub rozwinąć, należy do bardzo grzesznych albo też do bardzo zaawansowanych. Przyznaję – i przyznaję z dumą – że to zgubiona dusza, choć to

do niej nie pasuje. Podchodzę tu ogródkami do świata skrzatów, czyli do Elwery.

Przy okazji zaś, gdyż zapomniałem uczynić tego wcześniej, podaję nazwę świata gigantów: Monstrator. Wrzeczonołaty świat, mający około 60 000 km długości wzdłuż głównej osi – będziemy jeszcze o nim pisać. Tymczasem zaś porywy natchnienia ciągną nas do Elwery i do jej mieszkańców, składających niegdyś przejściowe wizyty na Ziemi. Zjawiali się tu w hordach gęstych jak chmury nietoperzy; przybywali na myśliwskie safari, których celem były myszy. Albo może pszczoły. W wyprawach na pszczoły hartował się duch młodzieży. Najodważniejsi wypuszczali się w pojedynek na szerszenie. A zresztą – najprawdopodobniejsza ze wszystkiego jest myśl, że przybywali tu nawracać pogan. Oburzeni na widok każdego, kto mógł połknąć na raz coś więcej niż ziarno fasoli; przerażeni losem dusz tych stworzeń, które mogły wychylić na raz więcej niż kroplę rosy – hordy maleńkich misjonarzy zdecydowanych, że przeważyć powinno to, co właściwe, określając „właściwe” własną znikomością. Ich narzędzia przetrwały, lecz śladów ich delikatnych ciał można szukać z równym powodzeniem jak śladów prachistorycznego szronu. Niewielki wir powietrzny i oto jakiś Elwerianin unosi się o setki metrów, zaś jego ciała próżno szukają zasmuceni towarzysze. Może wpadł do lisiej jamy albo też zjadła go wrona. Zbierają się druhowie, rozpaczają lub pogrążają się w milczącej żałobie. Wiedzą jednak, że rozpacz można pokonać tylko rytuałem – będzie więc pogrzeb. Nie można opuścić miejsca tragedii bez pogrzebu. W miejsce zaginionego robia kukłę – takie pogrzeby są znane i Ziemianom – i tej kukle oddają ostatnie honory.

Być może Elwerianie wracali w ten sam rejon częściej, co kilka lat, może takich tragicznych wypadków było więcej – i oto powstało maleńkie mauzoleum, gdzie w miniaturowych trumnach leżały kukły zaginionych skrzatów. Ile takich mauzoleów jest na świecie – nie wiemy. Lecz przynajmniej jedno jest w Szkocji.

Czytamy więc w londyńskim „Timesie” z 20 lipca 1836 r., że na początku tego miesiąca kilku chłopców przetrządało w poszukiwaniu króliczych nor skalistą formację w okolicach Edynburga, znaną jako Siodło Artura. W pewnym momencie, posuwając się wzdłuż skalnej ściany, chłopcy natknęli się na warstwę kamiennych płytek, które zdawały się coś zasłaniać. Po ich odrzuceniu oczom obecnych ukazała się niewielka jaskinia.

W jaskini zaś – siedemnaście filigranowych trumien, długich na 7,5 do 10 cm.

W trumnach leżały miniaturowe drewniane figurki. Wszystkie były ubrane, lecz dość rozmaicie, zarówno pod względem stylu jak i materiału. Trumienki były ułożone w dwa rzędy po osiem sztuk, zaś jedna z nich zdawała się zaczynać trzeci rząd. Najbardziej zaś nadzwyczajne w tej historii było to, że trumienki składano tu pojedynczo i w odstępach wielu lat. Te, które leżały w pierwszym rzędzie były prawie zupełnie zmuszające, a całuny zamieniły się w proch. W drugim rzędzie efekt działania czasu nie był jeszcze tak bardzo wyraźny, natomiast pojedyncza trumna trzeciego rzędu wyglądała tak, jakby złożono ją tam zupełnie niedawno.

W „Proceedings of the Society of Antiquarians of Scotland” (3-12-460) znajduje się pełny opis znaleziska, a także rysunki trzech trumien i trzech figur.

Tak więc Elwera z jej niskimi lasami i mikroskopijnymi małżami – a jeśli Elwerianie nie byli zbyt zaawansowani technicznie, na co wskazują ich narzędzia, to kąpiąc się używali gąbek wielkości główki od szpilki. Czasem zaś zdarzały się katastrofy i fragmenty Elwery spadały na Ziemię.

W magazynie „Popular Science” (20-83) znajduje się artykuł Francisca Bingham’a, który pisze o koralach, gąbkach, muszlach i krynoidach, znalezionych – według zapewnień dr. Hahna – w meteorytach.

Komentując ich fotografie, Bingham stwierdza, że ich „dostrzegalną i bardzo dziwną cechą” są „nadzwyczajnie nikłe rozmiary”. Korale na przykład osiągają zaledwie jedną dwudziestą wielkości ziemskich koralu. Reprezentują one prawdziwie karłowaty świat zwierzęcy – pisze Bingham.

Mieszkańcy Monstratora i Elwery byli w czasach ich okazjonalnych odwiedzin na Ziemi raczej prymitywni – choć oczywiście w tej niby-egzystencji wszystko, co my, pół-zjawy, nazywamy dowodem na coś, może być równie dobrze dowodem czegoś innego. Logicy zaś, detektywi, sędziowie przysięgli, zazdrosne żony i członkowie Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego rozpoznają tę nieoznaczoność bardzo dobrze, mają jednak – bo chcą mieć – złudzenie, że przez zawarcie zgody co do czegoś, przez uklepanie i podpisanie, tworzy się jakiś ostateczny i rzeczywisty dowód, który pozwala spać spokojnie i nie myśleć więcej o danej sprawie. Metoda ta jest zatem nawet całkiem dobra dla „egzystencji”, która jest tylko współrealna, jest to jednak

także metoda rozumowania, które prowadziło do palenia czarownic i do lęku przed ludźmi. Nie chciałbym tutaj być aż tak nienowoczesny, by negować istnienie duchów lub czarownic, lecz historie o nich były podtrzymywane przez zadziwiające fabrykowanie szczegółów i różnych, „zgodnych ze sobą” relacji.

Jeśli więc olbrzym pozostawiał ślady bosych stóp, to nie znaczy jeszcze, że był prymitywny i jeśli Stonehenge jest wielką, lecz tylko z grubsza geometryczną konstrukcją, to pobłażliwość budowniczych w stosunku do detali może znaczyć wszystko, co nam się podoba: ambitnych karłów lub gigantów, a jeśli gigantów to tylko nieco więcej rozwiniętych niż jaskiniowi troglodyci; ale też możemy ich sobie wyobrazić jako postimpresjonistycznych, eksperymentujących architektów z wysoko zaawansowanej cywilizacji. Może się jeszcze okazać, że nawet dziś nie jesteśmy w stanie zrozumieć nowoczesności takich megalitów jak Stonehenge czy też Avebury, będących tworamami istot przesyconych i zmęczonych swoją ultranowoczesną cywilizacją i przybывających na Ziemię, by tworzyć architekturę skupienia, prostoty i wszechzwiązku z Kosmosem. Jest przecież taki moment, w którym supernowoczesne zlewa się z arcyprymitywnym i nasza sztuka na przykład zaczyna również dryfować w jego stronę.

Jeśli są inne światy, są również światy opiekuńcze, a zatem Kepler mógł mieć rację. Jego mniemanie, że do każdej planety był przypisany anioł, by ją pchać i kierować jej ruchem, nie jest może dziś dla nas bardzo przekonujące, lecz biorąc jego ogólniejszy sens, czyli ideę nadzoru, możemy się z nim zgodzić. Był sam w sobie zawiera ideę opiekuńczości.

Według naszej ogólnej filozofii w Międzybycie nie ma rzeczy jako takich, lecz raczej różne próby i wysiłki, by stać się samodzielnymi rzeczami, przez oderwanie się od wszechciągłości, a jednocześnie przez łączenie się z innymi fenomenami tego samego rodzaju – próby oderwania się od samej esencji względnie istnienia i osiągnięcia absolutnej odrębności albo też odrębności w ramach jakiegoś wysiłku wyższego rzędu.

Są dwa aspekty tego procesu: przyciąganie, czyli skłonność wszystkiego do asymilacji innych rzeczy – jeśli ów ośrodek asymilacji sam się nie poddał jakiemuś wyższemu systemowi, harmonii, organizacji; oraz odpychanie, czyli tendencja wszystkiego do wykluczania, pomijania, eliminacji tych elementów, których nie można wchłonąć i przyswoić. Jest to proces uniwersalny, więc możemy go obserwować wszędzie i nawet spotykając się z ludźmi możemy zauważyć ich próby asymilowania nas do swojego kręgu

znajomych i przyjaciół, czyli homofery, jeśli zaś taka próba skończy się niepowodzeniem, to wówczas daje nam się odczuć wszystkie skutki odrzucenia, czyli niechęć lub nawet wrogość.

O tych ośrodkach skupiających i roztracających opiekę nad wchłanianymi elementami zwykło się mówić jako o odrębnych rzeczach. Mówi się więc o drzewie, o lesie, o beczce solonej wieprzowiny i o Górach Skalistych. Dla intermedialisty jednak wszystko to, co zdaje się mieć swoją własną osobowość, jest tylko wysiłkiem ku osobowości. Wszystkie więc gatunki łączą się z innymi gatunkami, zaś to, co nazywamy specyficznym, jest tylko szczególnym naciskiem na jakiś aspekt tego, co ogólne. Jeśli istnieją dla nas koty, to są one tylko naciskiem na jedną z wersji ogólnej kotowatości. Nie ma niczego, co by nie uczestniczyło w jakichś opiekuńczo-misyjnych procesach. Każda rozmowa, nawet najbardziej blaha, jest misyjnym konfliktem; każdy próbuje nawracać innych, czynić ich podobnymi do siebie i asymilować. Jeśli zaś nie czyni się w tym postępów, to wkrótce pojawia się naturalna, zdrowa antypatia.

Jeżeli zatem inne światy miały kiedykolwiek w przeszłości jakieś stosunki z tą planetą, to musiały podejmować próby rozprzestrzeniania swego wzoru z samej natury rzeczy – nawracając i asymilując rodzimych mieszkańców Ziemi.

Światy macierzyste i ich kolonie. Super-Romanium: miejsce skąd przybyli pierwsi Rzymianie. Pomysł równie dobry jak historia o Remusie i Romulusie. Super-Izraelimus. Albo też, wbrew współczesnemu rozumowaniu na ten temat, istniała niegdyś jakaś super-macierz dla całego Orientu.

Azuria, skąd przybyli błękitni Brytowie, a których potomkowie stopniowo potem blakli i rozpuszczali się wśród tuziemców. Światy, które niegdyś otaczały tę planetę swym wpływem i nadzorem, zanim nie stała się wyłączną własnością jednego z nich, próbującego nawracać i asymilować. Lecz nadszedł czas, gdy dotknął ich stan właściwy wszystkim misyjnym wysiłkom – frustracja, odpychanie, gniew. Gniew zawiedzionych misjonarzy. Nie ma innego gniewu. Wszelka odraza jest reakcją na brak asymilacji. Ludzie biją psy i dzieci za to, że nie chcą być podobne do nich.

A więc furia Azurii, gdy ludy sąsiadujące z ich koloniami w tej części świata, którą dziś nazywamy Anglią, oparły się asymilacji. Furia Azurii, gdy inne ludy tej części świata nie chciały zblekitnieć. Zeszlone fortece w krajach otaczających Anglię, lecz nie w samej Anglii.

Zeszlone fortece Szkocji, Irlandii, Bretanii – i Czech. Nie-

gdyś, przed wiekami, elektryczne pioruny Azurii zmiatały z powierzchni ziemi ludzi, którzy ośmielili się stawić jej opór. Gigantyczna błękitna bryła ukazała się na niebie. Chmury nabrały intensywniej zielonej barwy. Powietrze drgało i gęstniało. *Słońce zmieniło się w bezkształtną purpurową plamę.* Całą atmosferę wypełnił wibrujący ciężar furii emanującej z wiszącego na niebie ogromu. Bładoskórzy, żółtawi i brązowi mieszkańcy Szkocji, Irlandii, Bretanii i Czech skupili się na szczytach wzgórz, w swoich kamiennych fortecach. W rzeczywistości szczyty wzgórz, tak łatwo dostępne dla powietrznego wroga, powinny być ostatnim miejscem schronienia, lecz w ich niby-egzystencji przyzwyczajenie musiało odgrywać tak wielką rolę, że w panicznym odruchu, przytłoczeni trwogą, nie byli zdolni do myślenia, lecz jedynie do odruchowych bezsensownych czynów. Typowe to dla niby-egzystencji: uciekając zbliżać się do prześladowcy.

Widzimy ich więc skupionych w kamiennych fortach na szczytach wzgórz, gotowych niby do obrony, a przecież raczej przygotowanych przez to bezmyślne skupienie do zbiorowych egzekucji. A potem fale elektrycznej zagłady spłynęły na ich głowy. Nie został nikt, by zachować pamięć zniszczenia szkockiej Sodomy i czeskiej Gomory. Po dziś dzień zachowały się tylko stopione w szklistą masę kamienie tych fortec.

Archeolodzy – jak czytamy – miotają się w próbach znalezienia odpowiedzi na tę zagadkę od jednej koncepcji do drugiej, starając się *jakoś oswoić niezwykle zjawisko.* Powiadają na przykład, że zeszlone fortece zostały zbudowane przez prehistoryczne plemiona, które wznosiły najpierw kamienne ściany, a następnie układały ogromne stosy, często znosząc drewno z dużych odległości, by stopić zewnętrzne powłoki murów i scementować kamienie. Lecz jak zwykle duch negacji błąka się wszędzie tam, gdzie dążenie do jedności jest zanadto nachalne: tak więc wewnątrz swego własnego królestwa nauka nigdy nie będzie zgodna i jednorodna. Komentując powyższą koncepcję na łamach „Journal of the British Archeological Association” pani Russel zwraca uwagę, że jest to bardzo rzadki przypadek, żeby witrafikacji uległ jakiś kamień, nie mówiąc już o długich ścianach i dużych budynkach. W żadnym z kamiennych obiektów, które spłonęły doszczętnie w naszych czasach nie znaleziono znamion tego rodzaju procesów.

A ponadto kamienie tych fortów zdają się być zeszlone bez żadnego związku z próbami scementowania ich razem, gdyż

miejsca witrafikacji są dość przypadkowe, rozrzucone po całych tych konstrukcjach, jak gdyby właśnie były rażone tu i tam przez potężne wyładowania o temperaturze znacznie wyższej niż jakiegokolwiek, największe nawet ogniska. Dlaczego więc nie brać pod uwagę naturalnych piorunów? Coś przed wiekami stopiło kamienie fortec wzniesionych na szczytach wzgórz w Szkocji, Irlandii, Bretanii i Czechach. Zgoda, ale przecież wiadomo, że pioruny wybierają samotne, wzniesione nad okolicą obiekty.

Jednakże – i w tym szkopuł – niektóre z zeszlonych fortów wcale nie wznoszą się na szczytach wzgórz, niektóre z nich leżą nisko, wręcz ukryte w dolinach, a jednak ich ściany są również zeszlone pod działaniem gromów.

Zaś druga okoliczność, która winna zmusić nas do wnikliwszego myślenia jest ta, że na całym świecie, w różnych jego regionach, rozsiane są po wzgórzach i szczytach gór kamienne fortece, zamczyska i twierdze, zeszlone zaś są tylko te starożytne obiekty, które wznoszą się na terenie Szkocji, Irlandii, Bretanii i Czech.

Kamienne grady i bryły lodu.

Jednym z najbardziej niezwykłych fenomenów, czy też domniemyanych fenomenów, który klasyfikuje się jako należący do ogródka parapsychologii, jest ciskanie kamieniami, znane jako jeden z typowych przejawów tzw. poltergeista, czyli obecności i działalności złośliwego, nieprzyjemnego ducha. Choć koncepcja złośliwych duchów wydaje się być dziwaczna, absurda i trudna do asymilacji, musimy tu o nią zachaczyć, gdyż niektóre z posiadanych przez nas danych świadczą właśnie o ich działalności.

A oto kilka przykładów dotyczących kamieni, które rzucano albo które spadły z jakiegoś niewiadomego miejsca na niewielką, dokładnie ograniczoną przestrzeń na Ziemi. Otwórzmy zatem londyński „Times” z 27 kwietnia 1872 r. Czytamy w nim, że od godziny czwartej po południu do wpół do dwunastej w nocy ostatniego czwartku dwa domy przy Reverdy Road w Bermondsey znajdowały się pod gradem kamieni i innych pocisków, wyrzucanych z jakiejś niewidzialnej, niemożliwej do odkrycia kryjówki. Dwoje dzieci odniosło obrażenia, wybite zostały wszystkie okna w tych budynkach, zniszczeniu uległo także szereg przedmiotów i mebli znajdujących się wewnątrz. I chociaż w trakcie bombardowania pojawiły się znaczne siły policji, które roztoczyły kontrolę nad całym sąsiadującym z nieszczęsnymi budynkami terenem, nikt nie potrafił wytropić kierunku, skąd ciskano kamienie.

Były też „inne pociski”, które komplikują tu dodatkowo całą sprawę, jeśli jednak wyrażenie to oznacza puszkę po konserwach i stare kaptcie i jeśli przyjmujemy, że kierunek mógł być odkryty, gdyby tylko komuś wpadło do głowy obserwować niebo nad rzeczonymi budynkami...

Patrzcie, patrzcie, posuwamy się coraz śmielej.

Londyński „Times” z 16 września 1841 r. donosi, że w pewnym domu, należącym do pani Charton, a stojącym przy Sutton

Lane w Chiswick, jakaś nieznana siła powybiła wszystkie okna. Wysiłki, które podjęto, by wysledzić i ująć sprawcę, spełzły na niczym. Był to dom wolno stojący, otoczony wysokim murem, bez innych budynków w najbliższym sąsiedztwie. Wezwano oczywiście policję. Jednakże w czasie, gdy konstabl razem z mieszkańcami domu stanął na straży, szyby z okien nie przestały wylatywać „tak z przodu, jak i z tyłu budynku”.

Czy to nie jedna z tych błędzących po Morzu Supersargassowym wysp, zatrzymujących się czasem na dłużej w jednym miejscu? Atmosferyczne zaburzenia, które docierają tam czasem, porywają różne przedmioty i zrzucają je prosto na Ziemię, na jakieś miejsce o bardzo ograniczonych rozmiarach.

Supersargassowe Morze i plaże jego pływających wysp, skąd – jak przypuszczam – spadają czasem okrągłe kamienie. Weźmy miejscowość Wolverhampton w Anglii. W czerwcu 1860 r. podczas gwałtownego sztormu spadło tam tyle małych czarnych kamieni, że trzeba je było z niektórych miejsc usuwać szuflami („La Science Pour Tour”, 5-264).

Wielka liczba małych, czarnych kamieni spadła również w Birmingham podczas gwałtownej burzy, która przeszła nad tym miastem w sierpniu 1858 r. Według relacji opublikowanej w „Report of the British Association” (1864-34) kamienie te były podobne do bazaltowych otoczków, spotykanych w okolicach Birmingham. Kamienie opisywane jako „wyglądzone przez wodę otoczek” spadły również w miejscowości Palestyna, w stanie Teksas 6 lipca 1888 r. W tym przypadku, według opinii autorów opisujących zjawisko, kamienie „należały do formacji skalnych, które nie występują w okolicach Palestyny” (tak pisał W. H. Perry, sierżant Korpusu Sygnałowego w „Monthly Weather Review”, lipiec 1888).

Podobne doniesienie ze stanu Illinois: „Znaczna ilość kamieni o dziwnej formacji i szczególnych kształtach spadła w miejscowości Hillshoro w czasie szalejącego tornado, 18 maja 1883 r. Kamieni takich nie spotyka się w tych okolicach („Monthly Weather Review”, maj 1883).

Otoczaki z ponadziemskich plaż i otoczaki ziemskie, unoszone przez trąby powietrzne, tak się mieszają w tych przykładach, że chociaż to interesujące dowiadywać się o padających z nieba kamieniach szczególnego kształtu, lepiej nie przywiązywać do nich zbyt wiele uwagi i zająć się takimi zjawiskami, które są w dalszym ciągu związane z Morzem Supersargassowym, nie grozi im jednak żadne pomieszanie.

Do przykładów spełniających powyższy warunek będą – jak sądzę – należały otoczaki, których spadania nie można przypisać żadnej trąbie ani innemu wirowi powietrznemu, porywajacemu je uprzednio w górę. Następnie, otoczaki spadające z gradem o takich rozmiarach, że jego formowanie się w górnych warstwach atmosfery jest zupełnie niemożliwe. I wreszcie kamienie, które spadają w to samo miejsce przez dłuższy czas, niejednokrotnie z dużą przerwą pomiędzy jednym i drugim opadem, jak gdyby ich źródłem było coś, co stacjonuje w górze właśnie nad tym miejscem. We wrześniu 1898 r. w jednej z nowojorskich gazet pojawiła się historia o piorunie, który uderzył w drzewo na Jamajce, zaś obok pnia znaleziono później pewną liczbę okrągłych kamieni. Powiadano, że musiały spaść razem z uderzeniem pioruna. W powyższym przypadku można było oczywiście zakładać upadek meteorytu, jednakże obrazą dla ortodoksji był kształt kamieni – nie graniasty, jak zwykły wyglądać odłamki meteorytu, lecz okrągły i „jakby wygładzony przez wodę”. Nie zdarzył się wówczas żaden huragan, ani też żadna trąba powietrzna na wierzch wylazła więc teoria pochodzenia „z miejsca rzekomego upadku”. Oto autor piszący o tym wydawnictwie w „Monthly Weather Review” (sierpień 1898) informuje, że zjawiskiem zajmował się rządowy meteorolog, który stwierdził, iż drzewo rzeczywiście zostało rażone piorunem, a obok znaleziono wygładzone przez wodę kamyki, wszelako podobne kamyki można znaleźć w wielu miejscach na Jamajce.

Natomiast wrześniowy numer „Monthly” z 1915 r. publikuje relacje prof. Fassiga na temat gradu, który spadł w stanie Maryland 22 czerwca tegoż roku, a którego ziarna osiągały wielkość piłki baseballowej. Prof. Fassig pisze następnie: „Mamy interesujące, chociaż nie potwierdzone doniesienie, że w środku niektórych szczególnie dużych ziaren gradu, które zbierano w okolicach Annapolis, znajdowały się okrągłe kamyki. Młody człowiek, który opowiedział nam tę historię, obiecał również dostarczyć okazy wydobytych z gradu kamieni, „jednakże jak dotąd tego nie uczynił”. Zaś u dołu artykułu znajduje się przypis od redakcji pisma: „Po napisaniu tego artykułu, jego autor – jak sam twierdzi – otrzymał kilka okazów wspomnianych wyżej kamieni”.

Młody człowiek „dostarczający” kamienie jest równie przekonujący jak cokolwiek, o czym zdarzyło mi się słyszeć, czyli nie bardziej niż gdyby opowiedział, że z nieba spadały kanapki z szynką, a potem na dowód prawdziwości swoich słów miał dostarczyć kilka takich kanapek. Znacznie ważniejszy dla nas jest

fakt zauważony przez jednego z obserwatorów Biura Pogody, który stwierdził, że niezależnie od tego, czy kamyki te były wysoko w górze przez długi czas, czy przez krótki, niektóre ziarna gradu, które spadały wraz z nimi, były tam z całą pewnością bardzo długo. Ziarna te bowiem składały się z dwudziestu do dwudziestu pięciu warstw czystego lodu i zmarniętego śniegu na przemian.

Kusi mnie, by – posługując się terminami ortodoksyjnego myślenia – dowieść, iż pokaźne ziarna gradu spadają z szybkością tak dużą, że nie mogłyby obrosnąć nawet jedną warstwą lodu. Żeby obrosnąć w dwadzieścia kolejnych warstw lodu trzeba nie tyle spadać, co toczyć się i obracać przez dłuższy czas w mroźnym środowisku.

A teraz fakt dość banalny, który rozpoznajemy z łatwością dla dwóch względów. Oto małe symetryczne obiekty z metalu spadły we wrześniu 1824 r. w Orenburgu, w Rosji („Philosophical Magazine”, 4-8-463). Myślę teraz oczywiście o dysku z Tarbes, lecz kiedy po raz pierwszy trafiłem na tę informację uderzyła mnie głównie powtarzalność zjawiska. Obiekty z Orenburga opisywano jako kryształki pirytu, czyli siarczku żelaza. Według chemicznej analizy zawierały one 70% czerwonego tlenku żelaza, natomiast siarki było w nich mniej niż 5%. Wydaje mi się więc, że żelazo, które zawiera mniej niż 5% siarki nie powinno się już nazywać pirytem. Otóż takie niewielkie, rdzawe obiekty z żelaza spadły dokładnie w tym samym miejscu w cztery miesiące później.

Ponieważ raczej trudno jest sobie wyobrazić małe metaliczne obiekty, wiszące dokładnie nad jednym rosyjskim miastem i przez cztery miesiące obracające się jak ciało sztywne wokół wirującej Ziemi, wygląda na to, że coś jakby celowało w to miasto, a w cztery miesiące później oddało następną salwę.

Nie możemy jednak odrywać się od gruntu naszej wiedzy w zaraniu XX wieku. Niektórych tradycyjnych pojęć musimy się wciąż trzymać, a sytuacja taka może w pewnych przypadkach potrwać jeszcze bardzo długo. Akceptujemy więc na przykład, że Ziemia jest – nie okrągła oczywiście, to byłoby zbyt staroświeckie – akceptujemy, że Ziemia jest zaokrąglona, obraca się wokół własnej osi i krąży w przestrzeni po okołosłonecznej orbicie. Ponad nią zaś, wysoko ponad jej powierzchnią, istnieją regiony grawitacyjnej równowagi, zwane przez nas również regionami zawieszenia, które obracają się i krążą wraz z nią, i z których czasami, pod wpływem różnych atmosferycznych zaburzeń, spadają na Ziemię rozmaite niecodzienne obiekty,

niekiedy zaś zaburzenia takie i spowodowane przez nie opady powtarzają się wielokrotnie.

O zjawisku tego rodzaju czytamy na przykład w „Monthly Weather Review” z maja 1884 r. W numerze tym znajduje się relacja obserwatora Służby Sygnałowej z miejscowości Bismarck, w stanie Dakota, który pisze, że 22 maja, o godzinie dziewiątej wieczorem, spadł na miasto grad krzemienistych kamyczków. Kamyczki tego rodzaju spadły na miasto powtórnie w piętnaście godzin później. Nie ma zaś żadnych doniesień o podobnym zdarzeniu w innych okolicach.

Pomiary niektórych ziaren gradu, o ile można w takich wypadkach w ogóle mówić o ziarnach, niepokoją wielu meteorologów, z wyjątkiem – oczywiście – autorów podręczników meteorologii. Nie znam pogodniejszego zajęcia niż pisanie podręczników. Z sennym spokojem podręczniki meteorologii podają nam zatem lekkostrawne wyjaśnienie, jak to wokół drobin kurzu lodowatej deszcz formuje ziarna gradu, rosnące dodatkowo w czasie spadania – choć w różnych pismach meteorologicznych czytamy często o ziarnach gradu, które są w środku puste. Ale wróćmy do rozmiarów. Zanurzymy kawałek marmuru w lodowatej wodzie. Zimno nam w palce? Nie szkodzi. Zanurzymy jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze raz. A jeśli jesteśmy wyjątkowo uparci to po jakimś czasie otrzymamy lodowaty obiekt o wielkości baseballowej piłki. Myślę jednak, że przez taki okres czasu obiekt ten zdążyłby spaść z Księżyca. Weźmy też liczbę warstw. W przypadku dużego gradu bywa ich kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt. Rozważania tego rodzaju doprowadziły prof. Schwedoffa do wniosku, że niektóre ziarna gradu nie są i nie mogą powstawać w ziemskiej atmosferze, lecz pochodzą gdzieś spoza niej. Dysertację na ten temat prof. Schwedoff odczytał na posiedzeniu British Association („Report” 1882, str. 453). I nie można powiedzieć, by wzbudziła ona entuzjazm. Dla niektórych członków Towarzystwa była to herezja, coś, jak podanie karmionemu mlekiem jagnięciu ochlapu surowego mięsa. Niektórzy z członków Towarzystwa rzeczywiście beczeli jak jagnięta. Wreszcie pośród ogólnego popłochu powstał męźnie sir William Thomson i zdruzgotał herezję argumentami swej epoki, dowodząc mianowicie, że wszystkie ciała, a więc i ziarna gradu, które znajdują się poza ziemską atmosferą, poruszają się z kosmiczną prędkością – co byłoby może i prawdziwe, gdyby twierdzenia śp. Izaaka były czymś więcej niż tylko artykułami wiary – a więc grad wchodzący w ziemską atmosferę z kosmiczną prędkością byłby wykonywał pracę 13 000 razy większą

należałoby niezbędne do podniesienia temperatury wody o podobnej masie o 1°C. Inaczej mówiąc grad taki rozgrzewałby się do temperatury około 13 000°C, a idea tak gorącego lodu wydawała się panu Thomsonowi niesłychanie zabawna.

Możemy w związku z takim podejściem do sprawy zwrócić tylko uwagę, na pewną właściwość ludzi zahipnotyzowanych swoimi racjami: nie dostrzegają tego, co im przeczy. Członek Armii Zbawienia może słuchać w kółko i bez żadnego efektu tego, co do umysłu ewolucjonisty przyłgnie natychmiast. Gorzej – on tego w ogóle nie zapamięta. Wydaje mi się wprost niewiarygodne, że pan Thomson nigdy nie słyszał o wolno spadających, zimnych meteorytach. Bardziej prawdopodobne jest to, że nie był on w stanie zapamiętać faktów, które nie pasowały do systemu wiedzy, jaki ułożył sobie w głowie. Idee prof. Schwedoffa nie miały również dobrej prasy poza Towarzystwem. Pan Symons, pisujący również w „Nature”, stwierdził, że są bardzo dziwaczne. Myślę, że jeszcze bardziej dziwaczne i zabawne jest nasze założenie, że niedaleko powierzchni tej Ziemi znajduje się region, który będzie kiedyś przedmiotem całej nowej gałęzi nauki – super-geografii.

Otoczaki i fragmenty meteorytów, przedmioty z Marsa, Jowisza i Azurii, kamienne kliny, spóźnione posłania, okrągłe żelazne kule, cegły, gwoździe, węgiel, żużel i zepsute szczątki starych ładunków, przedmioty, które obrastają warstwami lodu i przedmioty, które w innych, cieplejszych regionach ulegają rozkładowi, gniją i butwieją, co wskazuje na istnienie różnych stref klimatycznych w podniebnym świecie.

Nie mamy prawdopodobnie wyjścia i będziemy musieli przyjąć, że w atmosferze naszej planety krążą pola lodowe równie rozległe jak te, które unoszą się na falach Oceanu Lodowatego, a także masy wody, w której żyją ryby i żaby. Muszą tam również być pasma łąd, na których mnożą się różne gąsienice i larwy.

Magazyn „Cosmos” (13-120) podaje za pewnym pismem z Wirginii, że ryby z gatunku zębaczy, niektóre długie na 30 cm i więcej, spadły wraz z gradem w miejscowości Norfolk, w 1853 r.

Mamy również szczątki roślinne – i to nie tylko we wnętrzu gradu, lecz przymarznęte do powierzchni ziaren. Zjawisko to miało miejsce w Tuluzie, 28 lipca 1874 r. („La Science Pour Tous”, 1874-270). Istnieje też opis burzy w Pontiac, w Kanadzie, która przeszła nad tą miejscowością 11 lipca 1864 r., i w czasie której padał nie grad, lecz kawałki lodu mierzące od jednego do pięciu centymetrów średnicy („Canadian Naturalist”, 2-1-308): „Najbardziej niezwykle w tym zdarzeniu jest jednak to, że według

pewnego farmera o nieposzlakowanej opinii w jednym z większych kawałków lodu znajdowała się zamrożona zielona żaba”.

Podobnie w Dubuque, w stanie Iowa, gdzie w czasie burzy, 16 czerwca 1882 r., padał grad i duże kawałki lodu („Monthly Weather Review”, czerwiec 1882). Czytamy w „Monthly”, że „miejscowy robotnik, który roztopił dwa takie kawałki, znalazł w środku zamrożone żaby, powracające pod wpływem ciepła do życia”.

30 czerwca 1841 r. w Bostonie spadły ryby, z których jedna mierzyła prawie 25 cm długości, zaś w osiem dni później ryby i łód spadły w Derby. Według „Year Book” z 1842 r. ryb tych spadło bardzo dużo, miały one 1-5 cm długości, a niektóre z nich były bardzo grube. Natomiast londyński „Times” z 15 lipca 1841 r. pisze o tym samym zjawisku, że ryby należały do gatunku cierników, oraz że spadły one z dużą ilością małych żabek i z kawałkami lodu.

Na ziarna gradu, nawet niezwyklej wielkości, możemy ostatecznie nie zwracać uwagi, choć kwestia ich wielokrotnej stratyfikacji jest dość znacząca, dużo bardziej istotne są jednak dla nas opady lodu w kawałkach, jako że to zjawisko zdaje się w poważniejszy sposób potwierdzać tezę o istnieniu Morza Supersargassowego.

Mamy więc kawałki lodu o obwodzie 30 cm w hrabstwie Derby w Anglii – spadły one 12 maja 1811 r. („Annual Register”, 1811-54); zbliżone kształtem do sześcianów kawałki o średnicy 15 cm, które spadły w Birmingham dwadzieścia sześć dni później (Thomson, *Introduction to Meteorology*, str. 179); łód wielkości dyni w Bungalowu w Indiach – spadł 22 maja 1851 r. („Report of the British Association”, 1855-35); półkilogramowe bryły lodu w New Hampshire – 13 sierpnia 1851 r. (Lumnis, *Meteorology*, str. 129); bryły wielkości ludzkiej głowy, które zabiły tysiące owiec w Teksasie – 3 maja 1877 r. („Monthly Weather Review”, maj 1877); „kawałki lodu tak duże, że nie można ich było pochwycić dłonią” – spadały w czasie tornada w stanie Colorado 24 czerwca 1877 r. („Monthly Weather Review”, czerwiec 1877); bryły lodu mierzące pół metra w obwodzie, która spadła w czasie gradobicia w stanie Iowa, w czerwcu 1881 r. („Monthly Weather Review”, czerwiec 1881); kawały lodu wielkości cegły, ważące prawie kilogram – Chicago, 12 lipca 1883 r. („Monthly Weather Review”, lipiec 1883); kawały lodu ważące ponad kilogram – spadały w Indiach, w maju 1888 r. („Nature”, 37-42); i wreszcie dwukilogramową bryłę lodu, która spadła 6 grudnia 1893 r. w Teksasie („Scientific American”, 68-58).

Nie są to oczywiście wszystkie możliwe do przytoczenia przykłady, gdyż pełna ich lista byłaby nużąca, naszym zaś celem nie jest wyczerpanie czegoś, lecz wykazanie czegoś. W wielu przypadkach słyszymy o towarzyszącym opadowi tornado. Uważamy, że nie jest to zbieg okoliczności: tornado muszą odgrywać jakąś rolę w transporcie brył lodu na Ziemię.

A teraz przejdźmy od wagi piórkowej do półciężkiej i ciężkiej. Niebo nad nami jest groźne. Oto Flammarion (*The Atmosphere*, str. 34) pisze o bryle lodu ważącej 2 kg, która spadła 15 czerwca 1829 r. w miejscowości Cazorta, w Hiszpanii; następnie o pięciokilogramowym łomie lodu z miejscowości Cette, we Francji, który wylądował tam w październiku 1844 r.; a także o bloku lodu długim i szerokim na 90 cm, który runął na ziemię w czasie majowej burzy 1802 r. na Węgrzech.

Lecz to jeszcze nie koniec nieszczęść, które wiszą nad nami. Otwieramy bowiem „Scientific American” (47-119) i czytamy, że w sierpniu 1882 r. koło miejscowości Salina, w stanie Teksas, spadł blok lodu ważący 35 kg. Właścicielem tego olbrzyma stał się niejaki W. J. Hagler, kupiec, który zapakował go w trociny i używał do chłodzenia produktów w swym sklepie. Natomiast w londyńskim „Timesie” z 7 kwietnia 1860 r. czytamy, że 16 marca tegoż roku, w czasie burzy śnieżnej w Wasdale, spadły z nieba tak wielkie bryły lodu, że z daleka wyglądały na ziemi jak stado leżących owiec. Również w „Report of the British Association” (1851-32) mamy drobiazg wielkości prawie jednego metra sześciennego, który spadł w 1828 r. w miejscowości Can-deish, w Indiach.

W obliczu wszystkich tych faktów, choć – o ile wiem – nikt ich przedtem razem nie zgromadził, panuje jakieś niezwykle milczenie uczonych mężów. Nasze Morze Supersargassowe nie musi być oczywiście ostatecznym i nieuniknionym rozwiązaniem zagadki, jednakże spadanie na ziemię lodu pochodzącego z przestrzeni pozaziemskiej jest faktem, którego nie da się podważyć. Pojawia się co prawda tu i tam opinia, że większe kawały lodu są zbrylonym i zmarzniętym gradem, lecz mamy dowody przeciw takiej tezie, gdyby ktoś chciał ją stosować do wszystkich przypadków, choć nie możemy zaprzeczyć, że w odniesieniu do niektórych z nich ta próba wyjaśnienia może być słuszna. Jeden z biuletynów Francuskiego Towarzystwa Astronomicznego wspomina na przykład bryły lodu wielkości karki, które spadły w Tunisie, zaś przy bliższym badaniu okazały się właśnie złączonymi w większą masę ziarnami gradu. Jednak-

że londyński „Times” z 4 sierpnia 1857 r. pisze o bloku lodu ważącym 10 kg podkreślając, że był to „czysty” lód. Bryłę znaleziono na łące pana Wenera z Cricklewood, po przejściu nad tą miejscowością silnej burzy. Jak w wielu podobnych przypadkach nikt nie widział tego obiektu w trakcie spadania z nieba. Został on znaleziony po burzy i to wszystko, co można o całej sprawie powiedzieć. Oczywiście pora roku – sierpień – jest sama w sobie wskazówką niezwykłości zjawiska.

Interesująca z naszego punktu widzenia jest również historia zamieszczona w „Edinburgh New Philosophical Magazine” (47-371). Dotyczy ona wielkiego bloku lodu o nieregularnym kształcie, który spadł w sierpniu 1849 r. w miejscowości Ord, w Szkocji. Upadkowi bloku, który mierzył 120 cm obwodu towarzyszył nadzwyczajnie potężny piorun. Mamy tu dalej opis bloku i wyraźne stwierdzenie, że był to jednolity lód, z wyjątkiem niewielkiego fragmentu, który przypominał zmarznięty i ustalony w masę grad. Londyński „Times” z 14 sierpnia 1849 r. uzupełnia tę historię podając, że ów blok spadł na obszarze posiadłości pana Moffata. Miejscowość mamy tu inną – Balvullich. Obiekt spadł sam, bez towarzystwa gradu.

Chociaż przykłady tego rodzaju nie muszą wcale świadczyć za tezę o Morzu Supersargassowym, są to jednak znakomite dowody pozaziemskiego pochodzenia niektórych obiektów. Bowiem teza, jakoby wielkie bryły lodu mogły się formować z wilgoci ziemskiej atmosfery jest równie prawdopodobna jak formowanie się skał z piasku i kurzu w trąbach powietrznych. A jeśli dociera na Ziemię lód i woda z pozaziemskich źródeł, to dla czego wraz z nią nie mogłyby docierać na naszą planetę miniaturowe organizmy, choćby żaby i ryby; a dalej jeszcze – wszystko, co tylko możliwe, bo jeśli gdzieś coś żyje, to nie żyje przecież w pojedynkę i w izolacji, ale w całym swoim biologicznym kontekście. Jasne więc, że zgoda na fakt spadania z nieba wielkich brył lodu jest bardzo istotna, lecz my pragniemy więcej, być może w związku z naszym zainteresowaniem potencjalnymi skarbami archeologicznymi i paleontologicznymi – chcemy zatem skończyć z niepewnymi próbami i okresem stażu, by objąć Morze Supersargassowe pełną akceptacją i włączyć je do orszaku wybranych XX wieku.

W „Report of the British Association” (1855-37) mówi się, że 11 grudnia 1854 r. w Poorhundur, w Indiach, spadły płaskie kawały lodu, wiele z nich ważących po kilka kilogramów. Opisuje się je jako „wielkie lodowe tafle”. Możemy sobie wyobrazić roz-

ległe pola lodowe arktycznych regionów lub warstw Morza Supersargassowego. Gdy pękają, ich fragmenty mają postać tafli.

„Symons’ Meteorological Magazine” (43-154) publikuje list pewnego korespondenta, który pisze, że 2 lipca 1908 r., w miejscowości Braemar, leciały z nieba płaskie kawały lodu. Słońce świeciło i niebo było czyste, choć coś się tam w górze musiało dziać, gdyż słychać było grzmoty.

Dopóki nie widziałem reprodukcji fotografii prezentowanej w „Scientific American”, w numerze z 21 lutego 1914 r., zakładałem, że owe pola lodowe muszą się znajdować nie niżej niż 30 km nad powierzchnią ziemi i że są raczej niewidoczne dla ziemskich obserwatorów, z wyjątkiem ich pojawiania się czasem jako niewyraźnych plam, zamazujących astronomom obraz gwiazd i zwracających uwagę meteorologów.

Jednakże wspomniana wyżej fotografia z „Scientific American” przedstawia formę płynącą jak chmura, przypuszczalnie niezbyt wysoko, doskonale widoczną. Autor fotografii pisze, że chmury te – w jego mniemaniu były to chmury – przypominały mu pole „spekanego lodu”. Poniżej zamieszczono zdjęcie takiego właśnie lodu, unoszącego się na powierzchni wody. Podobieństwo obydwu fotografii jest uderzające, niemniej wydaje mi się mało prawdopodobne żeby pierwsza fotografia przedstawiała rzeczywiste pole lodowe i żeby grawitacja mogła przestać działać już na półtora kilometra od powierzchni Ziemi.

Chyba że czasem, wyjątkowo, zdarza się zmienność i błędnie wszystkich rzeczy. Albo że ziemską grawitacja, która normalnie rozciąga się do – powiedzmy – 25 km od powierzchni Ziemi, jest jednak rytmicznie falującym polem, o gwałtownie czasami malejącym zasięgu.

Oczywiście w pseudoformułach astronomów stałość grawitacji odgrywa podstawową rolę. Przyjmijmy w końcu, że jest to siła zmienna, o trudnych do ustalenia okresach oscylacji, a nadejdy astronomiczny balonik zwiędnie przy akompaniamencie jadłowitego syku do obwisłego stanu ekonomii, biologii, meteorologii i innych, pokorniejszych i skromniejszych bóstw, które według powszechnie opinii mogą ofiarować swym wynawcom jedynie niepewne przybliżenia do istoty badanych rzeczy. Wszystkim zaś, którym nie miły byłby syk uchodzącej w powietrze arogancji, odsyłamy do rozdziałów Herberta Spencera na temat rytmiczności wszystkich zjawisk.

Tak więc w przypadku rytmiczności lub nieregularności grawitacji, lodowe pola na niebie, zwykle bardzo odległe, a jeśli wi-

doczne, to tylko jako mgliste plamki, czasami mogłyby zbliżyć się na taką odległość od Ziemi, że można by dostrzegać ich detale.

Jeśli chodzi o opis tego, co nazywam „plamką”, to znajduję się on w lotowym numerze magazynu „Popular Science News” z 1884 r. Jest tam mowa o czymś w okolicy Słońca, na wyjątkowo czystym i bezchmurnym niebie, czymś „jak biała, lekko ścięta mrozem mgła, świecąca i oślepiająco jasna”.

Można przyjąć, jak myślę, że czasem lodowe pola przepływają pomiędzy Słońcem i Ziemią; wiele warstw lodu albo bardzo grube lodowe pola mogą nawet przygasić blask Słońca, czy też spowodować zaćmienie. I tak Flammarion w cytowanej już książce o atmosferze wspomina o głębokich ciemnościach, jakie zapadły 18 czerwca 1839 r. nad Brukselą; jednocześnie zaś z nieba spadały płaskie kawałki lodu o długości jednego 2,5 cm każdy. Dalej, zupełnie podobne zdarzenie w Aitkin, w stanie Minnesota, 2 kwietnia 1889 r.: wśród intensywnych ciemności, które zapadły nad miastem, spadał z nieba piasek i „solidne kawałki lodu” („Science”, 19 kwietnia 1889). Płaskie kawałki lodu o nierównych brzegach spadły również w Manassas, stan Wirginia, 10 sierpnia 1897 r. Wyglądały one jak fragmenty połamanej i pokruszonej lodowej tafli, mierząc po kilkanaście centymetrów długości i około 2,5 cm grubości („Symons' Meteorological Magazine”, 32-172). We Francji, w Rouen, spadły w lipcu 1853 r. nieregularne kawałki lodu wielkości dłoni, które wyglądały jakby je odłamano od ogromnego bloku („Cosmos”, 3-116). Myślę, że pochodziły one z podniebnej góry lodowej. W gęstej i prawie absolutnej głupocie XIX wieku nigdy nie przyszło nikomu do głowy, by w tych fragmentach lodu szukać śladów fok lub polarnych niedźwiedzi.

Oczywiście widząc to, co chcemy zobaczyć i będąc w stanie gromadzić powyższe dane tylko dlatego, że zgadzają się one z naszymi wyobrażeniami, które powzieliśmy z góry, w wyniku jakiegoś instynktownego myślenia, którego prawdziwych źródeł nie jesteśmy w stanie sobie uświadomić, podchodzimy do nich bez jakiegosć specjalnego szacunku, ponieważ uważamy, że podobne wrażenie, lecz pochodzące od obserwatora, który nie miał żadnej uprzedniej teorii ani wyrobionej opinii byłyby bardziej miarodajne. Ogólnie mówiąc to nasze uprzedzenia widzą i nasze uprzedzenia badają, a więc rezultat naszych badań nie powinien być nigdy traktowany jak absolut. Lecz mamy oto raport Biura Pogody w Portland, w stanie Oregon, na temat tornad i kawałków lodu, które spadły tam z nieba 3 czerwca 1894 r.

Przeciętne kawałki te mierzyły 10 cm² i po 2,5 cm grubości. Ich szczególnie interesującą cechą były gładkie i płaskie powierzchnie większych kawałków, wywierające na obserwatorach „wrażenie dużego pola lodu, zawieszzonego gdzieś wysoko w atmosferze i bagle kruszącego się na fragmenty wielkości dłoni” („Monthly Weather Review”, lipiec 1894).

Mamy też lód zawierający zahibernowane, lecz żywe żaby. Zjawisko to miało miejsce 16 czerwca 1882 r. w miejscowości Dubuque, w stanie Iowa. Spadające tam kawałki lodu mierzyły ok. 43 cm w obwodzie, najcięższy z nich ważył prawie kilogram, a na niektórych znajdowały się centymetrowej długości sople.

Sople, które występują w wielu tego rodzaju przypadkach, mają pewne znaczenie, świadczą bowiem o zjawisku topnienia lodu, zachodzącym w górze pod działaniem słońca oraz o odczuwalnych skutkach ziemskiej grawitacji, która może oddziaływać na niższe warstwy tych pól. Zdarza się nawet, że spadają same sople, jak gdyby odrywane od lodowatych tafli przez jakieś wstrząsy. Mamy tego rodzaju doniesienie z Oswego, w stanie New York. 11 czerwca 1889 r. spadły tam w czasie gwałtownej burzy z piorunami kawałki lodu, które „przypominały fragmenty długich sopli” („Monthly Weather Review”, czerwiec 1889). Podobny przypadek miał też miejsce na wyspie Florence, oblewanej wodami Rzeki Świętego Wawrzyńca w Kanadzie. 8 sierpnia 1901 r. spadły tam, wraz z normalnym gradem, kawałki lodu „uformowane jak sople rozmiarów ołówka, popękane jednak na fragmenty o długości ok. 1 cm” („Monthly Weather Review”, sierpień 1901).

Nasze dane dotyczące Morza Supersargassowego i jego arktycznego regionu wskazują również, że czasami jakieś jedno lodowe pole może wisieć nawet przez kilka tygodni nad określonym rejonem powierzchni Ziemi, podlegając oczywiście działaniu Słońca. W ciągu dnia woda zbiera się pod spodem lodowej tafli i późnym popołudniem zaczyna kapać, w rezultacie czego mamy zjawisko, które byłoby raczej nienaturalne i trudno wytłumaczyć w inny sposób, a mianowicie deszczu kropiący z bezchmurnego nieba, dzień po dniu, późnym popołudniem – i stale w to samo miejsce na Ziemi.

Konkretny przykład takiego zjawiska pochodzi z miejscowości Charlotte, w Północnej Karolinie. Przez trzy tygodnie, od końca września do połowy października 1886 r., każdego popołudnia, około trzeciej lub czwartej, w Charlotte – dokładnie zaś

na niewielki kawałek gruntu pomiędzy dwoma drzewami i tylko tam – padał drobny deszcz, zaś opad tego deszczu był zupełnie niezależny od faktu czy na niebie płynęły wówczas jakieś chmury, czy też było ono zupełnie czyste („Monthly Weather Review”, październik 1886). Informację opartą na doniesieniach lokalnej gazety uzupełnia w „Monthly” sprawozdanie obserwatora Służby Sygnalowej: „Informuję, że 21 października byłem świadkiem niezwykłego fenomenu. Otrzymałszy bowiem wiadomość, że przez kilka tygodni poprzedzających wspomnianą wyżej datę codziennie, w okolicach godziny trzeciej po południu, na pewne szczególne miejsce na rogu Ulicy 9 i Ulicy D pada przelotny deszcz, udałem się tam celem przekonania się o prawdziwości tej pogłoski i na własne oczy widziałem zjawisko w formie niewielkiego deszczu o 4.47 i 4.55. W czasie tym słońce świeciło jasno na niebie, a nad naszymi głowami nie było żadnych chmur. Następnego dnia odwiedziłem to miejsce po wtórnie i znów od 4.05 do 4.25 padał tam lekki deszczyk z bezchmurnego nieba. Czasami deszcz ten obejmuje obszar około pół akra, zazwyczaj jednak koncentruje się on na dwóch stojących tam drzewach”.

Rozdział XIV

Upadek Leverriera. Krążące światy. Melanikus

Nasze widzenie rzeczywistości jest konwencjonalne. I nie chodzi tu tylko o to, że myślimy, działamy, mówimy i ubieramy się podobnie, ponieważ poddał się działaniu asymilującego wpływu całego społeczeństwa, tej wielkiej grupy, złożonej z milionów komórek, a dążącej do osiągnięcia organicznej jedności. Widzimy to, co jest „stosowne”, czyli co należy widzieć. W tradycyjnym systemie teologicznym bardzo ważną osobą, tłumaczącą swoją obecnością wiele rozmaitych zjawisk, był diabeł – i osobiste spotkanie diabła w tamtych czasach nie należało do wydarzeń szczególnie nadzwyczajnych. Widywano też anioły, a możliwości tego rodzaju spotkań określał sam system i jego przydatki. Ciekawie jest czasem spacerować ulicą i myśleć patrząc na różne rzeczy, jakby też one wyglądały, gdybyśmy od dziecka nie byli uczeni widzieć konie, drzewa i domy jako konie, drzewa i domy. Myślę, że gdzieś, może w innym świecie, a może tylko w potencjalny, niespełniony nigdzie sposób, istnieje wyższy rodzaj widzenia, w którym rzeczy nie są rzeczami, lecz tylko lokalnymi akcentami wszechciągłości, przechodząc niepostrzeżenie i zlewając się jedna w drugą, drgając, falując, tworząc lokalne wiry i spokojne rozlewiska. W tym wyższym rodzaju widzenia cała wszechciągłość jawiłaby się patrzącemu w swej istocie, jak płynąca rzeka, podczas gdy my widzimy pojedyncze cząsteczki wody i całą uwagę skupiamy na ich odrębności.

Wracając zaś do uwarunkowania naszego widzenia „stosownością”, czyli panującym systemem myślenia, to działa ono również negatywnie, a może głównie negatywnie, usuwając sprzed naszych oczu tysiące oczywistych bytów, fizycznych i idealnych, które istnieją obok nas „niewidzialnie”. Nie byłoby więc żadnej nieprawdopodobnej ekstrawagancji w podejrzeniu iż na-

sze hipotetyczne światy: Monstrator, Elwera i Azuria przesunęły się już przed szklami teleskopów wiele razy, nie były zaś widziane, gdyż nie należą do tego zbioru rzeczy, które można zobaczyć. Widzenie ich nie byłoby zacne, właściwe, czcigodne i szacowne; byłaby to obraza przodków i ich wiary; byłoby to ściąganie klątwy przewracających się ze zgrozy kości śp. Izaaka.

No a nasze dane?

Wielkie twory planetarne, które nie krążą po ustalonych i odwiecznych orbitach, lecz mogą żeglować w przestrzeni jak statki, dryfując w międzyplanetarnych nurtach i przyplływach grawitacyjnego oceanu. Nasze dane mówią o ich zbliżeniu się do ziemi w nowożytnych czasach na odległość nie większą niż 8-10 km od jej powierzchni. Zapewne też żeglują one i zbliżają się do tych innych planet i ciał, które poddały się dążeniu Układu Słonecznego do bycia odrębną całością, nabywając stałych cech i regularnych ruchów.

Pytanie, które nas prześladowuje i któremu nie zamierzamy umknąć, brzmi: czy ktokolwiek z astronomów widział te inne światy, te superkonstrukcje?

Astronomowie to, jak wiadomo, hipnotycy. Nie ma się tu czemu dziwić i nie ma żadnej obrazu w tym stwierdzeniu – astronom patrzący na Księżyc jest przez ten Księżyc zahipnotyzowany – jednakże według naszego przekonania ciała, o których tu mówimy, często zbliżają się do Księżyca lub przesuwają się przed jego powierzchnią i stacjonują w jego pobliżu, tak że przynajmniej czasem niektóre z nich musiały się znaleźć w polu widzenia i w obrębie astronomicznej hipnozy.

Wszelako ciała te, jako kosmiczne wagabondy, trampy i włóczyki, zostały w naszym przekonaniu wykluczone przez astronomów z powodu ich – tych ciał, a nie astronomów – nieodpowiedzialności, czyniącej brzydki afront zacnej, czystej i stuprocentowo dokładnej nauce, a nadto – i to również jest czynnik istotny – ponieważ nie widuje się ich znowu tak często. Planety nieodmiennie odbijają światło Słońca i na tej ich regularności i zacności zbudowano system, który nazwiemy sobie tutaj Astronomią Pierwszą albo Podstawową, w opozycji do której podnosimy sprawę Astronomii Wtórnej, czyli Zaawansowanej, której przedmiotem badawczym są ciała niebieskie o zmiennych cechach i nieregularnych ruchach; świecące albo nie, zmieniające swe położenie i parametry tak dowolnie jak chcą – lub według ich wewnętrznej natury, która z zewnątrz wygląda na dowolność. Jednakże, oświetlone lub ciemne, widziano je ty-

ło razy, że jedyną przyczyną ich wykluczenia ze świadomości naukowej XIX wieku był fakt, że nie pasowały do całości Systemu i do jego sztywnych założeń. Nawet jeszcze kilka lat temu jakieś ciemne, krążące w przestrzeni ciała byłyby bezwarunkowo potępione, jednakże obecnie ich istnienie zostało usankcjonowane przez prof. Bernarda, a skoro on mówi, że wszystko jest w porządku, to znaczy, że możemy o nich myśleć śmiało, bez skradania się po opłotkach mózgu i bez obawy popełnienia grzechu.

Prof. Bernard pisze mianowicie w „Proceedings of the National Academy of Science” (1915-394) o pewnym ciemnym obiekcie w gwiazdozbiornie Cefeusza, przyjmując, że poza Układem Słonecznym istnieją nieprzejryste ciała, następnie jednak modyfikuje on swój pogląd, uznając je za „ciemne mgławice”. A to jest już jakby mniej interesujące.

Jednak chciałbym tu szczególnie podkreślić fakt, że większość naszych danych pochodzi od astronomów o najlepszej reputacji, ekskomunikują je zaś astronomowie o podobnej opinii, wsparci jednak dodatkowo przez dominującego ducha swej epoki, do którego powinni być dostosować się wszystkie pragnące uniknąć zapomnienia, obojętności, pograżenia w cieniu umysły. Czytelnikowi tej książki może się czasami wydawać, że nasz bunt jest skierowany przeciwko dogmatyzmowi, celebracji i spoglądaniu na świat z bardzo wysokiego piedestału poszczególnych znanych i wybitnych uczonych. Jest to wszelako tylko zabieg wynikający z pewnej wygody. Łatwiej coś krytykować personifikując to niż boksować się z cieniem. Jeżeli będziemy na przykład przeglądali numery „Philosophical Transactions” czy też – powiedzmy – publikacje Royal Astronomical Society to zobaczymy, że wielki astronom Herschel był równie bezsilny jak pierwszy lepszy gapiący się w niebo chłopiec, jeżeli tylko zabierał się do przekonywania innych astronomów do tych swoich obserwacji, które nie pasowały do Systemu. Ten zaś rósł wówczas zupełnie niezależnie od każdego astronoma w pojedynkę i działał podobnie jak poszczególne fazy w rozwoju embrionu, które zmuszają wszystkie poszczególne komórki do przyjmowania odpowiedniej, zgodnej z kierunkiem rozwoju i formą całości postaci.

Przejdźmy zatem do faktów, zaczynając od Wenus i tego, co ją od czasu do czasu odwiedzało. Oto Evans w książce *Ways of Planets (Ruchy planet)* podaje, że w 1645 r. jakieś duże ciało niebieskie, wyglądające jak satelita, pojawiło się w pobliżu We-

nus. Podobne obserwacje notowano czterokrotnie w pierwszej połowie XVIII wieku. Ostatni przypadek tego rodzaju miał miejsce w 1767 r.

Według autora artykułu w „Science Gossip” (1886-178) duży astronomiczny obiekt widziano w pobliżu Wenus siedem razy. Obserwacje te uznał i przejął się nimi przynajmniej jeden astronom, pan Houzeau, nazywając ten świat-planetę-superkonstrukcję Neith. Jego poglądy wspomniano przejściowo tu i ówdzie, jednak bez poparcia. Nowy satelita w Systemie Słonecznym byłby nieco kłopotliwy, lecz dałby się jakoś wyjaśnić, natomiast duży obiekt zbliżający się do jednej z planet, stacjonujący w jej pobliżu, a potem znikający? Po jakimś czasie zaś pojawiający się znowu, stacjonujący, znikający? Takie fakty to dla astronomii nie są fakty.

Wyobraźmy sobie uczonych z innego świata, którzy obserwują jakieś tradycyjne wiejskie podwórko, starając się ustalić z naukową ścisłością ruchy znajdujących się tam obiektów. Ich uwaga byłaby, jak przypuszczam, jeśli obdarzymy ich mentalnością ziemskich astronomów, skupiona głównie na psiej budzie, przy której coś krąży regularnie, nie przekraczając dającego się zmierzyć dystansu. Dużą popularnością również cieszyłoby się obserwowanie ruchów pomiędzy otworem w dużym budynku a niewielką drewnianą budką w kącie podwórka. Stała periodyczność tych ruchów, zwłaszcza rano, byłaby zapewne przedmiotem wielu hipotez, natomiast złodzieje, którzy zakradli się na to, znajdujące się pod naukową obserwacją, podwórko nie byłoby w ogóle uważani za godny uwagi fakt.

Mars również nie był wolny od odwiedzin. 25 listopada 1894 r. prof. Pickering i inni astronomowie z Lowell Observatory widzieli obok tej planety jasno świecący, światłem – jak stwierdzono – odbitym, punkt unoszący się nad nieoświetloną częścią Marsa. Wyglądał on na coś w rodzaju chmury, wszelako był odległy od jego powierzchni o około 30 km („Astrophysical Journal”, 1-127).

Świecący punkt przesunął się przed dyskiem Merkurego w 1799 r. Obserwowało go dwóch astronomów, Harding i Schroeter („Monthly Notices of the Royal Astronomical Society”, 38-338),

Interesujący fakt znajduje się również w pierwszym biuletynie wydanym we 1903 r. przez Lowell Observatory. Prof. Lowell opisuje tam mianowicie jakieś ciało, które pojawiło się 20 maja na terminatorze Marsa. Ciało zachowywało się podejrzanie, zmieniając w ciągu kilku następných dni swoją pozycję o 500

km. Oceniono, że był to „prawdopodobnie obłok kurzu”. Oczywiście mógł to być obłok kurzu lub chmura gazów, wyrzucona z jakiegoś wulkanu, jednakże takie przypuszczenia nie powinny zamykać naszych interpretacji. Bardzo wyraźne, błyszczące punkty widziano na tle tarczy Marsa w październiku i w listopadzie 1911 r. („Popular Astronomy”, t. 19, nr 10).

A oto nieco dłuższa historia. 26 marca 1859 r. pewien oddający się amatorsko astronomicznym obserwacjom lekarz, pan Lescarbault z miejscowości Orgeres we Francji, zauważył duże, planetarnych rozmiarów ciało, przesuujące się na tle słonecznej tarczy. Ponieważ nie była to żadna ze znanych planet zatem dr Lescarbault wysłał depeszę do słynnego wówczas astronoma Leverriera, który w te pędy ruszył do Orgeres.

Przyczyna pośpiechu była prosta. Obserwacje dr. Lescarbault pasowały do obliczeń Leverriera, że pomiędzy Merkurem a Słońcem powinna się znajdować jakaś nieznana planeta.

System Słoneczny nigdy bowiem nie osiągnął pełnej regularności i podobnie jak w przypadku Neptuna, w zachowaniu Merkurego zachodzą perturbacje, których nie można pogodzić z istniejącymi formułami; zdradzające być może istnienie czegoś, co jeszcze nie jest znane. Historia pobytu Leverriera w Orgeres i jego dokonane na miejscu badania znajdują się w jednym z numerów „Monthly Notices” (20-98). Dowiadujemy się z niej zatem, że Leverrier był w pełni „usatysfakcjonowany” dokładnością obserwacji. Przy okazji, czytając tę historię, możemy sobie pozwolić na chwilę rozbawienia naiwnością wieku, z którego pochodzi tyle przytłaczających dogmatów. Oto bowiem Lescarbault pisze do sławnego Leverriera. Leverrier przyjeżdża do Orgeres, ale nie ujawnia swojego nazwiska. Zachodzi najpierw incognito do zamieszkałego doktora i „poddaje go surowemu przesłuchaniu”. Tak jakby mógł ktoś obcy wejść do naszego domu i „podać nas surowemu przesłuchaniu”. Po tej śledczej procedurze – nazwiska, kontakty – usatysfakcjonowany odpowiedzią Leverrier wyznaje, kim jest. Lescarbault nie może się oczywiście pozbierać ze zdziwienia, zaskoczony chytryością słynnego astronoma.

W każdym razie nowo odkryty obiekt otrzymał nazwę „Wulkan”.

Za pomocą tych samych metod, dzięki którym – jak się w to wierzy do dzisiaj – odkryto istnienie Neptuna, Leverrier doszedł do wniosku, że pomiędzy Merkurem a Słońcem musi istnieć jeszcze jakieś planetarne ciało lub grupa ciał i obliczenia swoje podał do publicznej wiadomości. Poza tym, co widział Lescarbault

bault miał on jeszcze pięć następnych obserwacji tajemniczego obiektu. Studiując później wszystkie te przesunięcia obiektu na tle słonecznej tarczy obliczył on elementy orbity Wulkana i jego okres obiegu wokół Słońca, który miał wynosić dwadzieścia dni. Najlepszy zaś czas dla ponownych obserwacji miał nadejść w 1877 r., a dokładniej 22 marca. Miał to być zatem kolejny tryumf teoretycznej astronomii. Nic zatem dziwnego, że gdy dzień ten nadszedł, cały astronomiczny świat stał na palcach, celując nosami w niebo. Data została przecież wyznaczona tak autorytatywnie. Nawet papież nie ogłosił nigdy niczego z większą stanowczością.

Nie mówiąc o przygotowaniach, jakie miały miejsce przed owym wielkim w dziejach astronomii dniem. Dla Królewskiego Astronoma w Anglii było to najdonioślejsze wydarzenie w życiu: zawiadomiono obserwatorów w Madrasie, Sydney, w Nowej Zelandii, umówiono się z obserwatorami w Chile i w Stanach Zjednoczonych. Pan Struve przygotowywał obserwację na Syberii i w Japonii. Jednym słowem – obstawiono cały świat.

Nadszedł 22 marca 1877 r.

I nic.

Nic absolutnie. Było w tej porażce nawet coś patetycznego. Gdyby zresztą ktoś wątpił w szczerłość Leverriera to przypominały tu, czy ma to jakieś znaczenie, czy nie, że astronom ów zmarł w kilka miesięcy później.

Myślę jednak, że możemy już powrócić do sprawy Monstratora. 9 sierpnia 1762 r. pewien francuski astronom, pan de Rostan, dokonując pomiarów wysokości Słońca w Lozannie, ujrzał na tarczy słonecznej duże, wrzecionowato wydłużone ciało, przesuujące się z szybkością o połowę mniejszą niż szybkość zwykłych plam słonecznych. Obiekt ten zniknął dopiero 7 września, po osiągnięciu przeciwległej krawędzi tarczy słonecznej. W związku z jego wrzecionowatą formą można by myśleć o jakimś super-zepelinie, jednakże inne szczegóły, dostrzeżone w czasie obserwacji, zdają się wskazywać na to, że był to świat sam w sobie; nie tylko bowiem ciało było nieprzezroczyste, lecz także miało coś w rodzaju mglistej otoczki, mogącej stanowić atmosferę („Annual Register”, 9-120). Zanotowano też, że inny astronom, obserwujący w tym samym czasie Słońce z Paryża, nie zauważył na jego tarczy nic nadzwyczajnego. Jednakże kolejny obserwator, pan Croste, obserwujący Słońce z miejscowości Sole, około 60 km od Lozanny, widział również i opisał podobną, wrzecionowatą formę, podając nieco inną grubość niż

pan de Rostans. Najważniejsze jednak, że panowie ci widzieli ów obiekt nie w tym samym, lecz w różnych miejscach tarczy słonecznej. Mamy więc paralaksę, a po uwzględnieniu niewidoczności obiektu z obserwatorium w Paryżu – wielką paralaksę. Tak więc przez prawie cały miesiąc późnym latem 1762 r. duże, nieprzezroczyste ciało o wrzecionowatym kształcie przesuwało się na tle słonecznej tarczy, jednak w odległości tak wielkiej od Słońca, że widoczne było tylko z niektórych miejsc na Ziemi. Autor relacjonujący tę historię w „Annual Register” kończy słowami: „Nie znamy na niebie niczego, co mogłoby nam pomóc w wyjaśnieniu tego fenomenu”. Myślę, że nie był on nieuleczalną ofiarą nałogu wyjaśniania.

Dla nas zaś jest to – lub może być – Monstrator. Mamy zresztą więcej podobnych obserwacji, właściwie jest to nawet spora kolekcja – zapisanych i zapomnianych.

Dwa ciała, przecinające wspólnie tarczę Słońca, obserwował 26 lipca 1819 r. pan Gruthison. Inny obiekt, podobny do „Wulkana”, przesuwał się na tle Słońca w 1847 r., obserwowany przez dwóch astronomów, Scotta i Wraya. („Nature”, 14-469). Niemalże identyczny obiekt widzieli również 12 marca 1849 r. astronomowie Hind i Lowe („L'Annee Scientifique”, 1876-9). Nieznany obiekt wielkości Merkurego przesuwał się na tle tarczy słonecznej 29 stycznia 1860 r. Obserwatorami byli F. A. R. Russell i cztery inne osoby („Nature”, 14-505). Inny znów astronom-amator, pan Coumbray z Konstantynopola, pisał do Leverriera, że 8 marca 1865 r. widział czarny, bardzo wyraźny punkt, przechodzący przed tarczą Słońca. Punkt ten wyodrębnił się z plam słonecznych tuż przy krawędzi tarczy i w ciągu czterdziestu ośmiu minut dotarł do krawędzi przeciwległej. Obserwacja ta została przez Leverriera zignorowana, gdyż jego obliczenia przewidywały dla „Wulkana” szybkość czterokrotnie większą („L'Annee Scientifique”, 1865-16). Kolejne obserwacje takiego obiektu miały miejsce w Londynie w 1871 i w 1873 r. oraz w Berlinie w 1876 r.

Ogólnie było ich zresztą znacznie więcej. Listę dwudziestu przypadków podobnych do obserwacji pana Lescarbault opublikował w 1872 r. niemiecki astronom Wolf.

Benjamin Scott, przedstawiając swoją obserwację w londyńskim „Timesie” z 10 stycznia 1860 r., pisze jak to latem 1847 r. zobaczył w szklach swojego teleskopu ciało wielkości Wenus, które przesuwało się powoli na tle słonecznej tarczy. Niepewny świadectwa swoich własnych zmysłów zaczął gorączkowo roz-

gładać się za kimś, komu ambicje i nadzieje nie narzucałyby podobnych iluzji, lecz pod ręką był tylko jego pięcioletni syn. Jako że zaś czas naglił, Scott posadził dziecko przed teleskopem i kazał mu opisywać, co widzi. Odpowiedź brzmiała: „mały balon” przesuający się na tle Słońca. Scott pisze dalej, że brakło mu jednak niezbędnej pewności siebie, żeby wynik takiej obserwacji podać do publicznej wiadomości. Jednakże jeszcze tego samego dnia wieczorem powiedział o tym innemu człowiekowi Royal Astronomical Society, dr. Dickowi, który przypomniał sobie wówczas o innych tego rodzaju przypadkach, które już kiedyś obity mu się o uszy. W 1847 r. wszystko to jednak wyglądało na fantasmagorie, natomiast w 1860 za obecnością dodatkowej planety stał autorytet Leverriera.

Rozpoczynając lekturę tego rozdziału niektórzy czytelnicy przewidywali zapewne, że przez grzebanie w starych, zakurzonych szpargałach wykrobiemy trochę mglistych i wątpliwych danych, naciągniętych następnie mocno w tak zwane dowody na istnienie nierozpoznanych światów i konstrukcji o planetarnych rozmiarach. Tymczasem zaś rozważamy fakty o wysokim stopniu autentyczności, podparte ścisłością fachowych obserwacji.

29 lipca 1878 r. na obszarze Stanów Zjednoczonych obserwowano pełne zaćmienie Słońca, podczas którego dwóch niezależnych obserwatorów zauważyło dwa jasno świecące obiekty, znajdujące się w znacznej odległości od ciemnej tarczy słonecznej. Obserwatorzy ci to prof. Watson z Rawlins, w stanie Wyoming, oraz prof. Swift z Denver, w stanie Colorado. Jest to kolejny fakt pasujący do naszej ogólnej hipotezy, że nie chodzi tu o jakąś planetę krążącą między Merkurym i Słońcem, lecz o kilka różnych ciał niebieskich o znacznych rozmiarach i zmiennym położeniu, znajdujących się czasem blisko Ziemi, a czasem blisko Słońca, dryfujących w przestrzeni bez ustalonych orbit. Biorąc zaś pod uwagę fakt, że nie mamy żadnych obserwacji, żadnych danych świadczących o kolizjach tych obiektów, możemy przypuszczać iż ruchy ich znajdują się pod jakąś kontrolą i że są to obiekty żeglujące w przestrzeni – sterowane superkonstrukcje, należące do cywilizacji rozwiniętych o wiele klas wyżej niż nasza.

Prof. Watson i prof. Swift podali wyniki swoich obserwacji do publicznej wiadomości. Po to się bada coś lub obserwuje, żeby informować później o tym innych. Lekceważenie, z jakim powitano ich publikację, nie może mieć nic wspólnego ze zwykłą,

zdrową ostrożnością środowiska uczonych. Systematycy i specjaliści od pisania podręczników zaczęli opowiadać, że główny kłopot z tymi obserwacjami polegał na ich wielkiej rozbieżności. Obserwatorzy owszem, szczególnie prof. Swift, cieszą się wielkim uznaniem, jednakże w powyższym przypadku tych dwóch odległych od siebie panów uległo przypadkowo złudzeniu: ich obserwacje tak się przecież od siebie różnią.

A co o tych różnicach myśli sam prof. Swift? W jego relacji napisanej dla magazynu „Nature” (wrzesień 1878) czytamy, że jego obserwacje „były bardzo podobne do obserwacji prof. Watsona”. W innym piśmie („Observatory”, 2-161) prof. Swift powiada zaś, że jego obserwacje i obserwacje prof. Watsona wzajemnie się popierały.

Wyznawcy św. Ortodoksji próbują znowu: że mianowicie profesorowie Swift i Watson widzieli po prostu gwiazdy, które wzięli za nieznanne ciała. Na taki zarzut prof. Watson odpowiada („Observatory”, 2-193), że przed opublikowaniem wyników swych obserwacji zrobił przegląd gwiazd, które mogły stanowić w tamtym momencie tło tarczy słonecznej, uwzględniając wszystkie obiekty aż do siódmej wielkości. Prof. Swift twierdzi natomiast: „Nigdy w życiu nie dokonałem obserwacji pewniejszych i wolnych od wszelkich wątpliwości”.

W książce tej mamy sporo faktów, które nie zawsze spełniają surowe wymogi naukowej ścisłości, gdyby jednak komuś chciało się na własne oczy zobaczyć dokładność i drobiazgowość, z jaką przeprowadzono te dwie obserwacje, to odsyłam do szczegółowego opisu prof. Swifta w „American Journal of Science” (116-313) oraz do technicznych szczegółów obserwacji prof. Watsona, przedstawionych w „Monthly Notices” (38-325).

Wydaje mi się, że przyjęta przez nas hipoteza poruszających się swobodnie, sterowanych ciał niebieskich jest bliższa rzeczywistości niż matematycznie wypracowane koncepcje, że w pewnej, względnie niewielkiej odległości od Ziemi, krążą po stałych orbitach dwie planety, które wszakże widuje się tylko od czasu do czasu, bez żadnej gwarantowanej regularności. Nasza hipoteza wydaje nam się w każdym razie nieco bardziej rozsądna niż masowa rzeź dokonana na Swifcie, Watsonie i dziesiątkach innych obserwatorów. Jeśli wszakże jej przyjęcie sprawia ból niektórym umysłom, to w odruchu litości, jaki nam się w tym momencie przydarzył, proponujemy coś, co może przynieść im ulgę. Na dwa miesiące przed obserwacjami Swifta i Watsona

tornado porwało w górę stodołę i konia...

Wszystkie nieznanne ciała w okolicy Słońca wiążą się jednak w jakimś, mniej lub bardziej prawdopodobnym stopniu z losem hipotetycznego Wulkanu. Od tego typu obserwacji nie jest jednak wolny i Księżyc. Na przykład w piśmie „Philosophical Transactions” (82-27) znajduje się relacja Williama Herschela, odnosząca się do niezidentyfikowanych błyszczących punktów, które zdarzyło mu się obserwować na, czy też w pobliżu – to nie jest całkiem jasne – powierzchni Księżyca, podczas pełnego zaćmienia tego ciała. Dlaczego miałyby znajdować się tam jakieś świecące punkty skoro sam Księżyc był niewidoczny? Pytanie to może nastrożać szereg problemów, będziemy tu jednak pisali jeszcze o pojawianiu się takich świetlistych obiektów w pobliżu nieoświetlonej nocą powierzchni Ziemi. Pojawia się tu także nowy czynnik – liczba mnoga.

Czy mamy zatem do czynienia z nowym aspektem życia międzyplanetarnego?

Światy w całych grupach, a może hordy stworzeń, hordy uskrzydłych obiektów – wcale bym się nie zdziwił, jeśli skończymy na odkryciu aniołów – stworzeń w maszynach, całe floty kosmicznych wędrowców.

W 1783 i 1787 r. Herschel obserwował więcej światła na Księżycu i ponad jego powierzchnią. Przypuszczał wtedy, że są to wybuchy wulkanów. Zdanie Herschela nie miało jednak więcej wagi, jeżeli akurat nie pasowało do ówczesnej składanki niż słowo jakiegoś Lesrbault, prowincjonalnego amatora. A warto tu może przypomnieć, że Herschel był pionierem używania teleskopów zwierciadłowych, odkrywcą Urana (1781) i człowiekiem, który wykazał, że Słońce nie tkwi nieruchomo w jednym punkcie przestrzeni, lecz porusza się z całym swym systemem.

Jasne punkty widziano także na Księżycu w listopadzie 1821 r. („Proceedings of the London Royal Society”, 2-167). Kilka innych przykładów podaje też Loomis w swej książce *Treatise on Astronomy*. O poruszającym się jasnym punkcie czytamy również w „Philosophical Transactions” (84-429). Autor relacji pisze, że przypominało mu to gwiazdę przesuwającą się nad Księżycem, „w następnym jednak momencie uświadomiłem sobie, że to niemożliwe”. Było to równo świecące ciało na ciemnej, nieoświetlonej części Księżyca.

W „Report of the British Association” z 1847 r. znajduje się informacja o obserwacji świetlistych punktów na tarczy Księżyca w czasie jego zaćmienia. Obserwatorowi zjawiska, panu

Rankinowi, przypominało to odbicia gwiazd. Nie jest to zbyt rozsądne wyjaśnienie, mamy jednak w „Annual Register” z 1821 r. takie światło, którego w żaden sposób nie można porównać z gwiazdami, ponieważ poruszało się ono z Księżycem. Widziano je przez trzy kolejne noce.

Kolejna informacja pochodzi z „Philosophical Transactions” (112-737), a dotyczy białej plamki na krawędzi ciemnej części Księżyca. Obok niej obserwowano również trzy mniejsze światła.

Istnieje w nas wszystkich zew pozytywizmu, którego aspektami są jednorodność, jedność i kompletność. Sam nieraz czuję jego działanie w odniesieniu do faktów, o których zamierzam mówić na następnych stronach. Leverrier przestudiował ponad dwadzieścia obserwacji, ulegając nieodpartej skłonności do myślenia, że chodzi tu o jeden i ten sam obiekt. Powiedziałbym, że jest to skłonność kosmiczna. Większość z tych obserwacji nie można było pogodzić z niczym, z żadną inną tezą prócz wolnych od stałych orbit, sterowalnych światów-konstrukcji, co zamknęło mu oczy na dwie trzecie z nich. Wybrał zatem tylko sześć: sześć pasujących do jego koncepcji dodatkowej planety, sześć dających złudzenie kompletności i jedyności.

A powiedzmy teraz, że znalazły się w naszym posiadaniu dane obserwacyjne o wielu ciemnych ciałach, lecz my również będziemy nieodparcie skłonni do interpretowania ich wszystkich jako odnoszących się do jednego obiektu. Jest to rodzaj myślowego zбочenia, choć powszechne zбочenia traktuje się jako normy.

Ciemne ciała, dryfujące lub żeglujące w międzyplanetarnej przestrzeni – i co może przyjść mi w związku z nimi do głowy? Książę Ciemności – Melanikus. Ogromny obiekt, może uskrzydłony jak super-nietoperz, czarny jak smoła, najpewniej jeden z krążących w całym Kosmosie wysłanników Pieła.

Oto niezwykle, uwieńczony śmiercią Wagnera i potężnym wybuchem wulkanu Krakatau, rok 1883. 17 grudnia owego roku londyński „Times” wydrukował list pewnego astronoma-amatora nazwiskiem Hicks Pashaw, który 24 września, znajdując się wówczas w Egipcie, obserwował przez swoją lunetę duży ciemny punkt w dolnej części tarczy słonecznej. Przyjmijmy, ponieważ nie mamy żadnej dodatkowej informacji o tym zjawisku, że była to zwykła plama słoneczna. Inny astronom, obserwujący nocą pewną gwiazdę zanotował, że coś ciemnego zasłoniło ją na trzy i pół sekundy. Niedaleko przeleciał meteor, lecz jego

błysk widać było tylko przez krótki moment. Obserwatorem tym był znakomity astronom Wolf („Nature”, 86-528).

Fakt, o którym teraz opowiem, jest jednym z najbardziej niezwykłych jakie znam, odnosi się jednak niestety do krótkiej, pojedynczej obserwacji. Chodzi mianowicie o ciemny obiekt obserwowany przez prof. Heisa w 1867 r., który przesunął się wolno na tle gwiazd Mlecznej Drogi („Report od the British Association”, 1867-427).

Jednym z naszych niby-argumentów, że nieorbitalne obiekty muszą być przez kogoś sterowane, jest kompletny brak jakichkolwiek doniesień o zauważonych kolizjach. Istnieją co prawda dwie fotografie komety Brooksa, zamieszczone w lutym numerze „Knowledge” z 1894 r., prezentowane jako dowód zderzenia się tego ciała z jakimś ciemnym obiektem. Zderzenie miało miejsce w październiku 1833 r. Według prof. Bernarda kometa „weszła w jakieś gęste środowisko, co spowodowało jej rozbitcie”. Co do mnie uważam, że mogła ona zderzyć się z krążącym polem lodu.

Melanikus.

Wiszący na swoich skrzydłach super-nietoperza nad naszą Ziemią i nad innymi planetami, eksploatując je może, potrzebując czegoś, zawieszony w ciemnościach międzyplanetarnej przestrzeni na skrzydłach czy też skrzydłopodobnych elementach, jak olbrzymi samolot, mierzący setki mil od końca do końca, czyhające w przestworzach gniazdo zła, mroczna siła, korzystająca z nas jak ze swoich zwierząt. Zaslania w swoim locie gwiazdy, potraça komety. Myślę, że jest to wielki, czarny, czający się w mroku wampir.

Według sprawozdania zamieszczonego w „Science”, w numerze z 31 lipca 1896 r., W. R. Brooks, dyrektor Smith Observatory, obserwował przez teleskop ciemny okrągły obiekt, przysuwający się dość wolno w pozycji horyzontalnej przed tarczą Księżyca. Zdaniem Brooksa był to ciemny meteor. Inny korespondent pisze w następnym numerze pisma, że mógł to być jakiś nocny ptak. Okrągły obiekt – ptak. Nie bądziemy mieli takich kłopotów, jak pomieszanie ptaka z meteorom, meteoru z ptakiem, jeśli przejdziemy do obserwacji o długim okresie trwania i wskazujących na rozmiary obiektu sięgające setek kilometrów.

Co do ciała widzianego przez Brooksa, to o podobnej obserwacji, dokonanej 4 kwietnia 1892 r. przez holenderskiego astronoma Mullera, donosi „Scientific American” (75-251). Więcej

szczegółów o obiekcie Brooksa podaje natomiast „Science Gospel” (3-135). Rozmiary obiektu wynosiły około jednej trzydziestej pozornej średnicy Księżyca, zaś czas przecięcia księżycowej tarczy wynosił cztery sekundy. Autor artykułu w „Science Gospel” pisze, że 27 czerwca 1896 r., o godzinie pierwszej w nocy, on również obserwował Księżyc przez pięciocentymetrową achromatyczną lunetę, gdy długi i ciemny obiekt przesunął się w soczewce lunety z zachodu na wschód, ruch ten zaś trwał około 3-4 sekund. Co mogło się przesuwać przed tarczą księżycą dla astronoma w 1896 r.? Tylko ptak. Samotna dzika gęś. Jednak dziwnym szczegółem nie zauważono trzepotania skrzydeł.

W „Astronomische Nachrichten” (nr 3477) znajduje się relacja dr. Brendela o dziwnym zjawisku w Griefswaldzie na Pomorzu. Pisze on, że miejscowy listonosz Ziegler i wiele innych osób, które akurat zadały sobie trud zadarcia głowy i obserwowania słońca, widziało ciemne ciało na niebie – przysuwające się przed tarczą słoneczną. Ciało to musiało się znajdować w znacznej odległości od Ziemi, a także oczywiście w dużej odległości od Słońca. Obiekt zauważono na kwadrans przed wejściem na tarczę słoneczną, czas przysuwania się przez nią wynosił około jednej godziny, przez taki okres czasu obserwowano również obiekt po opuszczeniu Słońca.

Myślę, że jest to olbrzymi czarny wampir, który czasem wisi nad Ziemią, a czasem odpływa ku innym planetom; wielki komiczny ptak, świat-ptak, krążący bezszelestnie pomiędzy niewolniczo toczącymi swe ciała po stałych orbitach satelitami Słońca.

W komunikacie dr. F. B. Harrisa, opublikowanym przez „Popular Astronomy” (20-398) czytamy, że 27 stycznia 1912 r. widział on na tarczy Księżyca „intensywnie czarny obiekt”. Według jego oceny „mógł on mierzyć około 400 km długości i 80 km szerokości. Przypominał czarną wronę, zawieszoną nieruchomo w powietrzu”. Napływające chmury przerwały dalszą obserwację.

Dr Harris pisze: „Jedno co mogę o tym myśleć to to, że zdarzyło się coś bardzo dziwnego i ciekawego”.

Nieodczytany kod

Badając coś po raz pierwszy, grzebiąc w ciemnościach, brnąc po omacku do przodu, nigdy nie wiemy, nie potrafimy przewidzieć, co po tym wszystkim będzie się nadawało do przyjęcia, a co okaże się śmieciem, śmieszoną pomyłką i fałszywym skarbem. Myślę, że gdyby pierwsi biolodzy słyszeli, iż na pewnych drzewach rosną różne gatunki ptaków, powinni by oni byli po prostu zapisać tę ciekawą informację o drzewach rodzących ptaki, bez odrzucania jej jako nieprawdopodobnej bajki. Czasowi i odpowiedniejszym warunkom należy pozostawić ocenę i selekcję takich dziwnych faktów.

Jedną z dolegliwości, którą staramy się jakoś złagodzić, lecz której występowania nie da się uniknąć, jest pomieszanie naszych danych, pierwotny chaos, przypominający pomieszanie Long Island z Florydą w umysłach pierwszych badaczy Ameryki. Sam mam wrażenie, że cała ta książka wygląda jak wczesna mapa Ameryki Północnej z wodami oblewającymi wybrzeże Syberii. Mam tu na myśli Monstratora i Melanikusa, jakiś inny świat, który jeśli ma kontakty z Ziemią, to tajne, ograniczone do jakiegoś ezoterycznego związku, zamkniętego zgromadzenia. Czy świat ten jest akurat Monstratorem lub Melanikusem, jakie są wzajemne relacje tych twórców – wszystko to będzie przedmiotem przyszłych badań i dociekań. Byłoby grubą niezręcznością i nietaktem rozwiązać wszystko od razu i nic nie pozostawić dla ewentualnych następców.

Chciałbym więc teraz, rzucając się chaotycznie tu i tam, przypuścić szturm na dziwny fenomen „mieczkowatych znaków”, które wyglądają na jakieś nieodczytane symbole komunikacji. A przecież nie mogą być środkami komunikacji pomiędzy mieszkańcami Ziemi, którzy szczęśliwie mają inne sposoby porozumiewania się niż dłubanie dziur w skałach. Moim zdaniem, te niewielkie wgłębienia w skalnych powierzchniach mogły powstać dzięki jakiejś zewnętrznej sile, działającej z du-

żej odległości i tłoczącej dla siebie znanych celów zakodowane informacje. Przypuszczam również, że mieczkowate znaki nie służyły nikomu z mieszkańców Ziemi do zapisywania czegokolwiek dla – założmy – utrwalenia pewnych wydarzeń czy uczczenia czegoś, gdyż wydaje mi się mało prawdopodobne aby ludzie mieszkający w Chinach, Szkocji i Ameryce wymyślili niezależnie taki sam system zapisu.

Mieczkowate znaki są sznurami niewielkich, krągłych wgłębień w litej skale. Czasami mają kształt pierścienia, innym razem – półkola. Wyspy Brytyjskie, Ameryka, Francja, Algieria, Palestyna: ich obecność odkryto prawie wszędzie – z wyjątkiem dalekiej północy. W Chinach niektóre skalne ściany są nimi dołownie upstrzone. Labirynt takich znaków znajduje się na stromych skałach otaczających Jezioro Como w Lombardii. Wielką ich ilość można spotkać w Hiszpanii i w Indiach. Należy tu podkreślić ich występowanie w regularnych rzędach. Zwraca na to uwagę prof. Douglas pisząc: „Jakośkolwiek był ich motyw, znaki te wskazują na zdecydowane upodobanie ich twórców do regularności” („Saturday Review”, 24 listopada 1883).

Wiele lat temu Canon Greenwell wysunął sugestię, że mieczkowate znaki mogą być archaiczną formą pierwszych ludzkich napisów, dla naszych poglądów bardziej jednak obiecujące są uwagi Rivett-Carnaca, że można by traktować alfabet Braille'a, czyli system wypukłych kropek, jako odwróconą wersję mieczkowatych wgłębień („Journal of the Royal Asiatic Society”, 1403-515). Rivett-Carnac zwrócił również uwagę na duże podobieństwo tych znaków do kodu Morse'a. Jednakże żaden usystematyzowany i oswojony archeolog nie może zrobić nic ponad to, że czasem wskaże na dziwne analogie i mimochodem zasugeruje, że tak regularne sznury wgłębień wyglądają na zakodowane informacje. Gdyby bowiem poszedł dalej tym tropem, gdyby przyjął, że są to rzeczywiście zakodowane napisy, nie byłoby innego wyjścia niż przypisanie ich pochodzenia z jednego źródła, czyli w konsekwencji przypisanie ich autorstwa takim istotom, dla których cała planeta była dostępna.

Jeszcze jedna rzecz, którą warto podkreślić: znaki owe występują często w podwójnych rzędach, przypominając jakby ślady jakiegoś czworonoga. Na pewnej skale w okolicach Ratho w Szkocji, zwanej zmiennie Głazem Czarownicy, widnieją dwadzieścia cztery wgłębienia tego typu o rozmiarach wahających się od 4 do 8 cm średnicy, ułożonych we względnie równe rzędy. Miejscowi ludzie mówią, że są to ślady łap jakiegoś mi-

tycznego psa. Podobne znaki rozrzucone są zresztą wokół Głazu Czarownicy w większej ilości, jakby w nerwowym pośpiechu telegrafowania, jakby powtarzano tu rozpaczliwie jakiś sygnał.

W hrabstwie Inverness wgłębienia takie nazywają „śladam i skrzatów”, w Norwegii noszą one miano „końskich kopyt”. Skały w okolicach Clare w Irlandii poznaczone są odciskami pozostawionymi według miejscowych legend przez mityczną krowę („Folklore”, 21-184). Pewien starożytny chiński przekaz, mówi, że na kamiennym dziedzińcu jednego z chińskich pałaców jego mieszkańcy odkryli pewnego ranka wgłębień przypominających ślady kopyt wołu. Uznano wówczas, że są to ślady diabła („Notes and Queries”, 9-6-225).

Rozdział XVI

Hordy

Hordy aniołów. Istoty zbite w masy jak chmary dusz, jak gęste obłoki zmieszanych tchnień duchowych, malowanych tak często przez Gustawa Dore'a.

Może się jeszcze okazać, że Droga Mleczna jest kompozycją aktywnych, zamrożonych i ostatecznie zawieszonych w doskonałej nieruchomości aniołów. Aniołów, które osiągnęły absolutną harmonię.

Będziemy jeszcze mieli dane na temat małych Dróg Mlecznych poruszających się żwawo w przestrzeni, dane o chmarach aniołów, które nie osiągnęły jeszcze stanu zamrożenia w absolutnie i wciąż prowadzą dynamiczną egzystencję – czyli egzystencję niższego rodzaju. Osobiście podejrzewam, że gwiazdy stałe są rzeczywiście stałe i że nieznaczące ruchy, które z nich wykryto okażą się iluzją. Uważam je za byty absolutne, pograżone w boskim, kontemplacyjnym bezruchu. Ich mruganie jest złudzeniem. Myślę też, że wkrótce po śmierci Leverriera zostanie odkryta nowa gwiazda. Przypuszczam również, że Drogi Mleczne niższego czyli dynamicznego rzędu były już często obserwowane przez astronomów. Oczywiście może się też okazać, że zjawiska, którym poświęcimy kilka następnych stron, nie są nawet odrobinę anielskie. Jak bowiem przystało na istoty żyjące w mroku macamy sobie dookoła, żeby sprawdzić co ewentualnie możemy uznać za naszą tak zwaną wiedzę. Niektóre z naszych danych wskazują na istnienie korpulentnych i zadowolonych z siebie turystów, podróżujących dla leniwej, gnuśnej przyjemności po różnych zakątkach przestrzeni międzyplanetarnej, mamy też jednak dane o innych, chudych i głodnych, krążących niespokojnie w poszukiwaniu łupu. Przypuszczam, że tam, w międzyplanetarnej przestrzeni pojawiają się również czasami wodzowie, super-tamerlanowie, stający na czele zgłodniałych hord kosmicznych niszczycieli, które już nieraz lądowały na Ziemi, niszcząc cywilizacje odległych epok,

tepiąc ich przedstawicieli do ostatniej duszy i zostawiając po nich jedynie zgłiszczą, trochę kości, zniszczone budowle; późniejsi zaś historycy wymyślili dla tych przerażających katastrof swoje ekskluzjonistyczne, prawdopodobnie brzmiające teorie. W obecnych czasach jednakże coś zdolało sobie zapewnić do nas legalne prawo, używając nas, eksploatując, lecz jednocześnie chroniąc przed najazdami i eksterminacją. Jest to – powiedziałbym – zaleta wszelkiej eksploatacji. Powiedziałbym nawet, że obecne generacje mieszkańców Ziemi znajdują się pod troskliwą uprawą, jak plantacja truskawek i że mamy nawet niejasną świadomość tego stanu, wolimy jednak wszystkie nasze osiągnięcia przepisywać pewnym wyższym i szlachetnym instynktom, które są rzekomo wrodzone naszej naturze.

Przeciwno tym i innym pomysłom staje poczucie ostateczności, poczucie wypełnienia i osiągnięcia najdalszych, możliwych do osiągnięcia granic, poczucie, które staje przeciwko wszelkiemu posuwaniu się naprzód. Oto dlaczego uważamy akceptację za lepszy rodzaj przystosowania myślenia do rzeczywistości niż wiara. Silna wiara daje człowiekowi siłę obstawania przy swoim, niszczy zaś potrzebę myślenia i poszukiwania, nasacza umysły pewnością siebie i pychą. Akceptacja jest tylko warunkowym uznaniem jakiegoś twierdzenia, teorii, opinii, niepodważalnego faktu; jest czasowym przystankiem w nieustannej wędrówce pytających myśli; nie zamyka się okien, trzyma się je otwarte, wiatr wpada i hasa, przynosząc co popadnie: zwiędłe źdźbła, suche liście, a czasem zapisane jakimś niewyraźnym pismem kartki. Różne echa przynosi wiatr, namawiając nas do porzucenia nawet tego czasowego schronienia i namawia do wyruszenia w dalszą drogę. A wśród rzeczy istotnych najważniejszy jest fakt, że dopóki wiara i pewność nie zamyka nas w ciasnym kokonie pozornego bezpieczeństwa, jesteśmy dziećmi, dla których wszystko jest możliwe: niebo zaludniają tabuny różnych stworzeń, podziemne moce zmagają się w okropnych konwulsjach z krępującymi je więzami, przeszłość jest szeregiem gestych zasłon, a za każdą z nich kryje się niespodzianka.

Zatem przeciwko naszym przypuszczeniom i fantazjom staje silna wiara, że wszystko już wiemy; jeśli chodzi na przykład o przestrzeń międzyplanetarną – że wszystko zostało zbadane. Pozostało oczywiście jeszcze trochę szczegółów do uzupełnienia, wszelako jeśli chodzi o jakieś ważniejsze elementy, to nie należy się spodziewać żadnych sensacji. Poczucie ostateczności,

nieodwołalności i rozstrzygnięcia wszystkiego, poczucie, które tak chętnie kojarzy się z iluzją jednorodności, prowadzi jednak bardzo często do śmieszności.

Kropla wody. W zamieszchłych czasach wodę uważano za substancję tak jednorodną, że pierwsi filozofowie uznawali ją za jeden z podstawowych składników materii Wszechświata. Pojawił się mikroskop – i nie tylko rzekomo jednorodny element ujawnił swą różnorodność – lecz jeszcze okazało się, że istnieje w nim niewidzialne, mikroskopijne, bujne życie. Ktoś patrzy w niebo widząc względną jednorodność tego, co po prostu nie zostało dokładnie zbadane. Ktoś myśli tylko o kilku rodzajach zjawisk. Nic tam w gruncie rzeczy się nie dzieje. Pusto, ciemno i glucho.

Co do mnie, to przyjmuję raczej – i to nie dla kaprysu, ale pod presją zgromadzonych faktów – istnienie w przestrzeni międzyplanetarnej mnóstwa różnych bytów. Bytów tak odmiennych od planet, komet i meteorów, jak Indianie różnią się od bizonów i preriowych piesków. Kiedyś wszystko to pewnie obejmie jakaś super-geografia czy celestiografia, zajmując się nie tylko szerokimi przestrzeniami podobnymi do stojących wód, lecz także super-niagarami i super-amazonkami. Powstanie pewnie także super-socjologia badająca, klasyfikująca i opisująca podrózników, turystów, myśliwych i niszczycieli. Polujących i ofiary, handel, piractwo, misje i kosmiczną super-ewangelizację.

„Monthly Notices of the Royal Astronomical Society” (11-48) publikują list pewnego astronoma-amatora, wielbego W. Reada, który pisze, że 4 września 1851 r. widział wielką gromadę świecących ciał, przecinających pole widzenia jego teleskopu; niektóre poruszały się powoli, niektóre dość szybko. Większość z nich przesuwiała się ze wschodu na zachód, niektóre jednak zmierzały z północy na południe. Ich liczba była niesamowita, przepływały bowiem przed szklami teleskopu zdumionego pana Reada przez sześć kolejnych godzin.

Komentarz redakcji: „Czy nie należałoby przypisać tych zjaw jakims zaburzeniom nerwów wzrokowych obserwatora?”

Na takie dictum w następnym numerze pisma ukazała się odpowiedź pana Reada, że jest on doświadczonym i dokładnym obserwatorem, wyposażonym w dobre instrumenty i mającym za sobą dwudziestoosmioletni staż w tej dziedzinie. „Nigdy jednak nie doświadczyłem podobnych zjaw” – pisze pan Read. Redakcja przeprosiła i wycofała swe zarzuty.

W tym samym numerze pisma, w którym ukazała się odpowiedź pana Reada, opublikowano też list innego astronoma-amatora, W. R. Dawesa, który widział podobne obiekty w sierpniu i uważał, że były to tylko unoszące się w powietrzu nasiona jakichś roślin. Pan Read przedstawił z kolei swoje stanowisko w liście do prof. Baden Powella z British Association informując, że obiekty które obserwował nie miały tego samego charakteru, co obiekty widziane przez pana Dawesa i neguje możliwość, że były to jakieś nasiona. Powietrze – jak pisze – było zupełnie nieruchome, a ponadto ciała te napływały od strony morza, gdzie trudno się raczej spodziewać jakichś roślin zapelniających powietrze swymi nasionami. Obiekty, które oglądał miały ponadto okrągłe, ostro zarysowane i dobrze widoczne kształty; żaden z nich nie miał pierzastego i puchowego wyglądu nasion ostu, który ewentualnie można by brać pod uwagę o tej porze r. Następnie zaś cytuje fragment listu C. B. Chalmersa, członka Royal Astronomical Society, który widział podobny strumień świecących ciał, jakby procesję lub migrację, z tym, że niektóre z obserwowanych przez niego obiektów były raczej wydłużone niż okrągłe.

Pan Henry Waldner pisze w „Nature” (5-304), że 27 kwietnia 1863 r. obserwował wielką ilość małych świecących ciał, zdążających z zachodu na wschód. Zwróciwszy się z prośbą o wyjaśnienie tego zjawiska do dr. Wolfa z obserwatorium w Zurichu, pan Waldner dowiedział się od niego, że podobnie świecące ciała obserwował 11 maja 1845 r. pan Capocci z Obserwatorium Capodimonte w Neapolu. Waldner pisze również, że kształty tych obiektów były rozmaite, a w niektórych widoczne były jakieś wystające części, forma innych przypominała gwiazdę. Istotną zaletą tej obserwacji jest fakt, że w kwietniu nie może być mowy o żadnej pomyłce spowodowanej unoszeniem się w powietrzu dużej ilości różnych nasion.

Chmury małych obiektów, ciemnych tym razem, obserwowali astronomowie Herrick, Buys-Ballot i De Cuppis („L'Annee Scientifique”, 1860-25); wielką liczbę małych ciał, których ruch był widoczny na tle tarczy Księżyca, obserwował pan Lamey („L'Annee Scientifique”, 1874-62); inny przykład ciemnych chmur, obserwowanej przez pana Messiera 17 czerwca 1777 r., podaje w swoich dziełach Arago („Oeuvres”, 9-38); wielką liczbę świetlistych ciał, które wyglądały jak gdyby wylatywały ze Słońca, zmierzając w różnych kierunkach, obserwował w Hawanie, w czasie zaćmienia Słońca 15 maja 1836 r., prof. Auber

(„L'Astronomie”, 1886-391); znaczną liczbę małych ciał, przesuwających się na tle tarczy słonecznej, niektóre szybko, niektóre powoli, większość z nich o okrągłych kształtach, lecz zdarzały się także trójkątne. Inne znów, o skomplikowanej strukturze, obserwował pan Trouvelet, który uważa że niezależnie od tego czy były to nasiona, insekty, ptaki lub jakiegokolwiek inne obiekty rodem z Ziemi, nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego do tych form („L'Annee Scientifique”, 1885-8). Relację o wielkiej liczbie takich ciał, przesuwających się na tle tarczy słonecznej przez kilka tygodni, od grudnia 1875 do 22 stycznia 1876 r., publikuje również „La Nature” (1876-384). Zanotowano to zjawisko w obserwatorium na przedmieściach Rio de Janeiro. Niektóre z obserwowanych ciał były świetliste, inne zaś ciemne. Natomiast w „Nature” (22-64) czytamy, że 22 marca 1880 r. w miejscowości Kattenau w Niemczech obserwowano na pół godziny przed wschodem słońca „ogromną liczbę świetlistych ciał, które tryskały spoza horyzontu i zmierzały następnie horyzontalnie ze wschodu na zachód”. Uderza w tym opisie uwaga, że „wszystkie one emanowały niezwykle jasnym blaskiem”.

Czuje, że zaczynamy się już dusić pod nawalem faktów, nie wolno nam jednak mieć dla siebie zbyt łatwej litości. To właśnie jest rola faktów: dusić nas, ogłuszać, gwałcić, dopóki się nie ugniemy i coś się w nas nie przeobrazi.

Mamy więc jeszcze pewien niezwykle fenomen, opisany przez porucznika Herschela, który w czasie obserwowania Słońca – działo się to 17 i 18 października 1870 r. w Bangladore, w Indiach – zauważył jakieś dziwne ciemne cienie przemykające na tle słonecznego dysku i przybierające po jego opuszczeniu świetlistą postać. Ciała te przesuwaly się nieprzerwanym strumieniem przez dwa kolejne dni, można więc było dokładnie zauważyć, że różniły się one między sobą rozmiarami i prędkością ruchu. Zastanawiając się nad tym zjawiskiem pan Herschel pisał: „Ponieważ był to nieprzerwany strumień, płynący przez dwa pełne dni w górnych warstwach atmosfery, brak osobników odpadających od głównego nurtu zakrawa na cud historii naturalnej, jeśli nie astronomii” („Monthly Notices”, 30-135). Nastawiał on również ostrość soczewek na różne odległości i widział coś, co określa jako skrzydła lub jakieś przejrzyste przydatki. Zobaczył też coś tak dziwnego, że w pełni swej dziewiętnastowieczności napisał: „Nie mogło być dłużej żadnych wątpliwości, była to szarańcza lub jakiś rodzaj much”.

Jeden z obiektów zatrzymał się w miejscu.

Przez chwilę wisiał nieruchomo, a potem pomknął znów dalej. Redakcja pisma komentuje, że w tym samym czasie niektóre rejony Indii były istotnie dotknięte plagą szarańczy.

Nasz komentarz jest odmienny. Z tego co wiemy o szarańczy, to na dużych wysokościach marznie ona i spada tysiącami na ziemię, porucznik Herschel pisze zaś, że przez dwa dni nie widział ani jednego osobnika, który by odpadł od płynącego w powietrzu – niewątpliwie bardzo wysoko – strumienia. W jednym z numerów „Nature” (30-135) znaleźliśmy informację, że właśnie w Indiach, w górach, na wysokości około 3800 m, widziano „roje szarańczy, opadającej i umierającej tysiącami”. Zresztą, niezależnie od tego czy leci ona wysoko, czy nisko, nikt się specjalnie nie zastanawia nad naturą zjawiska, czyli nad tym, co się dzieje w powietrzu, wiadomo bowiem, że to szarańcza płynie nad głową: wszystko jest jasne z powodu opadających maruderów. Specjalnie przejrzałem w tym celu różne relacje – nigdzie nie ma nastroju tajemnicy. We wszystkich relacjach wspomina się o deszczu maruderów, opadających gdzie popadnie.

A teraz przejdźmy do przypadku pod wieloma względami nadzwyczajnego. Czy są to bowiem super-podróżnicy, super-niszczyciele, anioły, obdarci włóczykije, krzyżowcy, emigranci, czy też powietrzne słonie i dinozaury, jedno jest pewne – mają skrzydła. Istnieje bowiem zdjęcie jednej z tych istot – i w całej historii fotografii nie ma zapewne bardziej niezwykłego i ważnego zdjęcia niż to właśnie.

Cała sprawa opisana jest w roczniku „L’Astronomie” z 1885 r. (s. 347-349), gdzie również znajduje się wspomniana fotografia. Wykonano ją w Obserwatorium Zacatecas w Meksyku, 12 sierpnia 1883 r. – znów ten niezwykły rok – na wysokości 2500 m n.p.m. Obserwujący tego dnia Słońca astronom, pan Bonilla, zauważył wielką liczbę świetlistych obiektów, które pojawiły się na tle słonecznej tarczy. Chcąc podzielić się wiadomością z innymi astronomami, pan Bonilla zatelegrafował natychmiast do Obserwatorium Miasta Meksyku i do obserwatorów w Pueblo, otrzymując wkrótce odpowiedzi, że w żadnym z tych obserwatoriów nie zauważono podobnych zjawisk. Biorąc pod uwagę dzielące go od Meksyku i Pueblo odległości, pan Bonilla doszedł do wniosku, na podstawie wynikającej stąd paralaksy, że oglądane przez niego ciała „przelatywały we względnie niewielkiej odległości od Ziemi”, wyjaśniając w swej relacji, że miał na myśli odległość mniej-

szą niż orbita Księżyca. Udało mu się także zrobić fotografię jednego z tych ciał.

Widzimy na niej wydłużony jak cygaro obiekt otoczony jakąś nieokreśloną strukturą, podobną do mgiełki znajdujących się w szybkim ruchu skrzydeł.

Wielka czarna rzecz. Egipskie ciemności

Wielka czarna rzecz, wyglądająca jak niesamowitych rozmiarów wrona, która zawisała wysoko w powietrzu. Zakładając, że będziemy mieli jakiegoś czytelnika, pozwólmy mu, czy też nawet im obojgu – jeśli osiągnę aż taką popularność – zauważyć, jak niejasno i mgliście ta czarna rzecz wygląda z perspektywy zaledwie dwóch rozdziałów.

Zachodzi pytanie, czy był to jakiś obiekt, czy też cień obiektu? Przyjęcie jakiegokolwiek z tych opcji zakłada nie tylko zwykłą rewizję niektórych danych, lecz rewolucję w całej astronomii. Fakt ten ma zatem dla nas bardzo istotne znaczenie, jako jedna z najważniejszych obserwacji wzmacniających naszą hipotezę, że Układ Słoneczny przemierzają i być może kontrolują wielkie, ciemne, planetarnych rozmiarów obiekty. Stoimy też na stanowisku, że obiekty te były już obserwowane. Widziano je bezpośrednio lub jedynie ich cienie. Jak na razie mamy jednak tylko tę jedną wronę, wiszącą nieruchomo nad Księżycem. Zaś jeden przykład to nie jest w ogóle przykład.

W „Popular Science” (34-158) czytamy o cieniu, który astronom Schroeter dostrzegł w 1788 r. podczas obserwacji Księżyca Alp. Najpierw – ta część Księżyca była jeszcze nieoświetlona – zauważył światelko, następnie – gdy rejon ten wszedł w zasięg promieni słonecznych – zobaczył w miejscu, gdzie przedtem było światło, okrągły cień. Moim zdaniem widział on najpierw jakiś świecący lub błyszczący duży obiekt – musiał być duży skoro był widoczny z Ziemi – zawieszony nad powierzchnią Księżyca, następnie zaś oglądał jeden cień. Pan Serviss, który opisuje to wydarzenie, oczywiście od ręki je wyjaśnia. Inaczej nie byłby profesorem Servissem. Uważa on mianowicie, że Schroeter widział „okrągły” cień góry, zakładając widocznie, że Schroeter nigdy więcej nie spojrział w to samo

miejsce Księżyca, żeby się przekonać czy cień jest tam jeszcze, czy już go nie ma. W tym właśnie tkwi sedno sprawy. Oczywiście człowiek z wyobraźnią może z łatwością wykoncypować sobie górę, która rzuca okrągły – a to znaczy oderwany od niej – cień. Nic trudnego. Pod warunkiem, że góra unosi się w powietrzu.

Mamy teraz kolejny fakt. Myślę, że nawet bardziej niezwykły niż ta wielka czarna rzecz, która wisiała nad Księżycem jak wrona. Mianowicie pewien członek Royal Astronomical Society, M. C. Russell, opowiada w „Observatory” (2-374) jedną z najbardziej dzikich i niedorzecznych historii, jaką udało nam się eks-humować. Opisuje on, jak wraz z innym astronomem, G. D. Hirstem, przebywali w Górach Błękitnych koło Sydney, gdzie Hirst obserwował Księżyc. Noc była czysta i cicha, warunki obserwacji doskonale i nagle tego spokojnego człowieka ogarnęło podniecenie, gdyż w pewnym momencie zobaczył coś, co wedle słów Russella należało „do tych istotnych faktów, które powinno się zapisywać w księgach, choć na razie nie można przedstawić ich wyjaśnienia”. I dalej, z niezwykłą w tym świecie eterycznej wrażliwości beczelnością, Russell opisuje jak to Hirst ujrzał, że znaczna część Księżyca była pokryta głębokim cieniem, podobnym do cienia Ziemi rzuconego na Księżyc w czasie jego zaćmienia. I tu następuje kulminacja tupetu, niestosowności, niedorzeczności – lub oświecenia: „Trudno się było oprzeć wrażeniu, że był to cień, jednakże nie mógł to być cień żadnego ze znanych ciał niebieskich”.

Co do samych zaćmień Księżyca, to nie są to również zjawiska zwykle i proste, jak się na ogół sądzi. Mamy oto artykuł w „Monthly Notices” (8-132) zatytułowany „Godne uwagi zjawiska w czasie pełnego zaćmienia Księżyca 19 marca 1848 r.” Cytuje się w nim wyjątki z listu pana Forstera z Brugii, że w okresie przypadającym na przewidywane całkowite zaćmienie Księżyca ciało to świeciło z trzykrotnie większą intensywnością niż zwykle się obserwowało w takich przypadkach. Konsul brytyjski w Gandawie, który nie wiedział o mającym nastąpić zaćmieniu, zwrócił się nawet do pana Forstera z prośbą o wyjaśnienie „krwawej barwy” księżyca. Obserwacje Forstera potwierdza list innego astronoma, pana Walkeya, który pisze, że zamiast oczekiwanego zaćmienia Księżyc nabrał przepięknej „ciemnoczerwonej barwy”, zaś świecił tak, jakby nie było żadnego zaćmienia. Tak więc nie tylko, że zdarzają się zaćmienia nierozpoznane przez astronomów jako takie, lecz niepewność

i względność, wdziera się w ich własne, na pozór regularne i przewidywalne zjawiska.

Co do zaćmień nieregularnych, czasem równie głębokich jak te, które zostały konwencjonalnie-oficjalnie uznane, to mamy dane, że było ich niemało we względnie nieodległych czasach. Szczególnie ciekawe są przypadki, gdy w jakimś miejscu na Ziemi zapadały ciemności w środku dnia, lecz przyczyn zaćmienia nie można było odnieść do żadnego znanego ciała, czyli – krótko mówiąc – do Księżyca. Kilka aluzji na ten temat zawierają „Notes and Queries”. Oczywiście nie musiały to być konieczne zaćmienia, tak czy owak jednakże tego rodzaju ciemności pozostają niepokojącą zagadką. W „Notes and Queries” (2-4-139) mamy na przykład relację o ciemnościach, jakie zapadły w Holandii w samym środku dnia, a były tak intensywne i przerażające, że wiele ogarniętych paniką osób straciło życie wpadając do kanałów. „Gentleman's Magazine” (33-414) informuje natomiast o mroku, który zapadł nad Londynem 19 sierpnia 1763 r., a był „głębszy niż w czasie zupełnego zaćmienia w 1748 r.”

Nie musimy jednak grzebać w tak odległej przeszłości, a jeśli ktoś jest zainteresowany tymi wydarzeniami w szczególności sposób to lista historycznych „egipskich ciemności” znajduje się w *Kosmosie* Aleksandra Humboldta. My natomiast mamy kilka nowszych faktów.

Oto „Monthly Weather Review” z marca 1886 r. opisuje za lokalną gazetą ciemności, które zapadły nad miastem Oshkosh, w stanie Wisconsin, 19 marca, o trzeciej po południu. Czytamy więc, że prawie nagle, gdyż zaledwie w ciągu pięciu minut, mrok zgęstniał do tego stopnia, że było ciemno jak w nocy.

Konsternacja i przerażenie.

Myślę, że ogólnie mamy skłonność do przesadnego podkreślenia własnej wyższości w stosunku do ludzi ubiegłych epok, zwłaszcza do strachów i absurdalnych lęków średniowiecza. Wyobraźmy więc sobie Oshkosh: ludzi wijących się w panice na ulicach, chrapiące konie, wyjące psy, dzieci i kobiety chroniące się w piwnicach. Koniec świata, Sodoma i Gomora, wszelako z drobnym współczesnym akcentem – zamiast wynoszenia na próg świętych obrazów włączono gazowe latarnie.

Ciemności te, które trwały około dziesięciu minut, zdarzyły się w dniu pochmurnym, lecz jasnym, a przeszły jak fale, od zachodu na wschód, za nimi zaś podążała jasność. Następnie nadeszły doniesienia z miasteczek leżących na zachód od Oshkosh, że nad nimi również przeszła fala podobnych ciemności.

„Monthly” podaje również inne przykłady takich zjawisk, z konwencjonalnym komentarzem, że we wszystkich przypadkach chodziło o masy bardzo gęstych i ciemnych chmur. Niektóre z tych przykładów są bardzo interesujące, na przykład głębokie ciemności w Memphis, które zapadły 2 grudnia 1904 r., o dziesiątej rano i trwały kilkanaście minut. Według relacji świadków w niektórych częściach miasta ludzie ogarnęła panika: krzyczeli, odmawiali modlitwy i uważali, że nadszedł koniec świata. W Louisville, w stanie Kentucky, gęsty mrok, który ogarnął miasto o ósmej rano 7 marca 1911 r., trwał około pół godziny. W tym samym czasie padał też umiarkowany deszcz, a potem grad: „Intensywna czerń i złowroźny wygląd tej burzy wzniesił w mieście panikę i uczucie grozy”. Mamy tu wszelako nieograniczoną możliwość pomieszenia zaćmień Słońca spowodowanych przez jakieś nieznanne ciemne ciało i zwykłych, to znaczy ziemskich, fenomenów atmosferycznych.

Ciemności, które zapadały na dużych obszarach, konwencjonalna szkoła tłumaczy kłębamii dymu z płonących lasów. Z taką właśnie interpretacją podaje listę osiemnastu przypadków tego rodzaju w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie F. G. Plummer („U. S. Forest Service Bulletin”, nr 117). Jego pewność wydaje się jednak nieco nadwężona przez pojawiający się nieśmiało nowy sposób myślenia. Trudność, do której się przyznaje – choć gdyby pisał o dekadę wcześniej zapewne pominąłby ją – polega na niezwyklej gęstości mroku. Zwyczajne zadymienie nie może spowodować, jak pisze, tak „ciemnych, budzących przerażenie dni”. Wymyśla więc różne wiry w powietrzu, które rzekomo powodują nadzwyczajne koncentracje dymu w jednym miejscu. Potem zaś z brakiem konsekwencji i harmonii, typowym dla rozumowania próbującego usilnie osiągnąć konsekwencję i harmonię, mówi o rozległych obszarach, na jakich w niektórych przypadkach takie ciemności panowały. Wysiłek pana Plummersa, by wnieść jakiś porządek w tę niewielką gromadkę zjawisk, kończy się ogólnym zamieszaniem, gdy niepomyślny swych wirów i koncentracji stwierdza, że wiele z tych zjawisk miało miejsce „przy bardzo spokojnym, a nawet nieruchomym powietrzu”, czyli nawet bez dowodu, że chodziło tu o dym, z wyjątkiem faktu, że gdzieś w tym czasie płonęły lasy. Wszelako z osiemnastu jego przykładów byłbym skłonny spierać się poważnie tylko z jednym, wspomnianym już zresztą wcześniej, w rozdziale poświęconym czarnym deszczom. Chodzi tu o ciemności, które zapadły nad znaczną częścią pogranicza Sta-

nów Zjednoczonych i Kanady 19 listopada 1819 r.

Według ówczesnych przekazów towarzyszyły im wówczas światła na niebie. I opad czarnej substancji. I wstrząsy podobne do trzęsienia ziemi.

W owym czasie jedyny poręczny pożar miał miejsce na południe od rzeki Ohio. Z tego co wiem o pożarach, to sadze z bardzo wielkiego kataklizmu mogą dotrzeć z południa Ohio i spaść w Montrealu, jakieś dziwne odbicie światła też ostatecznie mogą się przydarzyć, jednakże nie ma takich trzęsień ziemi, które by można przypisać pożarowi lasu. Z drugiej zaś strony mamy nasze przypuszczenia, że głębokie ciemności, opady różnych substancji, światła na niebie i trzęsienia ziemi mogą być zjawiskami towarzyszącymi zbliżaniu się do naszej planety jednego z owych wielkich, swobodnie krążących ciał niebieskich, o których piszemy w tej książce.

Ciemności w Wimbledon, 17 kwietnia 1904 r. („Symons' Meteorological Magazine”, 39-69) nadciągnęły z rejonu gdzie nie unoszą się żadne dymy, nie było deszczu ani grzmotów, trwały przez dziesięć minut, kiedy to ludzie poruszali się po omacku.

Oczywiście ciemności na Wyspach Brytyjskich mogą się kojarzyć z gęstą mgłą, lecz oto w „Nature” (25-289) czytamy obserwację majora J. Herschela na temat ciemności, które zapadły nad Londynem o wpół do jedenastej przed południem, 22 stycznia 1882 r. Były one tak gęste, że nie można było dojrzeć osób po przeciwnej stronie ulicy, „jednakże – jak pisze major Herschel – należy stwierdzić stanowczo, że nie mieliśmy tu do czynienia z gęstą mgłą”.

Dziwne zdarzenie opisuje w „Annual Register” brytyjski wyślanik do Persji, Charles A. Murray. Oto w czasie jego pobytu w Bagdadzie, 20 maja 1857 r., w środku dnia, miasto ogarnęły „ciemności głębsze niż w najciemniejsze noce, gdy nie widzi się ani gwiazd, ani księżyca”. I nieco dalej: „Po krótkim czasie głęboką czerń zastąpił niesamowity, czerwony mrok, jakiego nie widziałem nigdy w żadnej części świata. Miasto ogarnęła panika. Wreszcie z nieba spadł gęsty tuman czerwonego piasku”.

Ta ostatnia wzmianka sugeruje możliwość konwencjonalnego wyjaśnienia, że był to *samum*, gorący wiatr znad pustyni, niosący zwykle chmury piachu, lecz pan Murray pisze, że przeżył już niejedno *samum* i że w tym przypadku nie było to owo dobrze mu znane zjawisko.

Szeroki zakres naszego podejścia do tematu powoduje, że

mamy teraz zamiar zrobić użytek z danych dotyczących zjawisk, które towarzyszą ciemnością. Wszystko to jest bardzo skomplikowane i niezwykle, stąd nasze traktowanie całej sprawy ma charakter impresjonistyczny i wyrywkowy, czas już jednak byśmy wspomnieli o elementarnych zasadach zaawansowanej sejsmologii, czyli o głównych zjawiskach towarzyszących zbliżaniu się jakiegoś wędrującego świata do naszej uwiązanej na kolku planety.

Gdyby jakieś wielkie, solidne ciało albo superkonstrukcja miało wejść w ziemską atmosferę, to możemy przyjąć, że mogłoby ono czasami, w zależności od jego prędkości własnej, przybrać świetlistą postać lub formę chmury ze świecącym jądrem.

Do problemu świecenia, które nie jest czynnikiem rozgrzania powierzchni ciał spadających z nieba jeszcze wrócimy, teraz zaś przyjmijmy założenie, że inne światy często zbliżają się do tej planety i że mniejsze obiekty, od wielkością zbliżonych do przeciętnego stogu siana po bryły o rozmiarach kilkudziesięciu drapaczy chmur, przedzierają się często przez ziemską atmosferę. Dotąd jednak myłono je z chmurami, gdyż na ogół spowijają je kłęby chmur. Wynbika to może stąd, że wokół tych, przybywających z mroźnej przestrzeni międzyplanetarnej obiektów wilgoć znajdująca się w ziemskiej atmosferze ulega gwałtownej kondensacji, otaczając poruszające się wolno mroźne jądro gęstą, maskującą powłoką chmur. W każdym razie relacja S. W. Cliftona z Freemantle, w zachodniej Australii, zdaje się sugerować istnienie takich zjawisk. Pan Clifton opisuje w sprawozdaniu wysłanym do obserwatorium w Melbourne, jak to na bezchmurnym niebie ukazała się niewielka, dość równo pływająca, ciemna chmura, która nagle eksplodowała w ognistą kulę wielkości tarczy Księżyca („Nature”, 20-121).

Czy to nie dziwne, że chmury towarzyszące gwałtownym tornadom opisywano często jako niezwykle ciężkie gęste formy, posiadające niemal konsystencję ciał stałych – i jestem skłonny wierzyć, że niekiedy nie było to tylko wrażenie, możemy bowiem założyć, że niektóre tornada, czy raczej zjawiska mechanicznie klasyfikowane jako tornada, były raczej wspomnianymi wyżej obiektami, które przebijając się przez atmosferę powodowały duże zmiany ciśnienia, niszcząc również swą ogromną masą wszystko, co stało im na drodze, wznosząc się, opadając i ostatecznie znikając w przestworzach; dowodząc wszelako, że grawitacja nie jest taką siłą, za jaką się ją uważa, skoro stosunkowo wolno poruszające się obiekty mogą zbliżać się do po-

wierzchni Ziemi, posuwać się przez jakiś czas tuż nad nią i wrócić w przestrzeń jak odbita piłka.

Istnieje zresztą *meteorologiczny fenomen, opisywany właśnie jako „chmury odbijające się o ziemię jak piłka”*.

Jednakże tendencja do konwenconalnego powiązania tornad z naturalnymi ruchami mas powietrza jest już w stanach Zjednoczonych tak utrwalona, że za obiektem, który wpadł w ziemską atmosferę jak szalejący wariat i pędził, wznosząc się i opadając, musimy rozejrzeć się chyba gdzie indziej.

Oto mamy więc magazyn „Nature” (7-112), który powołując się na korespondencję w „Birmingham Morning News” informuje, że 7 grudnia 1872 r., w samym środku dnia, pojawił się nad King’s Sutton, Banbury, obiekt wielkości stogu siana, pędzący w koronie dymu i płomieni z łomotem głośnym jak łomot pociągu: „Czasami leciał on wysoko w powietrzu, a czasem zniżał się tuż nad ziemię”. Efekt przelotu przypominał tornado – powalone drzewa, płoty i ściany. Trudno byłoby dziś szukać świadków i weryfikować całą historię, istnieje wszakże lista osób, których posiadłości doznały wówczas uszczerbku. Według opisu w „Nature” obiekt zniknął „znieścacka”, co naszym zdaniem może oznaczać nagle uniesienie się w górę i opuszczenie atmosfery ziemskiej.

Zjawiska tego rodzaju możemy traktować jako odnoszące się do niewielkich obiektów, czegoś w rodzaju pociągów, które wyskoczyły z szyn w czasie jazdy, jednakże możemy się również natknąć na wielkie, ciemne ciała, które zbliżają się powoli i statecznie do naszej planety, otulone powłoką ziemskich – lub może swoich własnych – chmur, wywołując trzęsienia ziemi i gwałtowne zakłócenia grawitacji, w czasie których może się też zdarzyć opadanie jakichś fragmentów z powłoki wiszącego nad ziemią ciała, a także unoszenie się różnych przedmiotów z jej powierzchni. Opadanie, wznoszenie się, wymiana materii – proces, który w zaawansowanej sejsmologii otrzyma może nazwę celestiometeatezy.

Musimy więc zwrócić uwagę na trzęsienia ziemi i na występujące obok nich zjawiska atmosferyczne, które normalnie z trzęsieniami ziemi nie mają nic wspólnego – o ile te ostatnie mają tylko lokalną, czyli ziemską przyczynę. Nie możemy się tutaj uskarżać na brak faktów, przeciwnie, ich obfitość jest tak wielka, że musimy je przetrząść dość pobieżnie, zaczynając od katalogu Roberta Malleta w „Report of the British Association” z 1852 r., a pomijając wiele nadzwyczajnych przypadków, które

miały miejsce przed XVIII stuleciem, co niestety sugeruje niski stopień wiarygodności ich opisów.

Mamy więc trzęsienie ziemi „poprzedzone” gwałtowną burzą – Anglia, 8 stycznia 1704 r.; „poprzedzone” meteorem – Szwajcaria, 4 listopada 1704 r.; trzęsienie w towarzystwie świecącej chmury, pędzącej po niebie z dużą szybkością i znikającej poza horyzontem – Florencja, 9 grudnia 1731 r.; sypiącą się podczas trzęsienia ziemi glebę – Carpentras we Francji, 18 października 1737 r.; liczne meteoryty w czasie trzęsienia ziemi w Lizbonie, 15 października 1755 r.; „straszliwą burzę”, „wałący bez przerwy grad, jasne meteory” i „jakąś ogromną kulę” – Szwajcaria, 2 listopada 1761 r.; „dziwne dźwięki w powietrzu, jakby wycie i duże ciemne plamy na tle słonecznego dysku” – Palermo, 16 kwietnia 1817 r.; „światlisty meteor, poruszający się w tym samym kierunku co fala trzęsienia” – Neapol, 22 listopada 1821 r.; ognistą kulę wielkości księżyca – Las Turyński, 28 listopada 1831 r.

Niektóre z tych faktów robią na mnie szczególne wrażenie – świecące obiekty, poruszające się w tym samym kierunku, co fala trzęsienia – narzucając sugestię, że trzęsienie ziemi podążało za przesuwanym się ponad powierzchnią planety obcym ciałem.

W „Edinburgh New Philosophical Journal” z 1841 r. sir David Milne przytoczył listę trzęsień ziemi na Wyspach Brytyjskich. Wybrałem z nich te, które swoim charakterem zdają się wskazywać na pozaziemskie pochodzenie, czyli na zbliżanie się do powierzchni Ziemi innych światów. Rok 1703 – trzęsienie ziemi poprzedzone gwałtowną burzą; rok 1750 – tuż przed trzęsieniem widziano na niebie ognistą kulę; rok 1755 – dużą ognistą kulę obserwowano następnego dnia po trzęsieniu; rok 1816 – „niezwykle zjawisko w powietrzu – wielkie świecące ciało, zakrzywione jak półksiężyc i rozciągające się na znacznej połaci nieba”; W 1755 r. – czarne deszcze i czarny śnieg; w 1795 – liczne przypadki różnych przedmiotów sterczących nienaturalnie ku górze – przyciąganych w odwrotnym kierunku? – trzęsienie ziemi poprzedziła bardzo czarna i nisko ciągnąca chmura; rok 1837 – na sześć godzin przed trzęsieniem spadł z nieba bardzo czarny pył.

Niektóre z tych przypadków są – tak mi się przynajmniej wydaje – uderzające, świadczące jakby o zbliżaniu się do Ziemi niewielkich obiektów, które doznają czasem pewnego uszczerbku na skutek działania ziemskiej grawitacji, sypie się bowiem

z nich coś czarnego, dopiero zaś w sześć godzin później, gdy obiekt zbliża się jeszcze bardziej do powierzchni planety, obserwujemy tutaj coś w rodzaju wstrząsów. Co się zaś dotyczy nadzwyczajnego widoku jakiegoś świata czy też superkonstrukcji, oglądanej na niebie w 1816 r., to nie mogłem niestety znaleźć na ten temat zbyt wielu informacji. Ludzi pochłaniają ich codzienne zajęcia, nonsensy polityki zagranicznej i wewnętrznej, wahania cen na rynku, lokalne skandale: zachowujemy się jak mrówki, które nie przerywają swoich zajęć nawet na moment, choć obok mrowiska przystanął jakiś olbrzymi dwunożny stwór, zaopatrzony w słoik i notatnik. Myślę też, że będzie to pogląd zdrowy i rozumny jeżeli zauważę, iż zjawisko to miało wielokrotnie większe znaczenie niż – powiedzmy – przejście planety Wenus w najbliższej pozycji do Ziemi, któremu to zdarzeniu poświęcono setki różnych sprawozdań i artykułów. Nazwijmy to atrakcyjnością bezpiecznego tematu. W nauce tak samo jak w życiu większość ludzi woli ubite i bezpieczne trakty, a tylko niewielu awanturników rzuca się w ciemny gąszcz i bezdroża, gdzie można co prawda coś odkryć, łatwiej jednak stracić zdrowie lub zginąć.

Ogólnie rzecz biorąc, mamy tu ciekawą zbieżność i podobieństwo między przypadkami wielkich mas, które same nie spadają na Ziemię, dysponując być może jakimś nieznanym nam rodzajem energii, neutralizującym lub nawet wykorzystującym grawitację, lecz z których wszakże coś się osypuje i luszczy, a przypadkami pól lodowych, które również nie spadają, lecz z których czasem może kapać woda.

Powinienem tu chyba dostosować się do faktów i wprowadzić pewne modyfikacje do wyrażonych wcześniej założeń, te mianowicie, że w pewnej odległości od Ziemi jej grawitacja jest silniejsza niż przypuszczaliśmy, choć ciągle dużo mniejsza od zakładanej przez konwencjonalne teorie. W rezultacie wydaje mi się, że za istnieniem neutralnego obszaru przemawiają silne argumenty i że Ziemia, podobnie jak inne magnesy, musi posiadać swoją strefę zawieszenia, w której unosi się nasze hipotetyczne Morze Supersargassowe i w której mogłyby się utrzymywać przez dowolny czas te inne światy, co krążą sobie swobodnie w międzyplanetarnej przestrzeni, lecz czasem przybijają do Ziemi jak do wielkiej, obfitującej w rzadkie minerały i oszalałomąca różnorodność biologicznych form wyspy. Niektóre wszakże części tych stacjonujących na Morzu – czy też raczej w Morzu – Supersargassowym obiektów mogłyby ze względu na ich wydłużony kształt lub

ogromne rozmiary znajdować się już w strefie słabego oddziaływania grawitacyjnego Ziemi.

Powróćmy jednak do faktów. Oto jedno z ciekawszych zdarzeń, które powinienem zresztą umieścić w jednym z wcześniejszych rozdziałów i które nie wiąże się akurat z przedstawianymi tutaj trzęsieniami ziemi, niemniej – zgodnie z naszym swobodnym niechłujstwem – podajemy je właśnie teraz. Jest to przykład zaćmienia Słońca przez jakieś duże, ciemne ciało – opisany przez pewnego astronoma, pana Liasa, który obserwował to zjawisko 11 kwietnia 1860 r. w Pernambuco.

Było południe, niebo lazururowo czyste, gdy nagle światło słoneczne zaczęło gasnąć i gęstniejący mrok okrył miasto. Zrobiło się tak ciemno, że na niebie pojawiły się gwiazdy za królującą wśród nich, świecąca jasno planetą Wenus, zaś wokół zakrytej zupełnie tarczy Słońca widoczna była piękna korona.

Istnieje wiele dalszych przykładów wskazujących na bliskość jakiegoś dużego ciała w pobliżu Ziemi w czasie jej sejsmicznej aktywności.

Rozważmy trzęsienie ziemi we Włoszech, w dniach 12 i 13 lutego 1870 r. Na niebie widziano wówczas jakieś świecące ciało i z góry padał ni to pył, ni piasek („La Science Pour Tous”, 15-159). Podobne zjawisko powtórzyło się we Włoszech 20 stycznia 1891 r. Znów widziano na niebie świetlisty obiekt, a także zanotowano opad kamieni („L’Astronomie”, 1891-154). Trzęsienie ziemi z towarzyszeniem wielkiej ilości świetlistych kul w powietrzu obserwowano 7 czerwca 1779 r. w Bolonii (piszę o tym Sestier w książce *La Foudre – Piorun*, 1-169). Inna część świata – Manila na Filipinach, rok 1863 – trzęsienie ziemi i dziwne „świetliste zjawisko na niebie” (Ponton, *Earthquakes – Trzęsienia ziemi*, str. 124).

Najgodniejsze uwagi połączenie opadu ryb z trzęsieniem ziemi miało miejsce w Riobamba. Znacomity niemiecki podróżnik i naturalista, Aleksander von Humboldt, który podróżował w tym czasie po Ameryce Południowej, zostawił nam rysunek jednej z tych ryb. Tysiące takich stworzeń zalegało grunt. Według Humboldta zostały one wyrzucone z podziemnych wód. Co do mnie to nie mam wprawdzie żadnych danych przeczących takiemu przypuszczeniu, jednakże hipoteza, że ryby te spadły z deszczem wydaje mi się prostsza. Pozostaje tylko do rozstrzygnięcia kwestia, czy było to jakieś jezioro na zbliżającej się do Ziemi, wędrującej planecie, czy też ryby te pochodziły z wód Morza Supersargassowego, a straciły je na ziemię straszliwe zaburzenia

pól grawitacyjnych, spowodowane obecnością innego ciała niebieskiego w sąsiedztwie naszej planety. Fakt, że zjawiska takie mogą mieć miejsce zdaje się potwierdzać historia opisana w „La Science Pour Tous” (6-191). Czytamy tam, że 16 lutego 1861 r. silne trzęsienie ziemi nawiedziło Singapur. Po serii wstrząsów sejsmicznych nastąpiła wówczas tak nadzwyczajna ulewa, jakby na miasto wylało się pokaźnych rozmiarów jezioro. Potoki wody lały się z nieba przez trzy dni, a w licznych sadzawkach, jakie wówczas powstały na ziemi, znaleziono mnóstwo ryb. Autor tej relacji pisze, że sam osobiście widział tylko lejącą się z nieba wodę, dodaje jednak, że była to ulewa tak straszliwa, iż nie był w stanie widzieć dalej niż na trzy kroki od siebie. Miejscowi ludzie twierdzili, że ryby spadły z nieba.

Wydaje mi się, że byłoby teraz właściwe przytoczyć jakiś szczególny przykład, który dodałby blasku rodzącej się oto nowej ortodoksji poprzez połączenie trzęsienia ziemi nie z jakimś pojedynczym fenomenem, jak opad kamieni lub zaćmienie Słońca, ale ze wszystkimi razem i w formie bardzo przekonującej, a także przez przekonująco długi okres czasu. Przykład taki znaleźliśmy w „Canadian Institute Proceedings” (2-7-198) w postaci sprawozdania dotyczącego nadzwyczajnego meteorytu z Dhurmsalli – otoczonego lodowym płaszczem gładu, który spadł w tej miejscowości 28 lipca 1860 r. I chociaż taki obiekt jest fascynujący sam w sobie, jeszcze bardziej niezwykle były zjawiska, które wystąpiły po jego upadku. W przeciągu kilku miesięcy po tym wydarzeniu w Benares spadły żywe ryby, w Furruckabad jakaś czerwona substancja, na tarczy słonecznej pojawiła się dziwna czarna plama, miało miejsce trzęsienie ziemi i niewytłumaczalne ciemności, zaś na niebie obserwowano jakieś świetliste zjawisko, które przypominało zorzę polarną. Kulminacyjnym punktem tej listy dziwnych zjawisk, które staramy się połączyć z upadkiem meteorytu w Dhurmsalli jest jednak zanotowany przez znajdującego się tam wówczas wysłannika rządowego fakt, że następnego wieczora po upadku meteorytu widział on na niebie jakieś światła, które wielokrotnie pojawiały się i znikaly, niektóre wysoko, niektóre zupełnie nisko.

Czytałem wiele sprawozdań dotyczących tego meteorytu, lecz w żadnym z nich nie wspomniano owych światel, jak gdyby było w nich coś nie na miejscu, jakieś naigrywanie się ze sztywnej powagi dziewiętnastego stulecia. Nasz naoczny świadek pisze wszakże, iż płynęły one jak ogniste balony: „Jestem jednakże pewien, że nie były to ani ogniste balony, ani żadne fajerwerki, lecz jakieś przedziwne światła na niebie”.

Z jednym twierdzeniem mamy wszakże problem, bo chociaż wprowadziliśmy do przyszłej super-chemii pojęcie celestiometatezy, czyli planetarnej wymiany materii, i choć takie pojęcie wydaje się być zupełnie naturalne, nie mamy przecież namacalnych faktów świadczących o tym, że w czasie zbliżenia się do Ziemi innych światów wymiana taka ma miejsce. Wszystko co mamy, to rozmaite opady. Oczywiście w czasie trzęsienia ziemi impulsy ku górze, niekiedy nawet bardzo silne, są naturalną częścią tych zjawisk, nie udało mi się jednak znaleźć informacji, by jakieś drzewo, ryba, cegła lub człowiek zostały porwane w górę i nigdy już nie spadły. Co prawda podczas pewnego trzęsienia ziemi w Kalabrii wylatywały w górę kamienne płyty chodników, zaś relacja którą czytałem nie wspomina o ich spadaniu z powrotem, jednak instynkt mi odpowiada, że chyba spadały.

Ciała z Riobamby. Aleksander von Humboldt opisuje, że w czasie trzęsienia ziemi w Riobamba „ciała były wyrwane z grobów. Pionowe ruchy ziemi były tak silne, że ciała zmarłych wylatywały na kilkadziesiąt metrów w powietrze”.

Przypuścmy, że były to tylko pionowe ruchy ziemi.

Międzyplanetarni kłusownicy. Trójkątne cienie. Dziwne światło na Woburn Square

Wtradycyjnym metafizycznym myśleniu zwykło się rozróżnić dwa główne składniki rzeczywistości – substancję duchową i substancję fizyczną, czyli materię, dając substancji duchowej znaczenie wyższe i dla ludzkiego istnienia bardziej niezbędne. Natomiast w prezentowanym przez nas sposobie pojmowania świata, który nie jest istnieniem, lecz niby-istnieniem, czymś co usiłuje zaistnieć, ale nigdy i w żadnym ze swych form celu tego nie osiąga, to co niematerialne materializuje się nieustannie i nic w gruncie rzeczy nie jest materialne lub niematerialne. Wszystkie obiekty i substancje, wszystko, co jawi się jako rzeczy, ludząc swą materialnością; wszystkie myśli i idee i to, co jawi się jako dochowe zjawiska jest tylko w gruncie rzeczy jakimś stopniem przybliżenia do jednego lub drugiego końca skali. Ostatecznym zaś celem kosmicznej ambicji jest moim zdaniem bezruch i chłód; przeobrażenie się ulotnego i eterycznego, zmiennego i pozbawionego równowagi, w stałe, solidne, wieczyście zrównoważone, nieruchome. Pozytywizm to purytanizm. Gorąco jest złem. Nie bez przyczyny piekło wygląda jak rozżarzony do białości piec. Ostateczne Dobro to Absolutny Lodowaty Bezruch, boska Antarktyda z zamrożonymi aniołami zamiast pingwinów. Jeśli zaś w każdym myśleniu zawarty jest jakiś pierwiastek osobisty, jakaś głęboka uczuciowa preferencja, to w naszym myśleniu nie ulegamy urokowi arktycznemu piękna, lecz pociąga nas chaotyczny dynamizm i różnorodność form życia, jakie naszym zdaniem kłębi się w niebie i na ziemi. Zdajemy sobie zatem w pełni sprawę, że istotą tej książki jest podkopywanie ortodoksyjnej wizji przestrzeni kosmicznej, czyli dawnego nieba, która swą doskona-

nością i matematyczną dokładnością ruchów miała się przeciwstawić „dolnemu światu”, czyli ziemskiej niedoskonałości. Natomiast w naszym monistycznym ujęciu nie ma mowy o jakimkolwiek przeciwstawianiu. Ziemia i przestrzeń pozaziemska mają podobne cechy, podobną chaotyczność i nieoznaczoność, a ponadto pozostają w stałych i różnorodnych kontaktach. Dlatego będziemy teraz mówić o obcych przybyszach, o nieproszonych gościach składających nagle wizyty i o faktach, które zdają się na to wskazywać. Od razu też musimy wyznaczyć, że nasze podejście będzie w dalszym ciągu równie bałaganiarskie i chaotyczne jak w poprzednich rozdziałach tej książki, brakuje nam bowiem pozytywistycznego złudzenia jednorodności i porządku. Dobry pozytywista zebrałby wszystkie dane dotyczące jednego rodzaju gości z Kosmosu, a wszystkie fakty wskazujące na ich różnorodność byłby spokojnie pominął, w imię – powiedzmy – oszczędności i elegancji swych teorii. Co do mnie, to nie jestem takim klasycyzującym estetą i myślę, że różnorodność odwiedzających Ziemię jest równa różnorodności odwiedzających więzienia i kościoły Nowego Jorku.

A teraz wróćmy do meteorytu z Dhurmsalli. Otóż przypuszczam, że latem i jesienią 1860 r. jakiś świat wisiał sobie spokojnie nad Indiami i że to z niego coś spadło 17 lipca w Dhurmsalli. Cokolwiek to było zostało potraktowane z uporem jako meteoryt, że sam uległem tej perswazji przy pierwszym podejściu do owego zdarzenia. Jednakże później znalazłem w londyńskim „Timesie” z 26 grudnia 1860 r. artykuł Syeda Abdollaha, wykładowcy języka hindi na Uniwersytecie Londyńskim, który pisze, że poprosił listownie swojego przyjaciela w Dhurmsalli o dokładny opis tego, co tam spadło. Z odpowiedzi dowiedział się, że nie był to żaden meteoryt, lecz wiele obiektów „o różnych formach i rozmiarach, z których wiele przypominało zwykle armatnie kule”.

Czy zatem coś oddało tego dnia salwę nad Dhurmsallą, czy też były to obiekty, które należało być może zbadać dokładnie w celu odkrycia jakichś znaków?

Musimy tu ciągle pamiętać o skłonności wszystkich zjawisk do mieszania się ze sobą, w ciągłości Międzybytu nic nie jest bowiem absolutnie odrębne i wyraźne, jeśli zatem jakieś wielkie pojazdy z przestrzeni międzyplanetarnej wchodzą w ziemską atmosferę, to w najnaturalniejszy w świecie sposób muszą się one łączyć z różnymi zjawiskami atmosferycznymi, które je w ten sposób maskują przed naszym wzrokiem i ukrywają przed naszą świadomością. Obserwacje tych obiektów muszą się zatem mieszać z obserwacja-

mi chmur, balonów, meteorów, trąb powietrznych, piorunów i samolotów. Jest zatem cała sfera zjawisk, gdzie po prostu nie potrafimy rozwikłać tych różnych, lokalnych i pozaziemskich, wątków, kierując się wówczas w ich interpretacji wygodnymi konwencjonalnymi teoriami, stawiając bowiem sprawę otwartą, to motywem ludzkiego postępowania badawczego nie jest wcale poznanie prawdy, lecz osiągnięcie zrozumienia czegoś, które to zrozumienie jest na ogół iluzją zrozumienia; czyli że zrozumienie wcale nie zakłada prawdy o przedmiocie, lecz nawet przeciwnie, często pozbawia nas możliwości uzyskania jakiejś istotnej wiedzy o świecie. Jeżeli zatem wydaje nam się, że zaczynamy coś dobrze rozumieć, to gdzieś w głębi naszego umysłu powinno nam się zapalać czerwone ostrzegawcze światełko. Nie znaczy to oczywiście, że powinniśmy się wyrzekać zrozumienia za wszelką cenę i uciekać przed nim jak przed diabłem, dobrze jest jednak pamiętać o jego wątpliwym charakterze. A wracając do tematu pomieszczenia ziemskiego z pozaziemskim myślę, że powinniśmy i te nierozróżnialne a wątpliwe fakty również brać pod uwagę w naszych rozważaniach, torując sobie dopiero od nich drogę do faktów bardziej oczywistych i wyraźnych.

Oto więc typowo niejasna historia, opisana w „Observatory” (35-168). Czytamy w tym piśmie, że 6 marca 1912 r. mieszkańcy Warmley w Anglii ujrzeli na niebie coś, co wyglądało „jak wspańiale oświetlony aeroplan”. Maszyna przesuwała się nad okolicą z wielką szybkością, zmierzając od strony Bath w kierunku Gloucester. Redaktor magazynu pisze, że był to trójgłowy kulisty piorun. „Niesamowite – komentuje dalej – lecz w dzisiejszych czasach jesteśmy przygotowani na wszystko”.

I bardzo dobrze. Nie chcielibyśmy się skradać, a potem wyśkakiwać z za rogu i straszyć naszymi danymi. Przynajmniej jeden redaktor jest przygotowany na wszystko.

„Nature”, 27 października 1898 r.: korespondent tego pisma donosi z hrabstwa Wicklow w Irlandii, że pewnego dnia o szóstej wieczorem widział na niebie obiekt, który wyglądał jak księżyc w trzeciej kwadrze. Zwróćmy tu uwagę na kształt – zbliżony nieco do trójkąta. Obiekt ów sunął wolno po niebie, rozsiewając złocisty blask, dopóki nie zniknął po pięciu minutach za wznośszą się w okolicy górą. Redaktor pisma komentuje, że mógł to być balon, który uciekł z uwięzi, natomiast we wcześniejszym numerze „Nature” z 11 sierpnia 1898 r. znajduje się relacja kanadyjskiego meteorologa F. F. Payne’a, który widział na niebie duże, gruszkowate w formie i dość niespokojnie żeglujące ciało.

Z początku przypuszczał on, że był to balon – z uwagi „na dobrze widoczny zarys kształtu” – ponieważ jednak nie mógł z dołu dopatrzeć się gondoli, doszedł do wniosku, że była to dziwna, bardzo gęsta chmura. Obserwacja zjawiska trwała około sześciu minut. Obiekt ten nie mógł być ukształtowany przez cyklon, gdyż „nie było wówczas żadnych wirujących ruchów mas powietrza”.

W angielskich dziennikach aeronautycznych i w londyńskim „Timesie” nie spotykamy jednak żadnych wzmianek o ucieczkach balonów latem i jesienią 1898 r. Nie ma też takich wzmianek dotyczących Kanady lub Stanów Zjednoczonych w „Timesie” nowojorskim.

Kolejna obserwacja tego rodzaju zdarzyła się na Bermudach. Pisze o tym londyński „Times” z 29 września 1885 r. Czytamy w nim, że rankiem 27 sierpnia pewna mieszkanka Bermudów, Adelina D. Bassett, zauważyła „dziwny obiekt płynący w chmurach z północy”. Nieco przestraszona, pani Bassett przywołała natychmiast swą sąsiadkę, panią L. Lowell i obie damy obserwowały dalej ów obiekt wspólnie. Kiedy zbliżył się on dostatecznie, by mogły ocenić jego kształt i wielkość, okazało się, że było to ciało wielkości dużej łodzi, trójkątne w formie i z jakimiś elementami, które zwisały od dołu. Unosząc się nad wyspą obiekt zdawał się obniżać swój lot, jednak znalazłszy się nad morzem wzbil się w górę i po pewnym czasie zniknął w chmurach. Ze względu na owo wzniesienie się w chmury wątpliwe, by był to zabłąkany i częściowo pozbawiony powietrza balon. Komentując tę informację w kolejnym numerze „Timesa” pan Charles Harding z Royal Meteorological Society dowodzi, że gdyby to był jakiś balon, który uciekł z Europy, musiałyby go widzieć załogi wielu statków, bowiem ruch w tej części Atlantyku jest wyjątkowo intensywny. Bliższe badania dotyczące tej sprawy rzuciły też nieco inne światło na pewne istotne szczegóły. Zwisające u dołu sznury lub łańcuchy okazały się sugestią męża pani Bassett, który osobiście obiektu w ogóle nie oglądał. Okazało się nadto, że jakiś balon urwał się jednak z uwięzi w Paryżu, w lipcu – i wylądował 17 września w Chicago („Nature”, 33-99).

Mamy tu więc przykład różnych niejasności i przypuszczeń, wszystko zaś w sumie wcale nie wyklucza możliwości, że jakieś obiekty mogą się zniżać ku powierzchni Ziemi, żeby coś złowić – na przykład. Któż to wie, może jacyś międzyplanetarni smakosze cenią sobie wysoko nasze cielesne powłoki i mają na nasz

temat grube, pełne ciekawych przepisów książki kucharskie, które warto by kiedyś przeczytać. Myśl o tym daje mi jakaś pociechę i nadzieję, że może jednak nie jesteśmy zupełnie beużytecznymi stworzeniami, które niszczą i pożerają tę planetę. Wydaje mi się, że takie połowy z jakimś rodzajem sieci, które bardziej przypominają trąby powietrzne niż sieci, mogą być uważane przez nas za trąby powietrzne. Istnieją różne opisy trąb powietrznych i trąb wodnych, które sugerują istnienie w nich dziwnych struktur. Mamy też wiele danych dotyczących dziwnych zaginięć bez wieści, które jednak mam zamiar wykorzystać w następnej książce.

Wszystkie takie fakty zebrane razem wskazują jednak nie na regularne, systematyczne odłowy, lecz raczej na wpadających w ten rejon przestrzeni kosmicznej klusowników, naruszających czyjeś legalne prawa do nas, klusujących ukradkiem w hollywoodzkiej stawie i czmychających zanim nadejdzie strażnik.

W cytowanym wyżej numerze „Nature”, kilka stron za informacją o jakimś balonie, który zerwał się z uwięzi w Paryżu, mamy notatkę: „Nasz korespondent z Paryża donosi w związku z balonem, który widziano we wrześniu nad Bermudami, że w przybliżonym okresie nie zdarzył się we Francji żaden start czy ucieczka, które mogłyby tłumaczyć pochodzenie owego obiektu”.

Sprawa jest nieco dziwna, więc tropimy dalej: pod koniec sierpnia, w londyńskim „Timesie” nie ma wzmianki o starcie jakiegokolwiek balonu latem 1885 r., były jednak dwa starty we Francji i oba balony uciekły. Miesięcznik „Aeronaute” z sierpnia 1885 r. informuje, że balony te wypuszczono z okazji święta narodowego Francji, 14 lipca. Lecieli w nich panowie Cower i Eloy. Na balon Cowera natknięto się wkrótce potem na oceanie, balonu Eloya nigdy nie odnaleziono, choć 17 lipca widział go w powietrzu kapitan pewnego statku. Jednakże, co istotne, balon Eloya należał do niewielkich statków powietrznych, używanych w celach pokazowych i niezdolnych do długiego utrzymywania się w powietrzu. Czy zatem był to rzeczywiście balon, który dotarł po trzech miesiącach do Chicago? Bardziej prawdopodobne, że balon znaleziono w Chicago wystartował i uciekł swym aeronaucem 29 lipca w stanie Connecticut.

Zostawmy teraz balony lub rzekome balony, mamy bowiem przed sobą („Nature”, 90-169) relację Charlesa Tildena Smitha, który pisze, że 8 kwietnia 1912 r., znajdując się w miejscowości Chisbury, w Wiltshire, między Londynem a Bristollem, ujrzał na

niebie zjawisko, które „nie przypominało niczego, co zdarzyło mi się widzieć w życiu”.

Co zobaczył pan Smith? Dwie ciemne nieruchome plamy na sunącej powłoce jasnych chmur. Podkreślmy: chmury płynęły po niebie dość szybko, wiał wiatr, zaś ciemne plamy wisiały nieruchomo nad ziemią. Miały one kształt rozłożonych wachlarzy, czyli zbliżony do trójkąta, różniły się między sobą rozmiarami – i trwały w miejscu, podczas gdy chmura za chmurą przesuwała się jako ich tło. Pan Smith obserwował to zjawisko przez pół godziny, a pierwsze wrażenie, jakie mu się nasunęło było, że „ów ciężki cień rzucany na cienki welon chmur musiał pochodzić od jakiegoś niewidocznego obiektu, który znajdował się nad chmurami i zasłaniał promienie słońca”.

W tym samym numerze „Nature” znajduje się także list innego korespondenta, mający świadczyć o tym, że cienie tego rodzaju są rzucane na chmury przez wierzchołki gór, a w związku z tym pan Smith miał rację przypisując zjawisko „niewidocznemu obiektowi, który zasłaniał promienie słońca”. Na dalszych stronach tego pisma toczy się zresztą jakaś niejasna i niepełna dyskusja w sprawie tych cieni. Wierzchołki gór czy nie wierzchołki? My rzucimy tu mimochodem, że w Wiltshire są niskie, łagodne wzgórza, nie ma natomiast żadnych gór. Więc może balony? Tajemnica cieni z Chisbury tkwi jednak w tym, że były one zupełnie nieruchome. Tymczasem jest oczywiste, że gdyby jakikolwiek stacjonarny obiekt, powiedzmy balon, wisiał wysoko nad chmurami, jego cień w zachodzącym słońcu musiałby się wydłużać i przesuwać na wschód. Zagadka za nasuwa mi przypuszczenie, bez żadnego zresztą poparcia w postaci innych faktów, że nad Chisbury znajdowało się wówczas jakieś inne świecące ciało, pod którym mogły być zawieszony dwa trójkątne pojazdy, podobne może do tego, który w 1885 przepłynął nad Bermudami. Jeden z tych pojazdów mógł wisieć niżej, drugi wyżej, co mogłoby tłumaczyć różnicę w rozmiarach cieni.

Przypomina mi się wielka czarna rzecz, wisząca nad księżycem, jak zastygła w powietrzu wrona. Całkiem możliwe, że owe ciała nad Chisbury wyglądały z Księżyca, jak dwie czarne wrony wiszące nad Ziemią. „Scientific American” (46-49) podaje, że 3 lipca 1882 r. kilku obserwatorów z Lebanon w stanie Connecticut zauważyło w pobliżu krawędzi Księżyca trójkątne świetliste zjawiska. W trakcie obserwacji światła te zgasły, a w trzy minuty później przy dolnej krawędzi księżycowej tarczy pojawiły się dwie ciemne trójkątne plamy, które wyglądały jak nacięcia. Pla-

my te zbliżały się najpierw do siebie, zaś po spotkaniu momentalnie znikły. Elementem łączącym tę obserwację z konwencjonalnym porządkiem jest fakt, że podobne cienie widuje się w pobliżu krawędzi Księżyca dość często i mają one według niektórych astronomów sygnalizować ostre brzegi księżycowych kraterów, co wydaje się bardzo prawdopodobnym przypuszczeniem. Problem w tym, że 3 lipca 1882 r. cienie te były bardzo duże i zasłaniały prawie jedną czwartą tarczy Księżyca.

I coś jeszcze, co mogło również wyglądać z Księżyca, jak wielki czarny ptak zawieszony nad Ziemią. 8 kwietnia 1913 r. z miejscowości Fort Worth w Teksasie widziano w chmurach cień jakiegoś nieznanego obiektu – zakładano, że był to cień płynącej wyżej chmury – który przesunął się wraz z zachodzącym słońcem („Monthly Weather Review”, 41-599).

Zagadkową relację dwóch obserwatorów publikuje „Report of the British Association” z 1854 r. Piszą oni o bladym lecz wyraźnie widocznym, trójkątnym obiekcie, pojawiającym się na niebie przez sześć kolejnych nocy. Mimo że obiekt ten obserwowano z dwóch niezbyt od siebie odległych punktów jego paralaksa była znaczna, co mogło świadczyć tylko o jednym: ciało to znajdowało się dość blisko Ziemi.

Na zakończenie rozdziału poświęconego różnym światłom i cieniom mamy jeszcze notatki dotyczące pewnego zdarzenia, które sugeruje istnienie jakiejś niewidocznej w powietrzu energii, ujawniającej się jednak jako światło w zetknięciu z gruntem. Myślę tu mianowicie o czymś, co wisiało przez tydzień nad Londynem, niewidoczne w powietrzu zarówno w ciągu dnia, jak i w nocy, lecz którego świetlistą emanację oglądano na trawie w pewnym niewielkim parku. Działo się to przez tydzień na Woburn Square, w niewielkiej odległości od gmachów Uniwersytetu Londyńskiego, zjawisko zaś przyciągało takie tłumy, że policja musiała ściągnąć „specjalne służby, by utrzymać porządek i zmusić tłum do opuszczenia miejsca. Redaktor pisma „Lancet”, publikującego tę historię w numerze z 1 czerwca 1867 r., udał się na Woburn Square osobiście i na własne oczy ujrzał świetlistą plamę na ogrodzonym w tym miejscu trawniku. Świetlista plama bez widocznego źródła światła. Fama obiegająca cały Londyn. Gromadzący się tłum. Ale nasz dzielny badacz, godny potomek pokoleń racjonalistów, doszedł do wniosku, że światło to pochodziło od ulicznej latarni. Nie znaczy to zresztą bynajmniej, że sam lampę ową w okolicy wytropił, aż do takich ekscesów empiryzmu tam nie doszło – zaleca wszakże roztrąpnie policji, by

zbadala najbliższe lampy uliczne. Myślę, że trzeba niezwyklej wnikliwości umysłu, by wykoncypować, iż w Londynie, mieście bądź co bądź cywilizowanym, rzecz tak banalna jak światło ulicznej lampy mogło przyciągać i ekscytować tłumy ludzi przez siedem kolejnych nocy – i co z tą lampą było wcześniej? Albo potem? Wydaje mi się również, że jakikolwiek, wyznaczony do nocnej służby policjant byłby zbadał wszystkie okoliczne lampy bez przemądrzałej sugestii redaktora „Lancetu”.

Coś po prostu wisiało przez tydzień nad jednym z londyńskich parków.

Podwodne świetliste koła

O to list opublikowany w „Knowledge” 28 grudnia 1883 r.: „Opisy tak wielu meteorologicznych fenomenów, zamieszczonych w Waszym znakomitym piśmie, skłoniły mnie do prośby o wyjaśnienie tego, co zdarzyło mi się widzieć z pokładu parowca „Patna”, podczas rejsu przez Zatokę Perską. Było to w maju 1880 r., około pół godziny przed północą, gdy nagle w wodzie po obu burtach statku ukazały się ogromne świecące koła, kręcące się tak, że szprychy każdego z nich zdawały się omiatać statek wzdłuż burt. Szprychy te były bardzo duże, mierzyły chyba po 200-300 m i przypominały mi pęki różeg ze szkół dla dziewcząt. Każde koło miało po szesnaście szprych i choć średnica kół wynosiła nie mniej niż 500-600 m, kręcące się szprychy były bardzo wyraźnie widoczne. Fosforyczny blask zdawał się ślizgać po powierzchni morza, nad wodą zaś nie było żadnego światła. Zjawisko szprych można by chyba najlepiej zilustrować stając w łodzi z latarnią i omiatając lustro wody jej promieniem. Wspomnę tu jeszcze, że fenomen ten oglądał również kapitan „Patny”, pan Avern, oraz trzeci oficer, pan Manning.

Z wyrazami poważania

Przedni Bras po Zawietrznej

P.S. Obracające się koła towarzyszyły statkowi przez około dwadzieścia minut”.

Ta fascynująca historia nie pozostała oczywiście bez echa. Następny numer „Knowledge” przyniósł bowiem list podpisany przez A. McD., który uważa, że „pan Przedni Bras, czytujący opisy meteorologicznych fenomenów w Waszym znakomitym piśmie, powinien był podpisać swój list „Współczesny Ezechiel”, gdyż jego wizja świetlistych kół jest równie cudowna jak wizja starożytnego proroka”. Okazuje się więc, że dla niektórych ludzi wszystko co niezwykle jest bardzo zabawne. Następnie ów sarkastyczny autor bierze się za podane liczby i kalkuluje, że szybkość obrotów na obwodzie kół musiałaby wynosić

około 160 metrów na sekundę, co wydaje mu się mu się mało wiarygodne, komentując to w następujący sposób: „Sądząc z pseudonimu, jaki przybrał autor opisu, bywa on chyba niezradko zawiany”.

Kolejny numer „Knowledge” przynosi odpowiedź „pana Brasa”, który podpisuje się tym razem nazwiskiem J. W. Robertson. „Nie podejrzewam – pisze on – że A. McD. chciał mnie obrazić, jednakże wydaje mi się, że pomawianie człowieka o stan nietrzeźwy tylko dlatego, że zdarzyło mu się zobaczyć coś niezwykle, jest dość niesprawiedliwe. Jeśli bowiem jest coś, co w moim życiu osobistym napawa mnie dumą, to fakt, że nigdy nie pozwoliłem sobie na trunek mocniejszy od wody”. Po tym wystąpieniu na temat dumy pan Robertson pisze, że jeśli chodzi o rozmiary to nie zamierzał się wcale silić na dokładność, co byłoby – biorąc pod uwagę warunki, czyli noc i emocje – raczej niemożliwe, lecz chciał dać przybliżone pojęcie o wielkości zjawiska i jego ruchu. Kończy zaś pojednawczo: „Nie obrażam się jednak, gdyż jak sądzę, nikt nie miał zamiaru mnie obrazić”.

Myślę, że najprostszym wyjaśnieniem tego fenomenu byłoby przyjęcie, że pod powierzchnią wody w Zatoce Perskiej znajdowały się wielkie świecące koła, a przebijające się z ich zanurzonych szprych światło zafascynowało pana Robertsona. Wydaje się jasne, że światło to miało swe źródło w głębi morza, a nie na powierzchni fal. Oczywiście nie wiemy, w jaki sposób dwa wielkie, świecące koła, każde wielkości wioski, znalazły się w wodach Zatoki Perskiej, niewiele też możemy wymyślić na temat przyczyn ich pobytu w tym miejscu. Pole do interpretacji mamy jednak szerokie. Ponieważ nie jest to jednak jedyna relacja tego typu, wróćmy na razie do faktów.

Zacznijmy od obserwacji czegoś, co zanurzało się w wody oceanu. Opis pochodzi z purytańskiego magazynu „Science”, który dostarcza nam niewiele materiału, gdyż jak większość purytanów nie oddaje się on uciechom obfitości i rozkoszom niespodzianek. Czymkolwiek była ta rzecz, jej rzucającą się w oczy cechą był ogrom, musiała ona bowiem przekraczać swymi rozmiarami meteoryty ze wszystkich muzeów świata razem wzięte; a także względnie niewielka prędkość spadania. Materiał zamieszczony w „Science” (5-242) pochodzi ze sprawozdania otrzymanego przez Urząd Hydrograficzny w Waszyngtonie z podległej placówki w San Francisco. Dowiadujemy się z niego, że w nocy 24 lutego 1885 r. kapitan barkenty „Innerwich”, znaj-

dującej się wówczas na 37° szerokości geograficznej północnej i 170° długości geograficznej wschodniej, czyli gdzieś między Jokokohamą i Wiktoria, został obudzony przez jednego z marynarzy, ponieważ coś niezwykłego działo się na niebie. Musiało to chyba zabrać nieco czasu, lecz gdy kapitan wyszedł na pokład ujrzał niebo rozjarzone gorącą czerwienią. „Nagle ogromna masa ognia ukazała się nad statkiem, zupełnie oślepiając patrzących”. Następnie ta rozżarzona masa runęła do morza. Jej ogrom można było ocenić po gejzerze wody, jaki wytrysnął w niebo i po fali, która uderzyła o burtę statku z „ogłuszającym rykiem”, kładąc barkentynę płasko na wodzie i nakrywając ją przez moment spienioną grzywą. Kapitan statku, stary i doświadczony marynarz, stwierdził, że „okropności tego zdarzenia nie można oddać w żadnym opisie”.

Wydarzenie o przeciwnym charakterze czy też raczej kierunku miało miejsce w 1887 r. Według relacji publikowanych w „Nature” (37-87) i w „L’Astronomie” (1887-76) jakaś wielka ognista kula uniosła się z morza w okolicy Przylądka Race. Czytamy, że uniosła się ona na wysokość 150 m i zbliżyła się najpierw do znajdującego się w pobliżu statku, a następnie odleciała, pozostając w zasięgu wzroku przez około pięć minut. Redakcja „Nature” sugeruje, że mogło tu chodzić o kulisty piorun, jednakże Flammarion w swej książce *Thunder and Lightning (Piorun i błyskawica)* pisze, że kula ta była ogromna, przekraczająca wielokrotnie rozmiary kulistych piorunów. Ponadto, według szczegółowej relacji znajdującej się w amerykańskim „Meteorological Journal” z 12 listopada 1887 r. – świadkiem zdarzenia był brytyjski parowiec „Siberian” – obiekt ten w czasie zbliżania się do statku poruszał się pod wiatr. Kapitan statku, pan Moore, twierdzi, że widział już raz podobne zjawisko w tym samym miejscu. Ta drobna dodatkowa uwaga ma, jak myślę wielkie znaczenie, wskazując na możliwość stacjonowania w pobliżu Przylądka Race jakiegoś pozaziemskiego pojazdu lub grupy pojazdów.

Co do grupy, to „Report of the British Association” z 1886 r. publikuje historię zaczerpniętą z gazety „Malta Times”, a dotyczącą tego, co 18 czerwca 1845 r. wiedziała załoga angielskiego brygu Victoria. Statek znajdował się wówczas około 900 mil morskich na wschód od Adalii (wybrzeże Azji Przedniej), gdy trzy świecące ciała wynurzyły się z morza około pół mili od brygu. Ich obecność w zasięgu wzroku trwała około dziesięciu minut. Historii tej nigdy dokładnie nie badano, istnieją jednak in-

ne relacje dotyczące tego samego, fascynującego widowiska, opublikowane przez prof. Baden-Powella. Jedną z nich jest list pewnego korespondenta z Mt. Lebanon, który widział w tym czasie dwa świecące obiekty. Na oko były one pięć razy większe od tarczy Księżyca, a każdy z nich miał jakieś wystające części, „coś podobnego do żagla”, coś co wyglądało „jak duże flagi, rozwinięte w powietrzu przez lekką bryzę”. Znaczącym punktem są w tym opisie sugestie dotyczące budowy, a także czas trwania zjawiska. Obserwacje meteorów trwają bowiem kilka sekund; czasy piętnastosekundowe należą do rzadkości, choć myślę, że można spotkać świadectwa sięgające pół minuty. Generalnie jednak są to chwile, błyski, natomiast obiekty obserwowane w Mt. Lebanon były widoczne na niebie przez około godzinę. Interesujące, że wystające partie nie przypominały ogonów meteorów, które świecą własnym światłem, lecz zdawały się świecić światłem odbitym od głównych mas.

Jak wspomnieliśmy wyżej 900 mil morskich na zachód od pozycji Victorii znajdowało się miasto Adalia. Szczęśliwym trafem w czasie zdarzenia opisanego przez kapitana Victorii w mieście tym znajdował się jeden z członków Royal Astronomical Society, pan F. Hawlett, który również widział świecące ciała lub ciało i wysłał swoją relację do prof. Baden-Powella. W jego opinii było to coś, co uniosło się najpierw w powietrze, a następnie rozpadło na pół. Obserwacja trwała około pół godziny. Według redakcji „Report of the British Association” fenomen ten widziano również z wybrzeży Syrii i z Malty jako dwa wielkie ciała, „prawie że połączone”. Wszystkie te opisy razem robią wrażenie rozsypanej układanki, z której wylania się obraz dwóch lub trzech obiektów, prowadzących być może jakieś badania w zachodniej części Morza Śródziemnego. Widzimy też, jak owocna jest sytuacja, gdy zbieg okoliczności dostarcza więcej niż jednego świadka jakiegoś niezwykłego fenomenu. Nie znaczy to oczywiście, że fenomen taki spotka się automatycznie z przysługującą mu uwagą, jednakże o wiele łatwiej mu wówczas zaistnieć i nie można go zignorować zwykłym wzruszeniem ramion. W 1845 r. jakaś ekspedycja z innego świata badała wody zachodniego basenu Morza Śródziemnego.

W „Report of the British Association” (1860-77) czytamy też, że 12 stycznia 1836 r. świecące ciało o pozornej wielkości dwóch trzecich tarczy Księżyca widziano nad Cherbourgiem we Francji. Ciało to kręciło się jak bąk wokół własnej osi, pośrodku zaś zdawało się mieć ciemne wgłębienie.

Inna historia, zaczerpnięta z „L'Astronomie” (1894-157), dotyczy czegoś, co pojawiło się na niebie rankiem 20 grudnia 1893 r. i przesuwało się nad Wirginią oraz Północną i Południową Karoliną, obserwowane więc było przez wiele osób w tych stanach. Było to świecące ciało, lecące dość nisko nad ziemią, z prędkością bardzo zmienną, tak że zanotowano nawet jego postój, trwający około 15-20 minut. Według niektórych obserwatorów obiekt miał wielkość dużego, okrągłego stołu, innym znowu przypominał ogromne koło. Emitowane przez obiekt światło było oślepiające białe. Nie może tu też być mowy o optycznej iluzji, gdyż przelotowi tego dziwnego pojazdu towarzyszył dźwięk.

Powróćmy teraz z Ameryki na wody Zatoki Perskiej. Mamy oto przed sobą sprawozdanie złożone w Royal Meteorological Society przez pana Hoseasona, kapitana parowca „Kilwa”. Opisywane zdarzenie miało miejsce około wpół do dziewiątej rano, 4 kwietnia 1901 r. Twierdził on, że „na wodach zatoki nie było żadnej fosforescencji”, co należy specjalnie podkreślić. I oto nagle pojawiają się smugi światła – kapitan używa słowa „fale” – smuga za smugą, smuga za smugą, na powierzchni morza. Było to jednak tylko słabe światło i po piętnastu minutach stopniowo ściemniało i zgasło: pojawiwszy się nagle, zgasło stopniowo. Smugi obracały się z szybkością około 100 km na godzinę. Co do słabości światła, to musimy pamiętać, że był dzień, a światło wydobywało się spod wody.

Do starego schematu pasują fosforyzujące meduzy. W jednej z najbardziej heroicznych prób zignorowania pełnego znaczenia opisanego wyżej zjawiska, jaką była dyskusja nad relacją kapitana Hoseasona na posiedzeniu Royal Meteorological Society, członkowie Towarzystwa umówili się, że fenomenów był najprawdopodobniej spowodowany pulsowaniem długich ławic fosforyzujących meduz. Jakiś człowiek coś widzi. W górach albo na morzu, albo gdziekolwiek. Widzi coś dziwnego, co nie pasuje do jego doświadczenia i czego nie potrafi w związku z tym nazwać, a potem inni ludzie, siedząc w miękkich fotelach, tysiące kilometrów od miejsca zdarzenia, decydują, co ów człowiek widział. Warto i z tego zdawać sobie sprawę, że wygląd naszego świata często tak właśnie bywa „uzgadniany”. Wychodzi na to, że kapitan statku nie wiedział, jak wyglądają meduzy.

Kolejny ciekawy fakt znajdujemy w magazynie „Nature” (21-410) w liście R. E. Harrisa, kapitana parowca „Shahjehan”. Według zawartej w nim relacji wieczorem 5 czerwca 1880 r. kapitan Harris ujrzał coś tak dziwnego, że polecił zatrzymać statek.

Działo się to u wybrzeży Malabaru, niebo było bezchmurne, morze spokojne i gładkie. I nagle w wodzie pojawiło się światło, fale jasnego światła z pasmami cienia pomiędzy nimi. Na powierzchni wody pływały zaś plastry jakiejś nieznannej substancji. Szukając instynktownie najprostszego, konwencjonalnego wytłumaczenia zjawiska fosforescencją morza, kapitan skierował najpierw swoje podejrzenia na wspomnianą substancję, jednakże po jej bliższym zbadaniu stwierdził, że nie była ona źródłem żadnego światła, lecz że wraz z wodą morską była podświetlona przez niesamowite smugi światła z głębi. Czy były to tłuste, oleiste smary, wydzielane przez silniki zanurzonej w głębi morza konstrukcji, czy też coś innego, myślę, że substancja ta miała jakiś związek z podwodnym obiektem. „A gdy tak fala światła szła za falą, byliśmy świadkami jednego z najwspanialszych spektakli, jaki sobie można wyobrazić”. W obliczu takich zaskakujących zjawisk człowiek współczesny jest równie biernym świadkiem jak prorok Ezechiel w czasach starożytnych.

Kolejna historia pochodzi z listu pana Douglasa Carnegie, opublikowanego przez „Journal of the Royal Meteorological Society” (32-280), a datowanego na 1906 rok. Czytamy w nim, że: „W czasie ostatniej podróży byliśmy świadkami niesamowitego zjawiska związanego z elektrycznością”. Działo się to w Zatoce Oman, gdy pan Carnegie, stojąc na pokładzie i zażywając ożywczej morskiej bryzy, ujrzał najpierw ławę pozornie spokojnego, fosforycznego światła. Kiedy jednak statek zbliżył się do niej na 20 m, „smugi jasnego światła zaczęły omiatać dziób statku z niezwykłą prędkością, która mogła wynosić od 90 do 150 km na godzinę. Były bardzo regularne, oddzielone przerwami o szerokości około 60 m”. Co się zaś tyczy fosforencji morza, to „nabrałem wiadro wody i zbadałem ją pod mikroskopem, nie mogłem jednak doszukać się w niej niczego niernormalnego, powodującego świecenie”. Smugi światła musiały więc pochodzić z jakiegoś źródła w głębinach, czytamy bowiem: „Kiedy po raz pierwszy omiotły one burtę zauważyłem, że płynący statek nie ma wpływu na promienie. Rozchodziły się one od zawietrznej statku i tak jakby przechodziły pod jego dnem”. Zauważmy na koniec, że Zatoka Oman znajduje się u wejścia do Zatoki Perskiej.

I jeszcze jeden list drukowny przez nieoceniony „Journal” (33-294). Autorem listu jest pan S. C. Patterson, drugi oficer na parowcu Delta. Relacja dotyczy wydarzenia, które miało miejsce w Cieśninie Malacca o drugiej nad ranem 14 marca 1907 r.:

„...smugi, które zdawały się obracać wokół centrum jak szprychy wielkiego koła, a miały chyba po 300 m długości. Zjawisko trwało około pół godziny, w którym to czasie okręt przepłynął prawie sześć mil. Następnie światło dość nagle zgasło”.

Uderzająco podobny widok opisuje też korespondent „L'Astronomie” (1891-312), który w październiku 1891 r. płynął po Morzu Chińskim. Píše on o smugach i słupach światła, które wyglądały tak, jak gdyby pochodziły od obracającej się pod wodą latarni.

Nie wiem, czy nie jest to już męczące, ale fakty mają prawo mówić, a zgromadzone w masę ukazują swoją siłę. Oto raport złożony w Admiralicji przez kapitana Evansa, hydrografa British Navy, publikowany następnie w „Nature” (20-291). Raport dotyczy statku „Vulture”, płynącego po wodach Zatoki Perskiej, którego dowódca, J. E. Pringle, zauważył 15 maja 1879 r. pulsujące błyski, które przesuwaly się w wodzie z dużą szybkością. W tym wypadku mamy dokładną obserwację, że źródło jasności znajdowało się pod wodą. Czytamy bowiem, że fale światła przesuwaly się pod dnem statku. „Patrząc w kierunku wschodnim widzieliśmy coś, co wyglądało jak wielkie obracające się koło, z wyraźnie dostrzegalnym centrum, zaś jego szprychy były oświetlone. Patrząc na zachód ujrzeliśmy podobne koło, które jednak obracało się w przeciwnym kierunku. Fale tego światła pochodziły wyraźnie z głębi wody”. W opinii komandora Pringle'a smugi światła tworzyły tylko jedno koło, drugie zaś było złudzeniem. Być może takie rzeczy są na szerokich wodach możliwe. Komandor oceniał, że smugi miały po 8 m szerokości, zaś przerwy między nimi po 30 m. Szybkość obrotu wynosiła około 120 km na godzinę. Zjawisko obserwowano przez pół godziny, a przed spektaklem i po nim statek przepływał pomiędzy płatami jakiejś nieprzejmnej substancji, która wyglądała jak „gęsta, oleista ikra”.

Uderzające jest podobieństwo tych opisów: te same skojarzenia, ten sam precyzyjny język. Raport złożony w Duńskim Instytucie Meteorologicznym przez kapitana Gabe, dowódcę duńskiego parowca „Bintang”, mówi również o wielkim obracającym się kole światła na powierzchni wody, o „długich ramionach wychodzących z centralnego punktu, wokół którego odbywało się krążenie całego systemu”. Rozmiary zjawiska były tak ogromne, że tylko jedna jego połowa była dobrze widoczna, centrum zaś znajdowało się blisko horyzontu. Cały spektakl trwał 15 minut, miał zaś miejsce o trzeciej nad ranem 10 czerwca 1909 r. w Cieśninie Malacca („Scientific American”, 106-51).

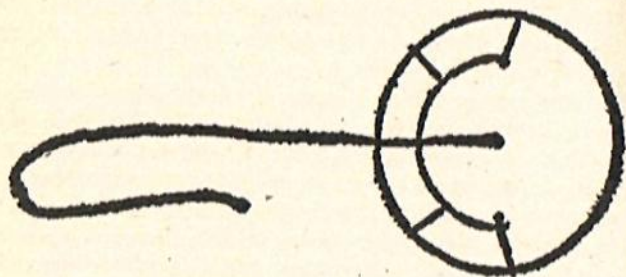
Duński Instytut Meteorologiczny donosi również o innym przypadku, zanotowanym przez pana Breyera, kapitana parowca „Valentijn”, który 12 sierpnia 1910 r. znajdował się ze swym statkiem na Chińskim Morzu Południowym i również oglądał obracające się słupy światła. Działo się to koło północy, a zjawisko wyglądało „jak wielkie, obracające się szybko w położeniu horyzontalnym koło”. Tym razem dowiadujemy się jednak, że światło znajdowało się na powierzchni wody. Fenomen obserwowany był wspólnie przez kapitana statku, pierwszego i drugiego mata oraz pierwszego inżyniera „wywierając na wszystkich dość niepokojące wrażenie”.

Trudno się dziwić. Na jednym z pradawnych posiedzeń British Association jeden z jego członków, sir W. S. Harris, przedstawił relację dostarczoną mu przez kapitana pewnego statku, który natknął się na dwa „toczące się ku nam ogniste koła, które moi ludzie określili później jako młyńskie koła ognia. Gdy koła te znalazły się blisko statku nastąpił straszliwy łoskot, a maszty trzęsły się tak, jakby miały zamiar rozlecieć się w drobniaki”. Czytamy też, że w powietrzu było czuć silny siarczany odór („Athenaeum”, 1848-833).

Wróćmy jeszcze na koniec do bezcennego „Journal of the Royal Meteorological Society” (1-157), który drukuje fragmenty z dziennika pokładowego barkentyny „Lady of the Lake”, dowodzonej przez kapitana F. W. Bannera. Mamy tu relację dokładną i suchą, pozbawioną emocji, typową dla doświadczonego marynarza. Otóż 22 marca 1870 r., żeglując przez Atlantyk (5°47' szerokości geograficznej północnej i 27°52' długości geograficznej zachodniej), kapitan Benner został wywołany przez marynarzy na pokład „z powodu bardzo dziwnej chmury na niebie”. Była to „chmura” o regularnym kolistym kształcie, z połową obwodu podzieloną na cztery sektory, zaś jedna z dzielących sektory linii zaczynała się w środku koła i wybiegała na zewnątrz, stanowiąc długi, zakręcony na końcu ogon.

Podkreślamy najpierw regularny, geometryczny kształt, złożoność i stabilność formy. Prawdopodobieństwo, że była to chmura jest niezmiernie małe. Obiekt wędrował po niebie z punktu wzniesionego około 20° nad horyzontem do punktu około 80°, następnie zaczął się zniżać i oddalać w kierunku północno-wschodnim. Jedynie swym jasnoszarym kolorem obiekt ten przypominał chmurę, unosił się jednak znacznie niżej niż warstwa innych chmur, ważniejsze jednak, że cokolwiek to było, poruszało się pod wiatr: „Napłynęło ukośnie pod wiatr, a na-

stępnie, obniżając lot, skierowało się dokładnie w tę stronę, skąd wiał wiatr". Tę dziwną formę oglądano przez pół godziny, a kiedy ostatecznie zniknęła z zasięgu wzroku, to nie dlatego zniknęła, że rozplynęła się jak inne chmury, lecz ponieważ zniknęła na horyzoncie w zapadającym mroku. Kapitan Banner wykonał też rysunek tego niezwykłego obiektu:



Rozdział XX

Chmury ogoniastych. Torpedy. Ogniste kule

Czasopismo „North American Review” (3-319) publikuje pewne fascynujące materiały, odkryte wśród druków Szwedzkiej Akademii Nauk. Jest to relacja pana Achariusa, który „zasłyszawszy o dziwnych i dotąd nie oglądanych fenomenach” ze szwedzkiego miasteczka Skeninge wybrał się tam, by zbadać sprawę na miejscu. Z tego co zebrał wynika, że 16 maja 1808 r. o czwartej po południu słońce nad miasteczkiem nagle pociemniało, przybierając intensywny czerwony kolor. W tym samym czasie nad zachodnią częścią horyzontu ukazała się wielka chmara okrągłych ciemnobrązowych ciał o wielkości główki przeciętnego kapelusza. Obiekty te przesunęły się po niebie ponad głowami mieszkańców Skeninge i zniknęły na wschodzie. Ta niezwykła procesja trwała dwie godziny, można więc sobie wyobrazić liczbę tych stworzeń: musiały ich być tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy. A teraz uwaga – jedno z tych ciał spadło na ziemię, kiedy zaś na miejsce upadku przybiegli ludzie, leżała tam wilgotna i cienka warstwa czegoś, co szybko wyschło i znikło. Więc tak wyglądają? Oglądane na tle słońca ciała te zdawały się niekiedy łączyć ze sobą albo też były już połączone, jednak w grupy nie przekraczające ośmiu sztuk. U tych, które leciały niżej, widać było długie na 5,5-7,5 m ogony. Jednak z dala od słońca ogony były niewidoczne, co sugeruje ich półprzejrzystość. Czymkolwiek była substancja tych ciał, opisywano ją jako „oślizłą i galaretowatą”.

Umieszczam tu opis tego ciekawego wydarzenia z wielu powodów. Jest to więc po pierwsze bardzo dobre ukoronowanie wszystkiego, co pisaliśmy na temat hord niewielkich, unoszących się w powietrzu ciał, które naszym zdaniem nie były ani nasionami, ani ptakami, ani też kryształkami lodu. Oczywiście, jeśli chodzi o takich stadnych wielbicieli Ziemi, to nie należy

zakładać, że jest ich tylko jeden rodzaj. Przeciwnie, ich różnorodność może być nieograniczona. Na Ziemi również, jeżeli coś się skupia w stada to niekoniecznie muszą to być owce, lecz mogą to być kibice sportowi, gangsterzy lub morświny. Zdarzenie to jest również bardzo ważne, ponieważ wskazuje, że przebywanie w ziemskiej atmosferze może być dla niektórych z tych istot niebezpieczne. Przychodzi mi teraz do głowy przypuszczenie, że widziano już tysiące takich obiektów, które spadały z góry i eksplodowały z błyskiem światła, obłaskawione i zakatalogowane pod nazwą „piorun kulisty.”

Pochód wykłęk gęstnieje miast rzędnać. Nie przypuszczam nawet, że szperając w stosach pism, sprawozdań i protokołów z posiedzeń różnych uczonych towarzystw, uwolnię taką rzeszę zapomnianych, pominiętych, skazanych na los ciekawostek jednej chwili faktów. I oto idą wszystkie, tłoczą się, cisną, nie sposób ich zatrzymać, nie sposób odmówić im prawa do tej jedynej procesji.

„Niezwykłe i szczególne zjawisko”, północna Walia, 26 sierpnia 1894 r.: admirał Ommanney opisuje dysk, z którego wystawało coś przypominającego wydłużoną pomarańczową fladę („Nature”, 50-524); dysk, z którego wystawało coś w rodzaju haka – widziany w Indiach, w 1838 r.; dysk wielkości tarczy Księżyca, lecz jaśniejszy niż Księżyc – widocznych przez 20 minut, obserwowany przez G. Pettita („Report of the British Association”, 1849); bardzo jasny, zakrzywiony jak hak obiekt widziano nad miejscowością Poland w hrabstwie Trumbull, w stanie Ohio; podczas deszczu meteorów w 1833 r. – obserwowano je przeszło godzinę; wielkie świecące ciało, „przez jakiś czas prawie stacjonarne”, o kształcie podobnym do kwadratowego stołu – biały kruk wśród kół, dysków i trójkątów – Wodospad Niagara, 13 listopada 1833 r. („American Journal of Science”, 1-25-391); coś co opisuje się jako jasną, białą chmurę, z której tryślały oślepiające promienie światła, „ona zaś żeglowała po niebie, cały czas zachowując ten sam kształt – w nocy 3 listopada 1886 r., nad miejscowością Hamar w Norwegii („Nature”, 16 grudnia 1886); świecący obiekt wielkości tarczy Księżyca, obserwowany przez półtorej godziny w Chile – 5 listopada 1883 r. („Comptes Rendus”, 103-682); coś podobnego do olbrzymiej trąby, zawieszzone pionowo w powietrzu i kołyszące się lekko, widoczne przez kilka minut; długość tego ciała szacowano na około 130 m – 6 lipca 1874 r., Oaxaca w Meksyku („Scientific American Supplement”, 6-2365); coś ogoniastego przesuwało

się przez pół godziny na tle tarczy Księżyca 26 września 1870 r. („London Times”, 30 września 1870); jakiś obiekt, ponad czterokrotnie większy od tarczy Księżyca przesuwał się wolno po niebie w okolicach Adrianopola – 1 listopad 1885 r. („L'Astronomie”, 1886-309); duży czerwony obiekt sunął wolno nad Marsylią 1 sierpnia 1871 r. – był widoczny przez kwadrans („Chemical News”, 24-193); szarawy obiekt o długości jednego metra zbliżył się do ziemi z grzotem głośnym jak piorun w Saarbucken – 1 kwiecień 1826 r. („American Journal of Science”, 1-26-133); jakiś obiekt świecący na niebie jak planeta Jowisz, „emitujący krótkie, szybkie fale światła” („Year Book of Facts”, 1845-278).

A przecież to nie wszystko, to tylko widoczna część pochod. Inni tłoczą się z tyłu i w środku, niewidoczni za plecami wyższych, a są też fakty przeoczone, zagrzebane na zawsze pod warstwami kurzu, skarby ukryte w mało znanych pismach, nie mówiąc o tych, które nigdy nie zostały zapisane.

Zajmijmy się teraz obserwacjami tajemniczych ciał o cylindrycznym kształcie, które pojawiają się czasem w ziemskiej atmosferze, długimi cylindrami zaostrzonymi na obu końcach lub przypominającymi torpedy. Posiadane przez nas opisy nie przynoszą zbyt wielu szczegółów, jednakże z różnych fragmentarycznych sprawozdań można wyciągnąć wniosek, że międzyplanetarne szlaki przemierzane są również przez torpedowate konstrukcje, które czasem okazjonalnie odwiedzają ziemską atmosferę, bądź trafiają tu na skutek jakiegoś przymusu. Z różnych danych wynika bowiem, że wchodząc w atmosferę naszej planety obiekty te ulegały kontuzjom, które mogłyby prowadzić do ich zupełnej dezintegracji, gdyby się szybko nie wycofały; opuszczając zaś Ziemię gubiły lub może umyślnie pozbywały się pewnych przedmiotów, które prawie natychmiast rozpadały się albo też eksplodowały z hukiem. Co do ich wielkości, to zakładam, że większość ocen jest bezwartościowa. Obiekt, o którym się mówi, że miał 1,80 m długości mógł w rzeczywistości 1800 m, natomiast postrzeganie kształtu jest bardziej wiarygodne i nie podlega zasadniczym zniekształceniom z powodu odległości.

Tak więc „Nature” (40-415) informuje, że 5 sierpnia 1889 r., w czasie gwałtownej burzy nad East Twickenham w Anglii, spadł z nieba – dość powoli – jakiś przedmiot, mający przypuszczalnie około 37 cm długości, który po zetknięciu się z gruntem gwałtownie eksplodował, nie pozostawiając po sobie żad-

nych śladów. Czytamy też w „L'Annee Scientifique” z 1864 r., że słynny astronom Leverrier przedstawił Francuskiej Akademii Nauk trzy dostarczone mu przez obserwatorów listy, w których twierdzą oni, że widzieli na niebie długie świecące ciało o zastrzonych, stożkowatych końcach. Podobny zupełnie fakt opisyje Flammarion w *Thunder and Lightning*. Czytamy tam, że w czasie gwałtownej burzy 20 sierpnia 1880 r. A. Trecul, członek Akademii Francuskiej, obserwował torpedowate, świecące silnym, jasnożółtym blaskiem ciało o długości około 40 cm i szerokości 25 cm. „Było to cylindryczne ciało z końcami w formie łagodnych, zaokrąglonych stożków”. Z ciała tego następnie coś odpadło, ono samo zaś zanurzyło się w chmurach. Rzecz, która odpadła, robiła wrażenie ciężkiej, gdyż spadała zupełnie pionowo, ponadto zostawiała ona za sobą świetlisty ślad. Nie było przy tym nic słychać, lecz mogła tu w grę wchodzić znaczna odległość.

A teraz mamy nieco dłuższą historię, opisywaną na łamach „Monthly Weather Review” przez biskupa Johna S. Michauda: „Stałem właśnie na rogu ulicy Kościelnej i Kolegialnej, akurat na wprost Banku Howarda, z twarzą zwróconą w kierunku wschodnim, rozmawiając z panem Woodburym i z panem Buelllem, gdy nagle, bez najmniejszej uprzedzającej oznaki, bez żadnego ostrzeżenia, ogłuszyła nas okropna eksplozja, która najwyraźniej zdarzyła się gdzieś w pobliżu. Unosząc wzrok i patrząc odruchowo w kierunku wschodnim, wzdłuż ulicy Kolegialnej, ujrzałem w odległości około 90 m zawieszony w powietrzu obiekt o kształcie torpedy. Obiekt ten znajdował się około 150 m ponad dachami budynków. Co do jego rozmiarów, to mógł mierzyć około 1,80 m długości i 20 cm średnicy. Powłoka obiektu była ciemna, lecz z różnych jej punktów wydobywało się coś jak języki ognia. Na samym początku obiekt trwał nieruchomo w powietrzu jak zawieszona nad ziemią wałka, wkrótce jednak zaczął się wolno przesuwac w kierunku południowym i zniknął za sklepem braci Dolan. W trakcie ruchu jego zewnętrzna skorupa zdawała się pękać i więcej intensywnie czerwonych płomieni ukazało się w szczelinach” („Monthly Weather Review”, 1907-310).

Zdarzenie miało miejsce 2 lipca 1907 r. w mieście Burlington, w stanie Vermont.

Co spowodowało eksplozję? Czy było to coś, co zostało wyrzucone z torpedowej konstrukcji, zanim zniknęła ona na niebie?

Zjawisko, które mamy zamiar przedstawić teraz, jest nadzwyczajne z uwagi na wielką ilość zanotowanych obserwacji. Zdarzyło się 17 listopada 1882 r. i według mojej opinii była to wielka sterowana superkonstrukcja, która przeleciała tego dnia nad Anglią, choć przez nieokreślonosc wszystkich rzeczy w ni-by-egzystencji, niektóre obserwacje można interpretować na sto i więcej sposobów. Opis znajduje się w magazynie „Observatory” (39-214). Redakcja tego pisma poprosiła mianowicie znanego astronoma, pana E. W. Maundera, by z okazji wydania pięćsetnego numeru pisma napisał coś ze swoich wspomnień, coś szczególnego, wybijającego się w żmudnym i melancholijnie spokojnym zajęciu obserwatora. Pan Maunder wybrał więc coś, co nazwał „dziwnym przybysem z nieba”. Było to w nocy 17 listopada, zaś autor wspomnienia znajdował się wówczas w Royal Observatory w Greenwich, przyglądając się pewnej ciekawej zorzy na niebie. Ciekawosc jego wzbudził głównie fakt, że pośrodku tej zorzy pojawiła się duża okrągła plama zielonkawego światła, która sunęła gładko po nieboskłonie. Okrągły kształt okazał się zresztą efektem skrótu perspektywicznego – inni obserwatorzy opisywali go później jako „podobny do cygara”, „torpeda”, „wrzeciono”, „czólenko”. Pomysł, że był to skrót perspektywiczny nie pochodzi ode mnie, lecz od samego Maundera. Pisze on: „Gdyby zdarzenie to obserwowano jedną trzecią wieku później, każdy z obserwatorów wybrałby to samo porównanie – byłoby to coś bardzo podobnego do zeppelinu”. Czas trwania zjawiska wynosił około dwóch minut. Kolor obiektu przypominał barwę jarzącej się na północy zorzy, jednakże Maunder podkreśla, że rzecz ta nie miała żadnego związku z zorzą poza tym, że ukazała się na jej tle: „Wydaje się, że było to odrębne, niezależne ciało”. Poruszało się ono zbyt szybko jak na jakąkolwiek chmurę i w niczym nie przypominało meteoru. J. Rand Capron sugeruje na łamach „Philosophical Magazine” (5-15-318), że było to coś w rodzaju promieni zorzy, cytując przy tym liczne opisy wydłużonego kształtu obiektu, a także uwagę na temat ciemnego jądra pośrodku tego ciała. Przytacza on zresztą mnóstwo pogmatwanych obserwacji, ocenia wysokość zjawiska na 60 do 300 km i pisze o obserwacjach w Holandii i Belgii. Wszelako w oparciu o własne badania spektroskopowe uważa on, że nie było to nic innego, jak tylko wędrujący promień zorzy polarnej. Możemy w to jednak powątpiewać, ponieważ ten sam astronom pisze w „Nature” (27-84), że z powodu jasnego światła księżyca tej nocy niewiele mógł zdziałać ze swym spektroskopem. By uzupeł-

nić jeszcze naszą wiedzę możemy dodać, że w jednym z opisów jego autor utrzymuje, iż przez obiekt prześwitywały jasne gwiazdy („Nature”, 27-87). Mamy też „cętkowaną powierzchnię”, „zdecydowanie określoną formę torpedy”, mamy hipotezę dr. Gronemana, że była to chmura materii meteorytowej i bez wątpienia jakieś „zjawisko elektryczne”. W londyńskim „Timesie” z 20 listopada redaktor pisma powiada, że otrzymał mnóstwo listów na temat tego zjawiska i publikuje dwa z nich. Jeden z korespondentów opisuje to co widział jako „podobne do ryby, niezwykłe i niepokojące”, drugi zaś, że było to „wspaniałe świecące ciało, ukształtowane na podobieństwo torpedy”.

Niebo jest i zawsze będzie pełne niespodzianek.

A teraz kilka notatek na temat dziwnych światel. Czytamy więc w „Notes and Queries” (5-3-306), że osiem nieznanych światel, poruszających się niewysoko nad ziemią, obserwowano na obszarze kilku kilometrów w Walii. Światła te trzymały się ustalonego porządku, lecąc jakby w szyku, niezależnie od tego czy poruszały się pionowo, czy poziomo, czy też wykonywały zygzakowate ewolucje. Wyglądały one na światła elektryczne – gasnąc, zapajając się stopniowo i jarząc się potem z niezwykłą jasnością. „Widzieliśmy później jeszcze trzy lub cztery z nich po kilka razy” – dodaje świadek zjawiska. Píše o tym również londyński „Times” z 5 października 1887 r.: „Od czasu do czasu zachodnie wybrzeże Walii zdają się być sceną tajemniczych światel, teraz zaś mamy informację z Towyn, że w ciągu ostatnich kilku tygodni widziano różnobarwne światła, unoszące się nad ujściem rzeki Dysynni i nad pełnym morzem. Generalnie poruszają się one w kierunku północnym, lecz czasami trzymają się wybrzeża i mkną z wielką szybkością przez wiele mil morskich w kierunku Aberdovey, potem zaś znikają nagle i bez śladu”.

Mamy też podobne doniesienia z Francji. Czytamy oto w „L'Annee Scientifique” z 1877 r., że 23 marca tego r. widziano jakieś dziwne światła nad Vence, ulubionym miejscem pobytu wielu artystów i pisarzy. Świadkowie wydarzenia opisywali je jako ogniste kule o oślepiającym blasku, które wynurzyły się z obłoków i żeglowały ostatecznie po niebie, zmiierzając z południa ku północy. Można je było oglądać przez ponad godzinę. Czytamy też, że podobne światła widziano nad Vence osiem lub dziesięć lat wcześniej. Myślę, że niektórzy ludzie są tak przyzwyczajeni do pozaziemskich odwiedzin, że nie zwracają sobie nimi głowy.

Powróćmy jednak znów do Anglii. Londyński „Times” z 19 września 1848 r. píše, że dwa jasne, podobne do gwiazd świa-

ła widziano na niebie w Inverness, w Szkocji. Czasem zatrzymywały się one w jednej pozycji, to znów zmieniały położenie, poruszając się z wielką prędkością. Szczególnie ciekawa jest owa wielka prędkość, gdyż świadczy ona, że obiekty te musiały się znajdować dość nisko nad ziemią.

„L'Annee Scientifique” z 1888 r. píše o dużym sferycznym świetle i dwóch mniejszych, które obserwowano 30 lipca 1880 r. w okolicach St. Petersburga. Ich widoczność trwała trzy minuty, potem znikły bezgłośnie.

„Falszywe światła z Durham”

Regularnie co jakiś czas angielskie czasopisma z połowy XIX wieku zamieszczały doniesienia o ukazywaniu się dziwnych światel nad hrabstwem Durham, a najczęściej nad jego wybrzeżem. Marynarze zwykli je często brać za światła latarni morskich i wiele statków wpadło z ich powodu na skały. Oskarżano więc o nie miejscowych rybaków, którzy mieli celowo rozpalać ogniska, by powodować katastrofy i grabić rozbite statki. Rybacy odpierali te oskarżenia twierdząc, że ofiarami wypadków były głównie stare, bezwartościowe statki, zazwyczaj bez żadnego ładunku, sugerując tym samym, że katastrofy były owszem celowe, lecz że chodziło w nich o wyciągnięcie pieniędzy od kompanii ubezpieczeniowych. W 1866 r. (londyński „Times” z 9 stycznia) podniecenie tą sprawą osiągnęło szczyt, rozpoczęto zatem oficjalne dochodzenie. Powołano komisję z admirałem Collinsonem na czele, która przesłuchiwała dziesiątki świadków. Jeden z nich opisywał światło, które go zwiódło jako „znajdujące się dość wysoko w górze”. W sumie wysokiej komisji nie udało się dojść do żadnych wniosków, prócz tego, że światła nazwano „tajemniczymi”. W 1867 r. sprawę podjął Wydział Pilotażu w Tyne, osiagając tyle, co i komisja Collinsona. Burmistrz Tyne stwierdził tylko, że jest to „tajemnicza sprawa”.

Ciekawą historię publikuje „Journal of the Royal Astronomical Society of Canada” z grudnia 1913 r. Czytamy tam mianowicie, że według licznych świadectw zebranych przez prof. Charadę z Toronto, nocą 9 lutego 1913 r. nad terytorium Kanady, Stanów Zjednoczonych i nad Bermudami widziano w powietrzu liczne świecące ciała. Miały one długie ogony i według

niektórych świadków potrafiły gwałtownie zwiększać swe rozmiary. „Obserwatorzy różnią się w opiniach, czy były to grupy, czy też pojedyncze, złożone z trzech lub czterech elementów ciała”. Grupy te czy też złożone struktury poruszały się „szczególnie majestatycznie. Znikały one w przestrzeni, zaś z miejsca, w którym ukazał się pierwszy obiekt, pojawiały się następnie, znów płynąc majestatycznie i znikając w oddali – w szyku po dwa, trzy lub cztery”. Niektórzy obserwatorzy porównywali ten spektakl do flotyli powietrznych statków, inni do bojowych eskadr krążowników i niszczycieli. Według jednego z opisujących zdarzenie świadków „było chyba około trzydziestu takich obiektów, poruszających się w szyku, po cztery, trzy i dwie sztuki, jedna eskadra za drugą, w sposób tak precyzyjny, że można by je wziąć za podniebną flotę, manewrującą po wielu tygodniach wyczerpujących ćwiczeń”.

O dziwnych świecących ciałach pisze w liście opublikowanym przez magazyn „Nature” z 25 maja 1893 r. kapitan Charles J. Norcock, dowódca okrętu „Caroline”. Czytamy w nim, że 24 lutego 1893 r. o dziesiątej wieczorem na wodach między Szanghajem i Japonią, stojący na wachcie oficer zauważył „jakieś niezwykle światła”. Kiedy pan Norcock wyszedł na pokład, żeby zobaczyć w czym rzecz, ujrzał na tle ciemnego masywu wysokiej góry – statek płynął w niewielkiej odległości od brzegu – krągłe, świetliste obiekty, które krążyły między statkiem a górą, doskonale widoczne, łączące się czasem w grupę, a czasem rozciągając się w nieregularną linię. Po dwóch godzinach obserwacji światła zniknęły, oddalając się w kierunku północnym.

Następnej nocy widziano je znowu. W pewnym momencie ciała te zniknęły, zasłonięte niewielką wyspą, później pojawiły się ponownie, zmierzając na północ, a więc w kierunku ruchu statku. Ich prędkość była również podobna do prędkości statku, stąd czas obserwacji zjawiska był niezwykle długi, wynosił bowiem siedem i pół godziny. Wyniesiono na pokład teleskop, jednak z powodu kołysania się okrętu nie udało się za jego pomocą zobaczyć zbyt wiele. Zauważono tylko, że ciała rzucały blask na wodę, poza tym miały one czerwoną barwę i zdawały się emitować jakiś dym. Kapitan Norcock pisze dalej, że w tym samym mniej więcej czasie światła te widział również kapitan Castle, dowódca okrętu wojennego „Leander”, który również pływał po wodach u wybrzeży Chin. Kapitan Castle twierdził nawet, że widząc światła zmienił kurs i skierował okręt w ich

stronę, lecz wówczas zaczęły się one oddalać, jakby chciały uniknąć spotkania, a następnie uniosły się wysoko w niebo.

Następna nasza notatka pochodzi z marcowego numeru „Monthly Weather Review” z 1904 r. Jest to relacja porucznika Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, dowódcy okrętu „Supply”, Franka H. Shofielda. 24 lutego 1904 r. załoga tego statku ujrzała trzy świecące obiekty różnej wielkości, najpokaźniejszy o rozmiarach sześciu tarcz słonecznych. Dostrzeżono je pod chmurami na wysokości 1,5 km. W chwilę później uniosły się one wyżej i zniknęły w obłokach. Manewr ten, jeśli można użyć tego słowa, został wykonany jednocześnie i z wielką dyscypliną.

Dziwne ślady w hrabstwie Devon

Pewien czytelnik „Notes and Queries” usłyszał w czasie pobytu w hrabstwie Devon frapującą historię sprzed trzydziestu pięciu lat, a była ona dziwna, że zwrócił się on do redakcji pisma, a także do innych czytelników, którzy mogli ją pamiętać, z prośbą o wyjaśnienie. Chodziło o ślady na śniegu.

Oto pewnego zimowego ranka mieszkańcy południowej części hrabstwa, wygrzebawszy się z ciepłych łóżek, zobaczyli świeży śnieg pokryty mnóstwem śladów, jakich nigdy w tej okolicy nie widziano. Były to pazury o trudnej do sklasyfikowania formie, z występującymi na przemian, w regularnych choć wielkich odstępach, śladami czegoś, co mogło być laską lub tyczką. Tropy te budziły zdziwienie same w sobie, lecz jeszcze dziwniejsza była ich liczba. Znajdowano je wszędzie, na znacznym obszarze hrabstwa – pokrywały pola i ogrody, nie robiąc sobie nic z licznych w angielskim krajobrazie przeszkód, jak mury i żywopłoty. Coś przesadzało nawet domy i spacerowało po dachach. Można więc sobie wyobrazić podniecenie mieszkańców hrabstwa; tropem tajemniczej istoty wyruszyła wyprawa uzbrojonych myśliwych z psami; dotarła ona jednak tylko do skraju pobliskiego lasu, gdzie psy, jeżąc sierść i szczerząc kły, wycofały się trwożnie i nikt z ludzi nie odważył się wejść głębiej.

Po opublikowaniu tego listu i powyższej historii odezwali się czytelnicy z Devon. Jeden z nich twierdząc, że pamięta dobrze całą sprawę, wyjaśnił, iż chodziło wówczas o borsuka: „Ustalono to szybko i podniecenie opadło w ciągu jednego dnia” („Notes and Queries”, 7-9-18). Inny czytelnik przypomniał sobie znowu, że przez wiele lat miał w domu szkice tych śladów, wykonane przez jego matkę na podstawie tego, co było odcisnięte na śniegu w ich ogrodzie, i że były to ślady kopyt – należące jednak do istoty dwunożnej („Notes...”, 7-9-70).

Dziwna jest ludzka pamięć, a historia ta dobrze ilustruje jej zawilość. Następny czytelnik pisze o podnieceniu i konsternacji

„ludzi pewnego pokroju”. Autorem śladów był kangur, który uciekł z menażerii – jednakże „ślady te były tak dziwne, a susy tak duże, że dało to początek przesądnej obawie, iż w okolicy pojawił się diabeł”.

Tyle na temat świadków, „którzy dobrze pamiętają całą sprawę”. Przytoczyliśmy tych kilka fragmentów, by pokazać jak działa mechanizm dopasowywania czegoś dziwnego do bezpiecznej i dobrze znanej nam rzeczywistości. Działał tu nie tylko czas, lecz również takie mechanizmy jak dodawanie czegoś, co nie miało miejsca, pomijanie i przekreślanie. Weźmy na przykład zdanie „podniecenie opadło w ciągu jednego dnia”. Gdybym wierzył, że tak się rzeczywiście stało, byłbym pewnie skłonny uznać, że nic szczególnego nie zdarzyło się w hrabstwie Devon w lutym 1855 r. Mamy jednak na szczęście bezpośrednie źródła z tego okresu, zaś z nich wynika, że podniecenie trwało – kilka tygodni.

Warto pamiętać, że wszystkie bez wyjątku zjawiska są wyjaśniane przy pomocy aparatury pojęciowej dyrygowanej przez wiodący paradygmat danego okresu. Dlatego tak często rezygnujemy z prób rzeczywistego wyjaśnienia i zrozumienia czegokolwiek na rzecz stworzenie składanej opinii i gładkiego sądu, który będzie potem powtarzany w nieskończoność z etykietką niewątpliwej „prawdy”. Diabeł znaczący śnieg swymi kopytami należy do paradygmatu epoki teologicznej i stąd, jak sądzę, niektórzy z piszących swe wspomnienia czytelników „Notes and Queries” dokonali podświadomej korekty pamięci, żeby uniknąć nieprzyjemnych dla naukowo i racjonalistycznie zorientowanej dziewiętnastowiecznej postawy skojarzeń, zastępując kopyta pazurami. W XIX wieku żadne niejasne ślady nie powinny być śladami kopyt, gdyż wróg wciąż czyhał, dla niepoznaki zagrzebany płytko w ziemi. Stąd polityczna decyzja prof. Owena, jednego z wiodących biologów tego okresu – ślady w Devon były śladami pazurów. Kiedy jednak udało mi się znaleźć podobizny tych śladów w Bibliotece Publicznej Nowego Jorku, zobaczyłem na własne oczy, że żadna z nich nie przypominała w najmniejszym nawet stopniu odcisków pazurów. Profesor Owen niczego nie wyjaśniał – profesor Owen dopasowywał.

Inny element adaptacji to osadzenie zdarzenia w bliskiej nam scenerii baśni lub konwencjonalnej opowieści grozy – te psy warczące glucho, jeżące sierść, przerażone, i las, ciemny, tajemniczy, jakby zaczarowany, z jakimś nieznanym potworem w głębi. Tymczasem tropienie śladów przez myśliwych owszem

było, ale o warczących glucho psach nie ma w źródłach współczesnych tej historii żadnej wzmianki.

Wymyślenie kangura odpowiadało potrzebie wyjaśnienia dużych susów, a także faktu znajdowania tych śladów na dachach. Wyobraźmy sobie kangura harczącego nocą po zasypanych śniegiem domostwach hrabstwa Devon i przygrywającego na skrzypcach. Z całą pewnością bowiem był to kangur grający na skrzypcach. Ilość śladów była zresztą tak zdumiewająca, że wkrótce potem dorobiono drugiego kangura. Ten z kolei grał na flecie. Niestety jednak nawet tak poważne nadwężanie wyobraźni nie mogło zaspokoić potrzeb. Rzecz w tym bowiem, że ślady te podążały wyłącznie w jednej linii. Moim skromnym zdaniem najprościej byłoby więc przyjąć, że owej białej, śnieżnej nocy po polach i dachach hrabstwa harcowało nie mniej niż tysiąc jednonogich kangurów, a każdy podkuty małą kangurzaną podkową i grający na harfie.

Jak więc ta sprawa wyglądała z bliska? Londyński „Times” z 16 lutego 1855 r. pisze: „Niezwyczajną sensację w miasteczkach Topsham, Lymphstone, Exmouth, Teignmouth i Dawlish w hrabstwie Devon wywołało odkrycie wielkiej liczby tropów o bardzo dziwnym i tajemniczym wyglądzie”. Dalej czytamy, że rankiem 8 lutego niezliczoną ilość tych tropów odkryto zarówno w wymienionych miasteczkach, jak i pomiędzy nimi. Znajdowano je w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, w otoczonych wysokimi murami ogrodach i na dachach domostw. W Lymphstone nie było prawie ogrodu, który nie byłby naznaczony. Ponieważ zaś wszędzie wiodły one w jednej linii założono, że „był to raczej dwunóg niż czworonóg”, jak gdyby dwunożnemu stworzeniu było łatwiej umieszczać stopy w jednej linii. Czytamy też, że odstępki pomiędzy poszczególnymi odciskami wynosiły po około 20 cm – widzimy więc, że nie były to żadne kangurze susy. „Odciski te przypominały dość blisko ośle podkowy i mierzyły wszcz 4-6 cm”.

A więc były to półokrągłe wgłębienia.

Czytamy też w „Timesie”, że „w ostatnią niedzielę nawiązał do tej sprawy w swym kazaniu wielebny pastor Musgrave, sugerując możliwość, że odciski te pochodzą od jakiegoś kangura, choć jest to mało prawdopodobne, gdyż znajdowano je po obu stronach niezamarzniętej rzeki Este. Na razie jest to ciągle zagadka i wielu przesądnych ludzi z wymienionych wyżej miasteczek obawia się wychodzić za drzwi po zapadnięciu mroku”. Warto tu dodać, że ujście Este ma dwie mile szerokości.

W miesiąc prawie po odkryciu tych śladów czytamy w „Timesie” z 6 marca 1855 r., że „zainteresowanie tą sprawą zdaje się nie słabnąć i ciągle podejmuje się nowe próby odkrycia pochodzenia śladów, które spowodowały tak wielką konsternację w ubiegłym miesiącu. W uzupełnieniu okoliczności opisywanych przez nasze pismo niedawno temu możemy dodać, że w miasteczku Dawlish zebrala się pewna ilość osób uzbrojonych w strzelby i inne śmiertelne narzędzia w celu wytropienia i zabicia zwierzęcia, które z tak pracowitą pasją pomnażało swe ślady. Jak jednak można było przypuszczać wyprawa wróciła z niczym. Ślady te spowodowały lawinę różnych domysłów i spekulacji. Niektórzy twierdzą, że to kangur, inni utrzymują, że są top odciski pazurów jakiegoś dużego ptaka, przegnanego znad brzegu morza przez kiepską pogodę. Rozeszły się też pogłoski, że schwytano jakieś zwierzę, które uciekło z menażerii. Wszystko to jednak jest w dalszym ciągu bardzo niejasne i spowite tajemnicą”.

Dużo miejsca poświęcił tej historii magazyn „Illustrated London News”, zaś w wydaniu z 24 lutego możemy oglądać rycinę przedstawiającą wygląd odcisków. Są to stożkowate wgłębienia, przypominające odciski kopyt małego źrebaka, smuklejsze jednak i bardziej wydłużone. A przede wszystkim utrzymane w jednej linii. W piśmie tym czytamy również, że ślady, które przedstawia zamieszczony szkic, miały regularne odstępki 20 cm i była to „miara niezmienna w każdej parafii”. Prócz tego wymienia się więcej miejscowości niż w „Timesie”.

Autor artykułu pisze też, że spędził jakiś czas w Kanadzie i tropienie po śladach na śniegu nie jest mu obce, dodając iż nigdy nie widział „dokładniej odciśniętych śladów”. Zwraca on również uwagę na fakt uporczywie pomijany przez prof. Owena i innych dopasowujących, że mianowicie „żadne ze znanych zwierząt nie stawia stóp w jednej linii, nawet człowiek”. Po tych szerszych uwagach autor ów dochodzi do wniosku, który nam również wydaje się prawdopodobny, że znaki te nie były wcale śladami kopyt ani łap. Być może poniższym spostrzeżeniem trafia on w samo sedno sprawy, gdyż pisze, że cokolwiek zostawiło te ślady, powstały one raczej przez usunięcie śniegu niż przez nacisk. Śnieg według jego opinii wyglądał jak „znaczony gorącym żelazem”.

To samo pismo, numer z 3 marca, drukuje uwagi prof. Owena, któremu ktoś przysłał rysunki śladów i który na ich podstawie stwierdził, że były to odciski łap i że „narobił ich jakiś bor-

suk". Sześciu innych korespondentów przysłało również swoje listy do redakcji „News”; jeden z nich, wspomniany lecz nie publikowany, wysuwa hipotezę zbląkanego łabędzia. Publikowany jest natomiast list pana Musgrave, który zawiera szkic tych śladów. Tu także widzimy wyraźnie jedną linię. Mamy na szkicu cztery znaki, z których trzeci lekko odchyła się w bok. I nie ma jakiegokolwiek podobieństwa do pazurów czy łap. Ślady te przypominają odciski kopyt bardzo młodego źrebaka, choć nie są już tak dokładnie zuarysowane jak w szkicu z 24 lutego; znać działanie wiatru i nadtopienie przez słońce. Mamy tu też krótkie studium psychologii i genezy pewnych prób dopasowywania. Pan Musgrave, który – przypomnijmy – był miejscowym pastorem, pisze że „pojawienie się pogłosek o kangurach było mi na rękę”. On sam w historię o kangurze nie wierzył, uważał jednak, że krążenie takich pogłosek pomagało przeciwstawić się „niebezpiecznemu, degradującemu i fałszywemu wrażeniu, że w okolicy krąży diabeł”.

Cała ta historia jest przede wszystkim znakomitą ilustracją, jak pogmatwany bywa społeczny odbiór nietypowych zjawisk i jak pracują ludzkie umysły, by zjawiska te wtopić w znaną, konwencjonalną rzeczywistość.

Informacji o podobnych śladach jest zresztą więcej. Londyński „Times” z 14 marca 1840 r. pisze na przykład: „Wśród wysokich gór tego wyniosłego dystryktu Szkocji, gdzie przylegają do siebie doliny Glenorchy, Glenlyon i Glenochay spotykano już wiele razy, tej zimy i w czasie zim poprzednich, ślady jakiegoś zwierzęcia, które wydaje się być jak dotąd nieznanie. Ślady te pod każdym względem przypominają ślady źrebaka, z tą wszakże drobną różnicą, że kopyto wydaje się nieco dłuższe i nie tak zaokrąglone. Nikt dotąd nie miał jednak szczęścia, by zobaczyć to tajemnicze stworzenie choć przez moment, stąd też nic nie można powiedzieć o jego kształcie i rozmiarach; uważa się jednak, że głębokość odcisków w śniegu wskazuje na zwierzę pokąźnego wzrostu. Zauważono także, że jego sposób poruszania się nie jest podobny do ruchów innych czworonogów, lecz przypomina raczej skoki i susy wystraszonego konia. Śladów tych nie spotkano wyłącznie w jednym miejscu, lecz na przestrzeni co najmniej 20 km”.

Natomiast „Illustrated London News” z 17 marca 1855 r. publikuje, najwyraźniej ciągle w związku z historią z hrabstwa Devon, list czytelnika z Heidelbergu, który „słyszał od pewnego polskiego lekarza” że na granicy Galicji, ale już po rosyjskiej

stronie, znajduje się wyniesienie zwane Piaskową Górą, gdzie podobne ślady na śniegu spotyka się każdego roku, czasem zaś można je wypatrzeć również odcisnięte w piasku, zaś „miejsca ludność przypisuje je diabelskiemu harcom”.

Spis treści

Od wydawcy.....	5
Przedmowa. Apologia ekscentryka	7
Charles Fort o sobie samym	24
I. Z otchłani Międzybytu	27
II. Meteoryty, które nie spadły z nieba	39
III. Kolorowe deszcze	44
IV. Coś żyje nad nami	55
V. Jedwab i masło	63
VI. Ołów, srebro, diamenty i szkło	70
VII. Genezistryna	75
VIII. Kamienne toporki i żelazne kule	84
IX. Gwóźdź w bryle kwarcu	96
X. Inne światy i superkonstrukcje	102
XI. Zagubione ekspedycje	109
XII. Olbrzymy i skrzaty. Gniew Azurii	120
XIII. Kamienne grady i bryły lodu	132
XIV. Upadek Leverriera. Krążące światy. Melanikus	145
XV. Nieodczytany kod	158
XVI. Hordy.....	161
XVII. Wielka czarna rzecz. Egipskie ciemności	168
XVIII. Międzyplanetarni kłusownicy. Trójkątne cienie. Dziwne światło na Woburn Square	180
XIX. Podwodne świetliste koła	188
XX. Chmary ogoniastych. Torpedy. Ogniste kule	197
XXI. Dziwne ślady w hrabstwie Dewon	206

Księgi Charlesa Forta to z całą pewnością najślynniejsza na świecie kolekcja zdumiewających, niemożliwych do wyjaśnienia faktów, których wyszukiwaniu jej autor poświęcił całe życie. Efektem jego mrówczej pracy stał się zbiór 40 000 fiszek zawierających doniesienia o tak niesamowitych zjawiskach i odkryciach, że wytrącają one z ręki wszelkie normalne wyjaśnienia i narzucają myśl, że świat jest o wiele bardziej tajemniczy i niewyobrażalny niż się to nam wydaje.

Księgi Forta nie mają nic wspólnego z fantazją czy fantastyką. Są zbiorem autentycznych, najprawdziwych faktów, które wytropił on w czasopismach naukowych i popularnonaukowych. Faktów wywołujących tak porażającą sprzeczność z zaakceptowanym przez nas obrazem świata, że najchętniej odwróciłibyśmy się plecami i zapomnieli o nich.

83 000-

8 30 -zł